KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 6/297** **1972**

• « La Culture » • Revue mensuelle •

J. MIEROSZEWSKI : **O ŻYDACH, KOSMOPOLAKACH I WSCHODNIAKACH**

S. KWARC : **PRZEMOC**

K. ZIELONOGORSKI : **SPRAWA MAZURÓW, KASZUBÓW, ŚLĄZAKÓW**

LIST Z PRAGI

SPIS RZECZY

—	*List z Pragi*	3
Tomasz Staliński:	*Romans zimowy*	12
Seweryn Kwarc:	*Przemoc*	17
Czesław Miłosz:	*Zapisane wczesnym rankiem*	25
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Juliusz Mieroszewski:	*O Żydach, Kosmopolakach i Wschodniakach*	27
Brukselczyk:	*Widziane z Brukseli*	37
	SĄSIEDZI	
—	*Memoriał Katolików Litewskich*	47
E. Żagiell:	*Białorusini*	49
Stanisław Bóbr-Tylingo:	*Kraj w dolinie Wisły*	56
Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	59
	K R A J	
K. Zielonogórski:	*Sprawa Mazurów, Kaszubów, Ślązaków*	65
Aleksander Matejko:	*Rozważania o Kraju i rodakach*	70
Bogdan Brodziński:	*Gospodarka krajowa*	75
	SPRAWY I TROSKI	
Paweł Zdziechowski:	*„Łódeczka Dal"*	80
Witold Babiński:	*Zagadnienia językowe we francuskiej Kanadzie*	86
Andrzej Chciuk:	*„Polacy w Południowej Australii"*	89
	WOLNA TRYBUNA	
Eliza Prusińska:	*O pracy organicznej*	93
	HISTORIA	
Tadeusz Święcicki:	*Ostatni Marszałek Senatu*	101
Maria Danilewiczowa:	*Polacy w Anglii w czasie I-szej wojny*	104
Adam Kruczek:	*Uwagi czytelnika*	108
	KRONIKA KULTURALNA	
Maria Czymbura:	*Introductory Polish*	115
—	*Komunikaty*	127
	K S I Ą Ż K I	
M. Broński:	*Nierealizm bez granic*	129
Eric Werner:	*Rewolucja jest bardziej aktualna niż kiedykolwiek*	132
Janina Katz:	*Kronika straconych — Monachium*	135
Zofia Kowalska:	*„Ameryko, Ameryko..."*	138
Tadeusz Katelbach:	*Metamorfozy i Fantomy Kuncewiczowej*	142
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	147
—	*Wydarzenia miesiąca*	148
Zb. Byrski, B. Toporska, Odpowiedzi Redakcji:	*Listy do Redakcji i odpowiedzi*	156
—	*Z ostatniej chwili*	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec-Juin **1972**

INSTYTUT LITERACKI

NOTY BIOGRAFICZNE

Eric WERNER, ur. w 1940 r. w Genewie. Ukończył Institut d'Etudes Politiques w Paryżu. Wykłada filozofię polityczną na Uniwersytecie Genewskim. Współpracuje z czasopismami: *Critique, Contrepoint, La Revue de Métaphysique et de Morale.*

Zofia KOWALSKA, ur. w 1927 r. we Lwowie. Po Powstaniu Warszawskim wywieziona do obozu koncentracyjnego w Niemczech. Powrót do Polski w roku 1946. Ukończyła studia psychologiczne na Uniw. w Toruniu. Pracowała w bibliotekarstwie — ostatnio w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Opuściła PRL w październiku 1971 roku.

◆

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Helena Eilstein, Pittsburg, Pa. (USA), po raz trzeci	F. 25,00
W. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz jedenasty	F. 25,00
M. L. S., z Australii	F. 59,19
Przyjaciel z Rodezji, po raz trzeci	F. 100,00
W pierwszą rocznicę śmierci Profesora Jana Świdy, 6 czerwca, zamiast kwiatów na Jego grób — przyjaciele z San Francisco	F. 100,00
Bezimiennie z Buffalo, N.Y. (USA), po raz czwarty	F. 100,00

DZIĘKUJEMY!

◆

Przypominamy raz jeszcze, że rękopisy niezamówione przez redakcję nie będą odsyłane, jeśli do przesyłki nie będzie dołączona odpowiednia ilość międzynarodowych kuponów pocztowych.

◆

Wobec licznych zapytań podajemy, że dopłata lotnicza do Kultury *kosztuje w tej chwili* dol. 8,50 rocznie *do: Stanów Zjednoczonych i Kanady, oraz do wszystkich krajów Afryki i Ameryki Południowej.*

Dopłata lotnicza do Australii, Nowej Zelandii, Japonii i Indonezji wynosi rocznie dol. 11,00.

REDAKCJA

List z Pragi*

Po wyborach czechosłowackich na jesieni 1971 roku, kiedy to jedna jedyna lista Frontu Narodowego zdobyła 99,8 % oddanych głosów, nastąpiła fala aresztowań. Aktywna działalność grup opozycyjnych w okresie kampanii wyborczej podsunęła zwolennikom rządów twardej ręki — w Sowietach i Czechosłowacji — zamiar uderzenia przeciwko tym, z którymi reżym chce się porachować za rok 1968 i lata wcześniejsze. Aresztowani, których dokładnej liczby niesposób obecnie ustalić, to przede wszystkim byli — częstokroć długoletni — członkowie partii komunistycznej, wykluczeni z partii po czystce w roku 1970 i stanowiący obecnie najaktywniejsze jądro opozycji w Czechosłowacji.

Tekst, który publikujemy poniżej, pisany był w okresie głównej fali aresztowań. Nie wiadomo czy jego autor, znany czechosłowacki intelektualista, przebywa jeszcze na wolności. List jego jest wyraźnie pomyślany jako wypowiedź człowieka, który obawia się, że być może zamilknie na długo, względnie że jego poglądy zostaną w ten czy inny sposób przekręcone. Ten godny uwagi z ludzkiego i politycznego punktu widzenia dokument stanowi jednak nie tylko wyraz siły i niezłomności — podobnie jak niedawny wywiad Josefa Smrkovskiego — kraju oraz tych, którzy w roku 1968 przemawiali w jego imieniu. Znaczenie jego daleko wykracza poza granice kraju dotykając doświadczeń, nadziei i niepokojów milionów ludzi na całym świecie.

Od dłuższego już czasu ciągle przyrzekam sobie, że usiądę i napiszę „wszystko". Piszę na pożyczonej maszynie, bo dla takiego przestępcy jak ja zbyt wielki to luksus mieć w domu choćby tylko maszynę do pisania. STB[1] zawsze przecież udowodni, że na tej właśnie maszynie była napisana czy rozmnożona ulotka antypaństwowa, czy coś w tym rodzaju. Ale mnie i tak

---

* Artykuł ten jest przedrukiem z pisma czeskiego *Listy*, które wydaje w Rzymie Jiri Pelikan.

1. STB — *Státni bezpecnost*, czyli policja polityczna — w odróżnieniu od VB — *Verzejni bezpecnost*, czyli policji porządkowej.

wszystko jedno. Okazuje się, że nie ma sensu być „porządnym". Maszyna zemsty za rok 1968 pracuje swym tradycyjnym trybem: przewinienie zawsze się przecież wymyśli, sprawę zreżyseruje, dowody przeprowadzi. Sędziowie i prokuratorzy dostaną to jako zadanie partyjne, następnie sekretariat ustali taryfę, zaś co do oskarżonych — to wszystko pójdzie zgodnie z ustalonymi założeniami... Owszem, w Moskwie (i w Pradze, kiedy zachodziła potrzeba) przyrzekano Włochom i Francuzom, że procesów politycznych — jako zemsty za rok 1968 — nie będzie. Właśnie dlatego tak skrupulatnie przestrzega się, by przewinienia, za które idą ludzie za kratki, dotyczyły nie okresu 1968, lecz lat późniejszych... Dla każdego jednak oczywiste jest przecież, że to tylko pusta gadanina.

Nie znam dnia ani godziny

Chciałbym ten list napisać porządnie, systematycznie — niczego nie przepuścić i wyrażać się w sposób możliwie zrozumiały. Tymczasem jednak już od samego początku piszę koszałki-opałki, jak mi wpadnie do głowy, bo nie znam dnia ani godziny i jeśli nawet za miesiąc będę we własnym domu, to i tak się nie dowiem dlaczego mnie pozostawiono. Już stracili na mnie tyle pieniędzy, że muszą przecież doprowadzić tę sprawę do końca i jakoś zrealizować tę inwestycję... Biorą na oko niemal każdy samochód, który się zatrzymuje na naszej ulicy; każdego człowieka, który wchodzi do domu, uwieczniają na formacie 13×18. Wystarczy, że wyjeżdżam gdzieś autem — zaraz wyrusza za mną konwój. Mam eskortę przy zakupach, w kinie, kawiarni, u fryzjera. Znamy się już z widzenia, kłaniamy się nawzajem, wytknąłem już im, że wszyscy noszą jednakowe płaszcze, dwa czy trzy razy byłem zmuszony ich zgubić — co nie jest znowu wielkim problemem — ale cyrk odbywa się dalej. Wszystko to robione jest bez ładu, bez składu, kosztuje masę pieniędzy, a ja nie upadłem jeszcze na głowę, by organizować zamach stanu w chwili gdy mam na karku pół komendy policji. Mogę przecież poczekać aż będę sam, czyż nie?

Przesławna policja nie zapomina również o mojej żonie. Już nawet myślała biedaczka, że to jacyś podrywacze za nią suną, ale gdzież tam — to byli towarzysze. Napisała mi o tym ze szpitala, gdzie przebywała przez kilka dni, prosząc bym był ostrożny. Dla uspokojenia jej wysłałem pocztówkę o następującym brzmieniu: „Kochana żono, powiadamiam Cię, iż wrócono mi mego anioła-stróża, a właściwie mówiąc to sześciu, do tego zmotoryzowanych. Poza tym zrobiłem wszystko według Twoich instrukcji. Karabin maszynowy zapakowałem w nieprzemakalny worek i wrzuciłem do rzeki. Amunicję zakopałem w piwnicy, a dolary i złoto zamurowałem w kuchni przy rurze. Materiały antypaństwowe ofiarowałem rosyjskiemu *regulirowszczykowi,* który mi przyrzekł, że je rozda w koszarach na zawijanie machorki. Powielacz pomalowałem na biało tak, że przypomina teraz zepsutą pralkę, zaś gołębie pocztowe — na zielono, mogę więc powiedzieć, że to papużki, tylko trochę przytyły. Czekam na dalsze instrukcje. Mąż". Podobno kartka ta wywołała serdeczną atmosferę wśród personelu.

Aresztowania

W końcu grudnia i na początku stycznia spadł cios na wielu naszych przyjaciół. Zapakowali Jaroslava Szabatę (również jego ojca, żonę, syna z żoną i inne osoby, w liczbie około 40, przeważnie z brneńskich kół partyjnych i uniwersyteckich). Potem zamknęli — już po raz drugi — Rudolfa Batka i Jana Tesarza, uczciwych i bardzo szlachetnych ludzi. Potem przyszła kolej na Milana Hübla, Ludka Pachmana, Karela Kyncla i innych. W skali odpowiadającej stosunkom praskim byli oni w ciągu ostatnich miesięcy poddani bardzo ostrej obserwacji a Kynclowi i Pachmanowi pod śmiesznie błahym pozorem odebrano prawo jazdy. Kyncl jest chory, dwa razy był już w szpitalu, a w styczniu miał znów się położyć. Ma ciągle złe wyniki analizy krwi oraz wyraźną niedoczynność wątroby.

Liczba aresztowanych w Pradze oceniana jest na osiemdziesiąt osób, w Brnie ponad trzydzieści, o pozostałych rejonach brak dokładnych danych. Aresztowanie dawnego rektora Wyższej Szkoły Partyjnej i byłego członka KC Milana Hübla było ponoć niemiłe dr. Husakowi. Boć to przecież Hübl położył największe zasługi w jego rehabilitacji i odwołaniu zarzutów przeciw tzw. słowackim nacjonalistom.

Jest rzeczą oczywistą, że aresztowania zostały przeprowadzone po innej linii, w bezpośredniej koordynacji z ośrodkami sowieckimi. Godne uwagi jest również to, że nastąpiły one wkrótce po tym jak Husak w przemówieniu do wybranego aktywu partyjnego potępił ekstremistów domagających się procesów i polityki twardej ręki, a Oldrzich Szvestka nawoływał do realizacji „zdrowych zasad Stycznia". Fakt aresztowań można więc interpretować jako ostrzeżenie pod ich adresem. Aresztowaniom towarzyszyły rewizje domowe. Policja szła według z góry przygotowanych list; w bibliotekach ludzi figurujących na listach zawsze się przecież znajdzie coś antypartyjnego czy przynajmniej

podniecającego. Pewien mój znajomy spotkał się ze swym przyjacielem z ministerstwa spraw wewnętrznych, który — dość zdeprymowany — zwierzył mu się, że coś tu zalatuje latami pięćdziesiątymi, przede wszystkim ten nacisk Moskwy. Ludzie patrzą na to wszystko obojętnie, koncentrują się na realizacji hasła: „urwij co się da" — na skromną tutejszą miarę oczywiście — a wieczorami i coraz częściej dniami tylko piją i piją. Knajpy są przepełnione, w soboty i niedziele połowa ludzi musi stać, o polityce się tam nie mówi, a w wielu miejscach można znaleźć na ścianach takie oto napisy: „Tutaj jest knajpa, roboty i polityki tu nie wciągaj!".

To już także dzieci?

Jeden z moich kolegów, który właśnie się buduje i dotąd pracuje w pewnej redakcji, opowiedział mi taką oto historię: Przypadkowo znalazł się on w pomieszczeniu, gdzie kierownictwo jego redakcji przygotowywało listę młodych autorów, których zamierzano zaprosić do współpracy i odpowiednio poinstruować. Kolej przyszła na młodą zdolną dziewczynę, która miała ten minus, że ojciec jej pracował w jednej ze zlikwidowanych obecnie organizacji intelektualnych. „Tej oczywiście nie możemy zaprosić, nie?" — „Ano, nie możemy". — „Ale gdy była mowa o tym, że spraw ojców nie należy wyciągać, o niej w ogóle nie wspomniano...". — „Czy ona także ma coś na sumieniu?". Zapanowała cisza. Wszyscy wiedzieli, że dziewczę ma lat około 18. „To już także dzieci?" — zapytał mój kolega. „No tak, to już na to wygląda". „A czy wnuki będziemy także...?" „Także, także...". Wszystko to była inicjatywa osobista, bez żadnej konkretnej wytycznej z góry. Tylko że niektórzy ludzie po prostu domyślają się, czego się od nich żąda. I robią to. Albo piszą do gazet niewiarygodne nonsensy jedynie po to, by podreperować swoją pozycję, zaś na boku oświadczają: „To jest banda łobuzów, ale muszę z nią tak postępować. Gdy tylko będę mógł, wygarnę im to wszystko, niczego nie oszczędzę!" Oto bohaterstwo po naszemu...

Gdy samochód się zatrzymuje...

Mam taki specjalny sposób na szpicli — to znaczy co należy szybko zniszczyć, gdyby przyszli. Domyślasz się, że dokładnie wiemy, co kradną i po co przychodzą. Wiadomo na przykład, że z bibliotek usuwają Sołżenicyna i Garaudy'ego; schowałem więc

ich już dawno w bezpiecznym miejscu. Trockiego pożyczali ode mnie dzisiejsi dygnitarze partyjni już na początku lat sześćdziesiątych i stopniowo stałem się ich wierzycielem. Usunąłem, podobnie jak wszyscy potencjalni szubienicznicy, wszystkie materiały epistolograficzne z minionej ery, korespondencję, no i oczywiście całą zachowaną prasę z lat 1968-1969, ponieważ to zawsze kradną. Pocztę bieżącą zapobiegliwie palę. Są jednak rzeczy, które chcę mieć u siebie do ostatniej chwili: niedokończone listy, niedokończony rękopis czy też spis adresów (który właśnie przepisałem na jednym kawałku papieru). Wszystko to mam w jednym miejscu i wrzucę do pieca dopiero w chwili, gdy pierwszy agent świętego officium zjawi się na horyzoncie. Nauczyłem się zamykać mieszkanie na klucz, na zasuwę i na łańcuch, co nigdy nie było moim zwyczajem. Przez to zyskam 30 sekund. Najgorsze jest jednak, to, że nigdy nie mogę mieć u siebie całego rękopisu tego, nad czym teraz pracuję, tak że jest to paskudna harówka.

W ciągu dwu i pół lat, od kiedy ta sytuacja trwa, nauczyłem się rozpoznawać niektóre dźwięki: poznaję na przykład w nocy, czy samochód się zatrzymuje, czy tylko przyhamowuje przed skrzyżowaniem. Tak więc wracam do okresu wczesnej młodości, kiedy to czekaliśmy, czy Gestapo przyjdzie po ojca. Potem go naprawdę wzięli, dwa razy przewrócili mieszkanie do góry nogami, a ja podziwiałem matkę — twardą, bezlitosną, złą na tego czeskiego szpicla, co to przyszedł razem z gestapowcami i wyglądał dokładnie tak samo jak ci dzisiejsi zawodowi zbirzy. Naturze zawdzięczam, że mam w sobie dość matczynej zaciętości oraz ojcowskiej pogody ducha. Niedawno temu usłyszałem w nocy, o godzinie drugiej, jak ktoś dzwonił do naszej bramy. Do tego wszystkiego jeszcze światła reflektorów i tak dalej. Pobiegłem do okna, patrzę — a to nic, tylko jakieś podpite towarzystwo wybierało się do kogoś z wizytą. Kiedy już było po wszystkim, przypomniał mi się ten dowcip jak to Amerykanin i Rosjanin nawzajem zwierzali się, co oznacza dla nich szczęście. Amerykanin powiada, że dla niego szczęście to *week-end* z rodziną nad morzem. Rosjanin na to: „U mnie to jest bardziej skomplikowane. Dla mnie szczęście to gdy słyszę jak ktoś do mnie dobija się o godzinie trzeciej w nocy i po otwarciu drzwi widzę dwóch facetów w skórzanych płaszczach, którzy mnie pytają: 'Czy to wy jesteście Iwan Fiodorowicz?', — a ja mogę odpowiedzieć: 'Nie, on mieszka piętro wyżej' ".

Jeszcze słów kilka o tych towarzyszach. Wszyscy bez wyjątku uznaliśmy, że poziom ich jest gorszy niż u wachmistrza Flanderki ze Szwejka. Stale wmuszamy w siebie postawę, że nie wolno ich lekceważyć, ale to nie jest łatwe. Pewnie, że będą

umieli zorganizować piękne procesy polityczne à la Bukowski. Gdyby jednak istniała naprawdę zorganizowana opozycja czy ruch oporu, cała ta ferajna znalazłaby się w defensywie. Jest to jednak właściwie cecha każdej policji politycznej — w takim stopniu, w jakim instytucjonalnie absurdalne jest dla nowoczesnego społeczeństwa, aby jedyna partia polityczna przemawiała do narodu nie argumentami lecz pałkami policyjnymi.

Potrzebny mi był 21 sierpnia

Tak więc przystępuję do spraw rodzimej polityki. Podobnie jak wielu współrodakom potrzebny mi był 21 sierpnia. Potrzebny mi był dla zrozumienia tych rysów polityki sowieckiej, których po prostu nie przyjmowałem. Pod tym względem byłem zubożały, a do Rosjan miałem po prostu słabość. Byłem krytyczny wobec ich polityki i dyplomacji ich sztywność i secesyjny patos zawsze wywoływały u mnie śmiech, ale przecież ciągle im to wybaczałem, bo wybaczać chciałem. Jedynie dlatego, że mnie — i nie tylko mnie — *de facto* uratowali życie w maju 1945. Ponadto urodziłem się jako proletariusz i z pierwszej republiki mam złe wspomnienia; żeby obiektywnie ją poznawać uczę się strasznie powoli. Jeśli mam być szczery, nigdy nie pojmowałem porewolucyjnej dyktatury jako czegoś danego raz na zawsze. Przede wszystkim chyba dlatego, że nigdy nie udało mi się samego siebie przekonać, że nonsensy te są potrzebne. O zasięgu jednak i metodach dyktatury w odniesieniu do opozycji, najczęściej wymyślonej, miałem wyobrażenie bardzo mgliste. Kolegi, który znalazł się w tarapatach bo wierzył w transmutację czy coś w tym rodzaju, zawsze broniłem — a gdy go wreszcie obroniłem, doznałem uczucia jak gdyby sprawiedliwość stała się powszechnie osiągalna. Biurokracja budziła we mnie niechęć od chwili gdy się z nią zetknąłem, ale znałem ją właściwie tylko przez mych przyjaciół w aparacie. Nigdy nie dążyłem do przywilejów dla siebie, a mój bezpartyjny bratanek zawsze zarabiał więcej — w przedsiębiorstwie budowlanym — niż ja. Tak, wierzyłem głęboko, że socjalizm jest dobry, a ta bezsensowna dyktatura tylko chwilowa, że pewnego dnia wywiozą Hendrycha na taczce i zacznie się mówić ludzkim językiem. Nie dopuszczałem myśli, by to właśnie Rosjanie tego pragnęli. Przeciwnie, na podstawie tych nielicznych, których znałem, wnioskowałem że to kadzenie naszych budzi w nich wstręt i dlatego jest zbyteczne. Jednakże o tym, że tę idiotyczną dyktaturę klanu idiotów należy zastąpić wybranymi w sposób demokratyczny ciałami a przede wszystkim przeprowadzić całkowity *opening* w sytuacji, gdy żadna wykoncypowana klasa wyzyskiwaczy nie istniała — o tym byłem przekonany już od lat. Przez długi czas nie rozumiałem, że upadek Chruszczowa oznacza przesunięcie w prawo. Byłem bardzo rozgoryczony jego ostatnimi wypadami pod adresem kultury. Przykro mi jednak było tylko dlatego, że wraz z nim zniknęła z rosyjskiej polityki ludzka twarz. Marczenkę przeczytałem dopiero w zeszłym roku, „W kręgu pierwszym" i „Oddział chorych na raka" w roku 1969. Do tego wszystkiego trzeba było, abym to był w stanie przyjąć, to zaś z uwagi na moje ograniczenie nie było możliwe przed 21 sierpnia. Albo na parę tygodni wcześniej, gdy zacząłem nacisk rosyjski obserwować. Także po przeczytaniu fragmentów referatu Koldera w roku 1967 oraz części referatu Pillera w roku 1968 (cały przeczytałem dopiero później). Tylko trzech spośród aresztowanych w latach pięćdziesiątych, których dobrze znałem, opowiadało mi o tym wszystkim dopiero w czerwcu 1968. Potem nastąpiły dalsze przeżycia, a to były prawdziwe wstrząsy, które oznaczały definitywne rozejście się. Zrozumiałem wtedy, że ten nasz socjalizm tak się miał do mych ideałów jak inkwizycja do chrześcijaństwa. Przypomniał mi się pewien stary towarzysz, który mi powiedział w roku 1948: Teraz będziemy budować socjalizm według Stalina, a to nie w kij dmuchał. Wówczas jednak słowa te brzmiały dla mnie jak świętokradztwo.

Prawo wyboru

Siedzę sobie teraz, wyglądam przez okno, już prawie trzydzieści lat mego życia niepotrzebnie straciłem; energia i zdrowie poszły z dymem, najwięcej chyba dla jeszcze większej gloryfikacji świństwa jakiego dokonywano w cieniu moich głupich wylewności. Dlatego nigdy nie przychodziła mi do głowy myśl o emigrowaniu. Po prostu nie mam do tego prawa. I nawet gdy wypiję już ten kielich goryczy do dna, zawsze przecież może mi ktoś wytknąć współwinę. Nigdy nie pełniłem żadnej funkcji związanej z władzą, ale plotłem o pięknym jutrze wtedy kiedy miliony ludzi niepotrzebnie cierpiało, a ja codziennie żarłem swoje ćwierć kilo kiełbasy, która *nota-bene* stawała się z roku na rok coraz droższa.

Gdy mnie teraz pytają ludzie, czy nadal jestem za socjalizmem, odpowiadam z reguły unikiem. Mówię: niech sami Czesi i Słowacy wybiorą. Uważam, że jest to sprawa zasadnicza jeśli się ma wiążące, i to raz na zawsze, prawo wyboru. Jeśli kiedykolwiek w przyszłości będę miał możność publicznie wystąpić

piórem, tej właśnie sprawy będę bronił przede wszystkim. Najważniejszą jednak ze wszystkich rzeczy jest demokracja. I tu już przed 50 laty socjaldemokracja miała niepojętą fantastyczną rację. Dopiero gdy demokracja stanie się faktem, będę mógł wypowiedzieć się w pozostałych sprawach. Ale dopiero wtedy, gdy inni będą mogli mówić swobodnie i otwarcie. Dopóki jednak nie będą mogli, będę milczał. Gadałem przecież dość długo. Osobiście nadal jestem za własnością publiczną środków produkcji. Uważam to za fundament sprawiedliwości społecznej. I w tym punkcie się nie zmienię. Klasyczny kapitalizm odrzucam, choć w porównaniu z dyktaturą biurokratyczną deformuje demokrację niemal niedostrzeżenie.

Mówimy tym samym językiem

Aż dziw mnie ogarnia, gdy pomyślę ilu za mną chodzi ludzi mam na myśli dobrych ludzi. Tu chyba leży jedna z najbardziej podstawowych różnic w porównaniu z latach pięćdziesiątymi. Potwierdzają to zarówno ci, co odczuli to na własnej skórze, jak i ich krewni. Wówczas znajdowali się oni w całkowitej izolacji. Antykomunistyczna większość nie miała powodu ich akceptować, ponieważ wymysłom o nich po prostu nigdy nie dawała wiary (jak my mogliśmy?), zaś komuniści i ich sojusznicy odwrócili się od nich po prostu plecami. Dziś jest całkiem inaczej. Od roku 1968 i potem wszystkie siły w narodzie, wszyscy co odrzucają dyktaturę, czyli ponad 95 procent ludności, zespoliły się. Gdy nastąpiła restauracja, udało się część tej masy kupić — ale nic więcej. Nie mogą przecież skorumpować całej masy, nawet gdyby bardzo chcieli, bo masa to naród, a ten uznałby taką postawę za dobrowolne samobójstwo. Dlatego ta garstka jest faktycznie izolowana. Gdy wchodzę do sklepu czy dokądkolwiek, gdzie jeszcze przedtem nie byłem, gdy biorę do wozu przypadkowego pasażera albo gdy mnie weźmie ktoś inny, gdy wreszcie po prostu wmieszam się w tłum — mam niemal stuprocentową pewność, że ludzie wokół mnie myślą tak samo jak ja. A wystarczy tylko, że się odezwiemy do siebie — mówimy tym samym językiem. Jest dla mnie bardzo wygodne, że ci, którzy znają mnie tylko z imienia, znają również moje poglądy i mówią ze mną całkiem otwarcie. Przed trzema laty było to dla mnie coś całkiem nowego, zdawało mi się, że od dwudziestu lat tak do mnie nie mówiono. Początkowo wytrzeszczałem oczy: iluż właściwie tego reżymu nigdy nie chciało, iluż go absolutnie odrzuca! Teraz już to strawiłem — kraj jest taki jaki jest.

Gdyby politbiuro wiedziało...

Doświadczenie mi podpowiada, że jeżeli są tu siły antykomunistyczne w prawdziwym, ideologicznym sensie, to ich bazą i najwyraźniejszym elementem jest to co oficjalna propaganda nazywa klasą robotniczą. Są oczywiście wśród robotników ludzie, którzy za łapówkę gotowi są pójść na różne tam „bohaterstwo pracy", ale postawa ogółu jest jasna. Gdyby politbiuro wiedziało co myśli klasa, w czyim imieniu rządzi, natychmiast jego członkowie rzuciliby się sobie do oczu. Oni jednak o tym nie wiedzą, tak że prawdę będziemy zmuszeni im sami rzucić.

Jedynym oparciem, nader spornym, jest warstwa urzędnicza, choć właściwie w tym sensie, że będzie ona ostatnią, która odważy się pisnąć, i pierwszą, która się ugnie. Ale i ona ma swój rozum, poprzez cyfry i papiery widzi całą tę obłąkaną gospodarkę tak samo jak inni, tylko że woli przebywać w cieple niż na świeżym powietrzu. Inteligencja techniczna *en gros* była już od dawna przeciwna, podczas gdy inteligencja humanistyczna jako całość przyłącza się w Czechosłowacji dopiero później. Pozostaje policja, korpus oficerski, dyrektorowie i ich zastępcy — właściwa obsługa dyktatury. Ludu tu nie ma. Nawet za machanie chorągiewką trzeba płacić. Pozostaje więc jako główna metoda konsolidacji — i ta ma być permanentną — s t r a c h. Pod tym względem następuje stale proces technicznego doskonalenia jego oddziaływania. Ludzie powinni wiedzieć czego i o co mają się bać. Niech więc stracą pewność co do rzeczy najpewniejszych. Już od dziecka.

Smutny jest to kraj i smutne czasy. Każdy jednak uśmiechnie się porozumiewawczo gdy usłyszy słowo „tymczasowy". I to niezależnie od okoliczności. Słucham regularnie rozgłośni zagranicznych i często mi się wydaje, że tam nie rozumieją w pełni tego grochu z kapustą, tej szwejkowszczyzny, którą się karmi ludzi. Inaczej jednak być nie może, jeśli bezpośredni kontakt nawala.

(Przełożył Stefan Michnik)

Romans zimowy *

XIV

Gdy się to wszystko już stało, niesposób było potem przypomnieć sobie, jak się zaczęło, jaka była kolejność wydarzeń. No i utajony ich mechanizm pozostał tajemniczy, podobnie zresztą jak całe te, rozmyślnie przez kogoś wywołane, marcowe wydarzenia. Inżynier Osiński nie miał z nimi nic wspólnego, nie wiedział w ogóle o co chodzi — mimo to on właśnie padł ofiarą, zresztą przeczuwał to zawczasu, spodziewał się tego.

Zaczęło się w pewien piątek — choć Adam jeszcze o tym nie wiedział. W szary, przemrożony znowu ranek pojechał jak zwykle do Niedźwiedowa. W fabryce panował ruch, ale jakiś specyficzny, dziwaczny, diabli wiedzą co. Wszyscy latają nie wiadomo dokąd, w powietrzu podniecenie, tyle, że przyczyn jego niesposób dociec. Dziamaka oczywiście ani śladu, jakiejś sensownej roboty też nie. Osiński załatwił kilka spraw ze swoimi młodymi inżynierami, spraw bieżąco porządkowych, jako że o innych ci wygodni młodzi ludzie nie mieli zielonego pojęcia. Podyktował parę drugorzędnych pism w hali maszynistek, patrzono tam na niego dziwnie, choć może tak mu się tylko zdawało. Potem wrócił do siebie i siedział przy biurku nasłuchując: korytarze starego budynku administracji wibrowały podnieceniem, ale kto się podniecał i dlaczego?! Tajemnica.

Dopiero gdzieś koło południa dotarła do niego wiadomość, że na mieście są jakieś studenckie rozruchy, że milicja walczy z młodzieżą syjonistyczną czy podburzoną przez syjonistów, domagającą się właśnie wejścia Zambrowicza i Janowskiego do

* Fragment nowej książki pod tym tytułem autora „Widziane z góry" i „Cienie w pieczarze", które uprzednio ukazały się w Bibliotece „Kultury".

Biura Politycznego. Adam poznawał w tych wieściach rękę a raczej buzię Gościńskiego, jakby słyszał jego barytonowy, operowy szept. Tuman to był i ciemniak nieprawdopodobny, ten ich finansowiec, choć niby człowiek kształcony i bywały. W jego preparatach plotkarskich zawierał się zawsze taki zbiór nieprawdopodobieństw i absurdów, że wręcz rozplątać tego niesposób. Jacy „syjoniści" mogli podburzyć młodzież, toć było w dzisiejszej Warszawie może pięćdziesięciu Żydków na krzyż, jakim cudem młodzież, z natury swej w tym okresie wolnościowa i liberalistyczna (w tym okresie, bo za Stalina młodzi jakobini domagali się terroru), mogłaby żądać powrotu do Biura starych, skompromitowanych dzierżymordów, co w ogóle znaczyło całe to dziwactwo, od szeregu tygodni krążące z ust do ust po Warszawie? Inna rzecz, że skoro wieść krążyła i to krążyła uparcie, ktoś musiał ją kolportować w określonych, jak mówiono, celach. No a demonstracje młodzieży, jeśli już rzeczywiście wybuchły, musiały też mieć swoją podstawę. W zakorkowanym na głucho systemie komunistycznym nie bywa demonstracji spontanicznych, o ile ktoś z Partii po cichu ich nie zarządzi. Ostatni raz zdarzyło się coś takiego przed jedenastu laty, w słynnej poznańskiej fabryce maszyn. Robotnicy wyszli wtedy na miasto, rzadki, niesłychany w tym ustroju ewenement, strzelano, byli ranni i zabici, ale i o tamtych zdarzeniach mówiono, że im ktoś z Partii patronował. Zresztą poprzedzone zostały liberalną, krytyczną kampanią prasową, a jakże mogłoby dojść do tej kampanii, o ile cenzura nie otrzymałaby odpowiednich instrukcji? Cudów nie ma, samo nic się tutaj nie dzieje — ludzie już dawno zapomnieli, że mogliby coś robić sami, resztka weteranów samodzielności to byli właśnie owi bezimienni rzemieślnicy, skazani już chyba nieodwołalnie na absurdalną agonię. Lecz demonstracje, teraz, w epoce łysego Sekretarza, który niczego tak się nie bał jak jawności i obnażania różnic czy przeciwieństw?! Oczywisty nonsens, a jednak chyba naprawdę coś się dzieje, wiadomości nasilają się, gęstnieją, zaostrzają. Słychać też przebąkiwania, że w poniedziałek zorganizowana ma być w Niedźwiedowskim Domu Kultury masówka, zwołani będą przedstawiciele wszystkich zmian, że ważne sprawy, że grozi niebezpieczeństwo. Jakie, kto, co?! O to nikt nie pytał, wydawałoby się, że wszyscy wiedzą, tylko ukrywają rzecz przed Adamem. Dziwne spojrzenie z ukosa, szepty, uśmieszki — ludzie milkną przy jego zbliżeniu. Znał to z Wrocławia, znał doskonale, lecz tutaj rzecz przybierała większe rozmiary, nie chodziło przecież tylko o niego. Ale o co?

Wyjechał wcześnie z fabryki, nie było tu przecież co robić, a w ogólnym bezhołowiu o dogadaniu się z kimkolwiek nie

ma przecież mowy. Przyjemnie mu się nawet jechało, pociągiem dosyć pustym bo godzina nie typowa. Rzeczywiście, w Warszawie od razu gdy się wyszło z dworca, widać było niezwykły ruch na ulicach. I to niezwykły przede wszystkim jakościowo: wszędzie niecodzienne patrole, potężne chłopy w białych hełmach i z ostentacyjnie prezentowanymi białymi, gumowymi pałami do bicia. Cóż to za dziwna formacja, milicja, KBW, żandarmeria, licho wie co! — Golędzinów — szeptali ludzie. Adam przypomniał sobie, że przed wojną, za owych, jak dziś mówiono, „przeklętych czasów Sanacji" była taka osławiona szkoła policyjna pod Warszawą. A więc „chłopcy z Golędzinowa" pojawili się z kolei na ulicach Warszawy ludowej? Wtedy służyli do tłumienia demonstracji komunistycznych lub oenerowskich, czyli, jak wówczas oceniano, przeciw skrajnej lewicy i skrajnej prawicy. A dziś?! Trudno się w tym wszystkim połapać, trudno określić sytuację!

Jeszcze osobliwiej działo się na jezdniach. Pędziły jakieś wozy, obudowane elektrycznym sprzętem, z nadajnikami radiowymi, a także zamknięte, ponure ciężarówki, wyposażone ciekawie, arcyciekawie. Niewiadome oczy obserwowały ulicę z normalnych, lecz nienormalnie licznych policyjnych alarmówek, co chwila rozbrzmiewał taki czy inny osobliwy sygnał, coś się tu działo na wysokim, zgoła elektronicznym pułapie. Mieli więc swoistą technikę, ciekawe tylko, gdzie się to wszystko dotąd chowało, zanim wyległo na ulicę? I właściwie po co wyległo, może dla ćwiczenia? Przecież panował spokój, tyle że na chodnikach Alej i Grójeckiej roiło się więcej ludzi niż zwykle, jakby wszyscy mieli czas i hurmem wyszli z biur czy zakładów. Prąd płynął w stronę Placu Narutowicza, Adam popłynął z nimi: zajścia studenckie to przecież Dom Akademicki, nic innego. Warto zobaczyć!

Na placu zbity tłum zalewał jezdnie, ledwo ledwo przepuszczając pełznące powolutku tramwaje. Dom Akademicki okazał się otoczony, lecz można chyba tam się przepchnąć, bo ludzie przechodzą. Wprawdzie drogę blokował luźny kordon milicji, jednak ten i ów przedostawał się na drugą stronę, w pobliże „Akademika". Osiński też spróbował i udało mu się, tyle, że natknął się nos w nos na potężnego milicjanta z paskiem pod brodą, ten wszakże zdawał się nic nie widzieć, wpatrzony gdzieś w dal. Sytuację wyjaśnił nagle jakiś rozgorączkowany cywil w kapeluszu, który najwyraźniej komenderował milicją. — Starsi mogą przejść, młodzież nie! — krzyknął w stronę Adama. Osobliwe kryterium, ale przynajmniej dosyć jasne. Inżynier Osiński, korzystając z przyzwolenia przedostał się do pierwszego rzędu widzów czy gapiów, otaczających teraz stary Dom Akademicki. Sam tu kiedyś mieszkał — ta akurat budowla oparła się wojnie i Powstaniu.

Z początku trudno było uchwycić, co się właściwie dzieje, stopniowo jednak we wrażenia obserwatora zakradł się ład, ale ład osłupiający. Kilkanaście metrów od bramy gmachu stała milicyjna buda, przed nią grupa niebieskich mundurów. Na drugim krańcu wolnej przestrzeni, pod murem Akademika, mrowił się tłum studenckiej młodzieży. Co pewien czas na ową wolną przestrzeń jak na arenę wybiegał któryś z młodych ludzi, machając rękami i coś wykrzykując. Milicjanci rzucali się w jego stronę. Jeśli zdążył umknąć do swoich, miał szczęście, jeśli nie, ginął w kotłowaninie niebieskich uniformów, po chwili wleczono go już do auta, po ziemi, byle jak, za nogi, dokładając pałą ile się da. Czasem szarpał się i szamotał dłużej, czasem krócej, na bruku czerwieniały plamy autentycznej krwi. Zdumiony Adam patrzył po twarzach widzów, lecz nie wyrażały one żadnych uczuć, tłum przyglądał się uważnie, bez zdziwienia ale i bez podniecenia, o jakiejkolwiek chęci interwencji nie było najmniejszej mowy, każdy starał się upodobnić do sąsiada i broń Boże niczym nie wyróżniać. A może w ogóle nie wiedzieli co myśleć, przecież takich widowisk często tu nie dawano. Adam też nie miał pojęcia, co to wszystko znaczy, ale najwyraźniej nikt wokoło nie zamierzał ani o nic pytać, ani czegokolwiek komukolwiek objaśniać, najmniej oczywiście milicjanci, bardzo zaaferowani, ale jakoś rzeczowo, funkcjonalnie, zaabsorbowani jedynie samym działaniem, nie zaś jego przyczynami czy też skutkami.

Nieprawdopodobny ten, bo jakoś statyczny choć namacalnie bestialski spektakl toczył się dalej, jakby uczestniczyli w nim nie ludzie lecz nakręcone i puszczone w ruch figurki. W regularnych odstępach czasu spod muru Akademika rzucał się do przodu jakiś młodzik, wznosząc niewiadome okrzyki, milicja puszczała się za nim i teraz zaczynała się loteria: czy wróci do swoich, czy go złapią. Czasem zdarzała się jeszcze trzecia ewentualność, że mianowicie młody człowiek zdążył przebiec na drugą stronę, wmieszać się w tłum gapiów, zniknąć w nim. Milicjanci nie gonili go wówczas, kontentując się symbolicznym zamachnięciem pałki, której cios mógł zresztą spaść zgoła nie symbolicznie na któregoś ze starszych widzów. Mógł, ale nie musiał, w zasadzie nikt nie miał zamiaru bić „starych", kontrast wieku między dwoma grupami ludzkimi, zalegającymi plac to bariera istotna i nieprzekraczalna. Najwyraźniej więc rozgrywa się rewolta młodych, ale o co, dlaczego, jak? Nikt o to nie pytał, inżynier Osiński też nie.

Czas mijał, zmierzch nadchodził a w widowisku nic się nie zmieniało, jakby odbywał się tu znaczący, wielokrotnie powtarzany obrządek. Wreszcie tłum zaczął rzednąć, ludzie szli do domu, jak długo można patrzeć na coś niezrozumiałego? Adam zawrócił na Grójecką, roiło się tutaj mnóstwo niezwyczajnych przechodniów, jakby się wysypali z teatru lub kina. Po jezdni nadal sunęły przeróżne utechnicznione wehikuły milicyjne — znów budziło się pytanie, ileż tego było i gdzie się dotąd przed ludzkimi oczami utajało? A więc komuniści ubezpieczyli się po cichu nie najgorzej, ubezpieczyli na wszelką ewentualność: lud ludem, ale uważać trzeba. Zatem i ten system ma swoje granice, choć tak na pozór samoczynny, bez luk i szczelin. Ciekawe czy przychodziło to do głowy owym „Golędziniakom" o drewnianych twarzach?

I oto już różowieją w ukośnej poświacie zachodzącego słońca betonowe 11-piętrowe osiedla Uranów, otaczające swą wyniosłą grupą ciemniejący wewnątrz plac, ów oszroniony, nie wybrukowany dziedziniec. W lukach między „szklanymi domami" prześwieca krwawo czerwona, ceglana resztka dawnej zabudowy. Adam wchodzi w ten mroczniejący świat kamiennym mostem, obok nisko rozsiadłej szklanej szkoły. Swoją drogą dobrze ta szkoła była pomyślana, jakiś zdolny entuzjasta musiał ją zaplanować, takich ludzi w Polsce nie brak , tyle że dziś buda przedwcześnie się postarzała, zniszczona błędami wykonania, niedokładnością, złym materiałem. Adam zatrzymał się tu jeszcze; zanim pogrąży się w domowy mrok Uranowego osiedla, chwilę posłucha sobie z daleka szmeru i chrzęstu Alej Jerozolimskich, obejrzy się na purpurową, jaskrawą poświatę, okalającą dworzec, oświetlającą wierzchołki długiego szeregu wysokościowców nowej Ochoty. Chwila, niedługa chwila, i oto miasto tonie w mroku, ale niebieskawym, przedwiosennym — to już marzec przecież.

Na drugi dzień, w sobotę, wszystko działo się podobnie, tyle, że inżynier Osiński wcześnie wrócił z Niedźwiedowa, więc wcześnie poszedł na akademicki plac, oglądać takie jak i wczoraj widowisko — nic się tutaj nie zmieniło, niczym właśnie w obrzędzie. Za to w niedzielę wszystko z kolei ustało, po prostu nożem uciął — manifestanci najwyraźniej świętowali, milicja widocznie też, tyle, że po ulicach, wśród tłumu przechodniów, plątało się sporo jakichś obleśnych cywilów, natrętnie zaglądających w twarze.

Tomasz STALIŃSKI

Przemoc

Akurat Ryszard powrócił wtedy z wakacji. Były to jego ostatnie studenckie wakacje, które spędził włócząc się po północnych województwach jako likwidator szkód z ramienia PZU.

— Zupełny post — nazwał cały ten wakacyjny czas Ryszard. Był bardzo spragniony miejskich rozrywek.

Wciąż tylko powtarzał — ... gdzieś do lokaliku, chociaż muzyki posłuchać... marzę o tym...

I namawiał kusząco na jakąś knajpianą eskapadę. Wahałem się, gdyż do końca miesiąca brakowało jeszcze tygodnia a moje skromne stypendium było już na wykończeniu. Ale Ryszard znacząco poklepał portfel z czarnej, tłoczonej skóry. Musiał nieźle zarobić na tym wyliczaniu strat wyrządzonych żywiołami na chłopskich polach.

— Gradobicie... — śmiał się Ryszard — solidny żywioł... mórg więcej, mórg mniej... a gospodarzowi zależy... jak jeszcze zależy...

Opowiadał o hucznych wieczerzach w chałupach, o kurach zabijanych na przyjęcie pana inspektora, o mocnym samogonie... Wybraliśmy się do nocnego lokalu.

Obskurna to była buda; początkowo przeznaczony na stołówkę barak, ozdobiony szpetnymi małowidłami gór o zachodzie słońca i floty korsarskiej na oceanie, ale z tą ważną zaletą, że najtańszy lokal w mieście.

Zachodziły tutaj młodzieżowe parki zakochanych, profesjonalne dziewczyny, rogówki — jak je nazywała moja matka — pijacy, tramwajarze, szoferzy na kawę dla wytchnienia i ci, którzy spóźniali się na podmiejskie elektryczne pociągi. Do baru gdzie piło się na stojąco, można było zajść nawet w palcie; pozwalali. Ryszard, tancerz zawołany, cieszył się jak dziecko, już

w szatni zaczął podrygiwać w takt muzyki dochodzącej z sali. Znaleźliśmy wolny stolik pod oknem, wiało tu trochę, szyba wybita, ale od razu zamówiliśmy po setce na rozgrzewkę. Kelner obejrzał nas badawczo, skrzywił się i lekko wzruszył ramionami.

— Za małe zamówienie — wyjaśniłem Ryszardowi — ...bierze nas za pętaków i prędko nie poda.

— Co z tego — Ryszard był już w lokalowej euforii — ... I tak dobrze...

Rozglądałem się po sali. Dawno tu nie byłem.

Parę stolików dalej siedziała Ewka. To była dawna moja koleżanka ze studiów, bardzo ładna, od roku już nie chodziła na uczelnię i często bywała w rozmaitych lokalach. Siedziała ze starszym jegomościem. Coś jej tłumaczył. Kręciła przecząco głową i wybuchała śmiechem. Zawsze była taka wesoła, niefrasobliwa, kpiąca nielitościwie z męskich zabiegów uwodzicielskich. Lubiła bardzo bawić się i wzmagać pożądanie starających się o jej względy wielbicieli, ale nigdy nie wiadomo było czy skłoni się na czynione jej propozycje czy tylko wyszydzi.

Podszedłem niepewnie do niej. Nie wiedziałem jakim kaprysem przyjmie mnie dzisiaj. Przywitała radośnie. Jej towarzysz popatrzył na mnie spode łba, długo i nieprzyjaźnie, i zaraz potem zapaliwszy papierosa, skinął na zezowatego kelnera.

— Co? — pyta zezowaty.

— Można wycofać zamówienie — powiedział ten mężczyzna pięćdziesięcioletni, lekko zalany; wyglądał na jakiegoś buchaltera, mieszkańca podmiejskiej trasy, który spóźnił się na ostatni pociąg. Ewka chętnie zgodziła się usiąść z nami.

— Przyczepił się... — mówiła z tą swoją charakterystyczną pogardą i rozbawieniem o tamtym — ... koniecznie chciał... — Bardzo ładna ta Ewka, jasnowłosa, zgrabna, ma takie wielkie błękitne oczy. Ryszardowi wyraźnie się spodobała. Aż się trochę zaniepokoiłem. Zacznie czarować tymi swoimi uwodzicielskimi sposobami i gierkami... Może zainteresować Ewkę.

— Ryszard... — zaszeptałem, gdy Ewka zaczęła poprawiać sobie szminką usta — ... Ona jest ze mną...

Ryszard spojrzał na mnie, potem na nią. Z pewnym ociąganiem pokiwał głową, minę miał nieco zawiedzioną. A mnie ta Ewka podobała się wyjątkowo. Poprosiłem kelnera o coś na gorąco. W ogóle i kelner pod wpływem Ewki też stał się grzeczniejszy, a nawet uprzejmy.

Jedliśmy pieczeń wołową z tłuczonymi kartoflami. Ewka leciutko stukała obcasikami w takt muzyki. Ryszard dołączył się do tego wybijania rytmu z widelcem. I zanucił melodię. Nieco posmutniałem. Marnym byłem specjalistą od tańca i dałbym sobie radę tylko z walcami i tangiem. Ewka zauważyła moje zaniepokojenie. Nagle, szybkim ruchem pogładziła mnie po policzku.

— Nie bój się — popatrzyła na mnie poważnie, bez tego zwykłego uśmiechu i rozbawienia — ... Z nikim nie zatańczę... Ryszard skłonił głowę w naszą stronę i z błazeństwem starego kpiarza począł śpiewać: — „Gdy wieczorne biją dzwony...". W knajpie robił się coraz większy tłok. Przy barze dziewczyny z Chmielnej, te sine, zapijaczone maszkary lżyły plugawym stekiem przekleństw jakiegoś mężczyznę w kolejarskim płaszczu.

— Szybko mija uroda — powiedziała smętnie Ewka patrząc na te zniszczone, brzydkie kobiety, niestare jeszcze, a już ostatecznie oszpecone występnym życiem.

Nagle jedna z nich, gruba taka, chwyciła kufel i rąbnęła mężczyznę w kolejarskim płaszczu w głowę. On zatoczył się pod ścianę, pociekła mu krew.

Wtedy gruba rozpłakała się i pocałowała go w usta.

— Mocne życie — roześmiał się Ryszard.

W drzwiach pokazał się milicjant, służbowo, z paskiem pod brodą. Bar opustoszał.

Gruba ukryła pokrwawionego mężczyznę za filarem. Milicjant stanął przy barze, pił piwo, rozglądał się znudzonym, nieuważnym wzrokiem.

Ci trzej, którzy weszli zaraz za nim przystanęli przy podwyższeniu dla orkiestry.

Jeden z wąsikiem, drugi w zielonej wojskowej koszuli, trzeciego nie dostrzegłem, był najniższy i zasłaniały go tańczące pary.

Obserwowali tłumek na parkiecie. Teraz zaczęli lustrować siedzących przy stolikach. Ten najniższy wszedł na podwyższenie i stamtąd patrzył.

Perkusista zaszeptał coś do tego w wojskowej koszuli, pokazując na młode ulicznice, skupione stadkiem przy jednym ze stolików, ale ten w wojskowej koszuli poruszył przecząco głową. Drugi z nich, z cieniutkim, kokieteryjnym wąsikiem — Wąsik — nazwałem go sobie od razu, wyciągnął rękę i ordynarnym, niedbałym gestem pokazał na nas. Zaraz wszyscy trzej spojrzeli na nas. Właściwie tylko na Ewkę. Wąsik zaczesał starannie włosy. Orkiestra zagrała taneczną melodię.

Wąsik podszedł do naszego stolika, mrugnął do Ewki i poprosił ją do tańca.

— Nie tańczę — odmówiła Ewka.

— Czemu? — oczy Wąsika zwęziły się w kose szparki.

— Po prostu nie tańczę. — Ewka odwróciła od niego głowę.

Wąsik wsunął ręce do kieszeni i wydął pogardliwie wargi.

— Jeszcze zatańczysz.

— Jak się pan odzywa! — powiedziałem oburzony.

Ale on nawet nie spojrzał na mnie. Odszedł leniwym, rozkołysanym krokiem. Chciałem coś krzyczeć za nim. Ryszard przytrzymał mnie za rękaw.

— Tajniacy — zaszeptał konspiracyjnie.

— Więc co z tego — gorączkowałem się. — Czy wolno im obrażać?

Ryszard popatrzył na mnie z ironicznym zdziwieniem.

— Mówisz jak dzieciak.

Zerkał teraz na tych trzech tajniaków. Był wyraźnie zaniepokojony.

Ewkę rozbawiło to zdarzenie. Była bardzo próżna i cieszyło ją nawet to wulgarne zainteresowanie jakie okazywali jej mężczyźni.

— Nawet dość przystojny — rozważała, bawiąc się moim rozdrażnieniem — ... tylko ten wąsik...

Ci trzej rozmawiali przy barze z milicjantem. Słuchał ich wyprężony służbiście.

— Jakaś tajna szarża — uznał Ryszard. Bardzo był zaniepokojony.

Nie zrozumiałem przyczyn jego niepokoju. Dzieliła nas jednak dość duża różnica wieku.

Milicjant poprawił pasek pod brodą i począł przeciskać się między tańczącymi. Zatrzymał się przy naszym stoliku.

— Dokumenty — warknął.

Podaliśmy swoje dowody. Długo, skrupulatnie przeglądał. Na szczęście mieliśmy w porządku.

Milicjant oddał Ewce i Ryszardowi dowody, mój zaś zatrzymał.

— Pozwólcie — skinął na mnie.

Poszedłem za nim. Zaprowadził mnie do dyżurki przy szatni. W dyżurce byli już ci trzej. Wąsik uśmiechnął się do mnie szeroko.

— Chłopcze — powiedział przyjaźnie. — Nie upieraj się.

— Nie rozumiem.

— Zaraz zrozumiesz — perswadował Wąsik. — Ta lalka nam konweniuje.

— Niekiepska — wtrącił ten w zielonej koszuli.

— Konweniuje — powtórzył to słowo z upodobaniem Wąsik.

— Jaka lalka — oburzyłem się. — Jak panowie mówią o mojej koleżance. To jest studentka...

— Spokojnie — burknął na mnie milicjant. — Nie podnoście głosu.

— O właśnie, spokojnie — podchwycił Wąsik — ci młodzi tak się gorączkują... Mamy chęć na laleczkę, my też ludzie, rozumiesz, weźmiemy, damy parę złotych, a jutro znów się zobaczycie...

— Nie bój się — dodał ten w zielonej koszuli. — Krzywdy jej nie zrobimy... A wam studenciakom przecież się nie przelewa...

Wąsik przytaknął słowom kolegi z aprobatą. Czułem rosnące oburzenie, wściekłość. Te ich bezczelne, pewne siebie gęby. Ta ohydna rozmowa.

— Nie! — powiedziałem gwałtownie. — Za Boga nie!!

Wtedy milicjant dość boleśnie kopnął mnie w kostkę.

— Nie upierajcie się — spojrzał przymilnie na Wąsika.

Wąsik przygryzł wargi, był już zniecierpliwiony.

— Może nie wiesz kto jesteśmy — podsunął mi jakąś legitymację. — Zobacz...

Nie chciałem patrzeć.

— Nie baw się ze szczeniakiem — odezwał się mężczyzna w wojskowej koszuli. — To wyjątkowo uparty chuligan, rozrabia, trzeba go na komisariat.

— Czy na komisariat tego chuligana? — zapytał szybko i usłużnie milicjant.

— Nie tak łatwo!

Skokiem rzuciłem się do drzwi. Ktoś grzmotnął mnie kułakiem w brzuch. Poczułem mdłości nagłą falą idące do gardła. Wąsik przyparł mnie do ściany. Wykręcał boleśnie ręce. Dwaj jego koledzy i milicjant wyszli z dyżurki. Jeszcze w drzwiach milicjant jakby z ubolewaniem popatrzył na mnie.

— No i jak — zaczął pieszczotliwie Wąsik.

— Nie!... — wystękałem. — ... Nigdy!... Ty wiejski elegancie z wąsem, ty najpiękniejszy ze wsi!!!....

Odsunął się o krok. Przyglądał mi się z zimną, drańską złością. Wyraźnie trafiłem w jego czułe miejsce tym powiedzeniem. Otworzył szeroko drzwi dyżurki.

— Kapral! — krzyknął.

Przybiegł milicjant.

— Weźcie dziewczynę i tego drugiego do dyżurki — rozkazał Wąsik. — ... A my z tym na komisariat...

Zaraz też weszli dwaj pozostali tajniacy.

To byli fachowcy, bo nawet nie wiem kiedy znalazłem się na ulicy. Parę kopnięć i już byliśmy przed tym barakiem — lokalem. Dwaj tajniacy trzymali mnie pod ręce, trzeci, ten mały szedł z tyłu. Znów próbowałem uwolnić się od łap ściskających mnie za ramiona. Ale ten z tyłu kopnął mnie pod kolana, a dwaj pozostali mocno wykręcili ręce. Byłem obezwładniony jak kukła.

Prowadzili najkrótszą drogą do komisariatu przez plac budowy. Stróż wyjrzał z budki, ale zaraz cofnął się i zgasił światło. Ten z tyłu chrząknął znacząco. Wtedy ci z boków zaczęli mnie prać. Głowa odbijała się jak piłka. Wszystko odbywało się w milczeniu. Tylko ich posapywania i mój jękliwy, stękający oddech. Upadłem na ziemię, głowę ukryłem w ramionach. Ale po chwili musiałem wstać, szarpnięty do góry jak tłumok. Wzięli mnie pod ręce. Przez dziurę w płocie przeprowadzili na ulicę.

— No, teraz... — Wąsik uśmiechnął się zagadkowo.

Ogarnął mnie zwierzęcy strach. Bo już o niczym nie myślałem tylko z której strony i gdzie mnie uderzą. Skuliłem się.

— Na razie masz przerwę — powiedział ten z tyłu.

Wąsik wyjął chusteczkę, wytarł twarz i ręce.

Pusta ulica. Gdzieś daleko słychać stukot kroków. Ich twarze błyszczały ślisko.

Wszyscy trzej poprawili marynarki, krawaty. Coś zaszeptali między sobą. Śmiech.

I już ta brama z tabliczką — XI Komisariat. Dopiero w korytarzu zobaczyłem twarz tego najniższego, który szedł z tyłu. Wąska, bez zarostu, nad czołem miał spiętrzone w czub włosy. Skądś doszedł jakiś zwierzęcy, pijany wrzask. Zadygotałem. Dyżurny milicjant drzemał za stołem. Na nasz widok zamrugał powiekami i wstał szybko, trzaskając obcasami. Wąsik pochylił się nad stołem, ściszonym głosem mówił do milicjanta.

— Tak jest, tak jest — powtórzył kilkakroć dyżurny.

— Obywatelu sierżancie — odezwałem się — ... zostałem bezprawnie...

— Milczeć! — huknął dyżurny.

Otworzył drzwi i kogoś zawołał. Przybiegł drugi milicjant, też był zaspany, też trzasnął obcasami.

— Do pokoju nr 7... — polecił dyżurny.

Drugi milicjant zaprowadził nas do drzwi na końcu korytarza. Zielone ściany, biurko, dwa krzesła, na suficie odrutowana żarówka, a w oknie kraty.

Milicjant zamknął cicho drzwi za sobą. Zostałem sam z tymi trzema tajnymi. Wąsik zdjął marynarkę, powiesił na krześle. Niski bez zarostu również zdjął marynarkę. Spojrzał na zegarek.

— Pierwsza — ziewnął.

A ten trzeci zagapił się bezmyślnie w okno i dłubał w nosie. Za oknem ciemno. Żółte, mdłe światło rozlewało się po pokoju. Wąsik chrząknął. Kiedy zaczną i jak będą tłuc? Napięty i tym oczekiwaniem wypełniony, rzuciłem się w kąt wtuliwszy głowę w ramiona. Ten w zielonej koszuli pociągnął mnie za nogę. Przewróciłem się. Kopnęli parę razy, ale nie za mocno. Tak

niedbale, byle jak; w taki sposób jak trąca się ścierwo jakieś. Z ulgą zanotowałem w świadomości, że nie za mocno. Zapragnąłem, żeby tylko kopali mnie. Z taką niedbałą, niezbyt dokuczliwą siłą.

Posadzili mnie na krześle. Byłem teraz zobojętniały i tępy. Bili miarowo po szczękach. W głowie huczało. Pomyślałem tylko, że jak stracę przytomność to na pewno przestaną tłuc. Ale nie mogłem stracić przytomności.

I wtedy zacząłem wrzeszczeć ile sił.

— Bandyci!!!

Wąsik z pobłażliwym uśmiechem stał nade mną. Skinął na tamtych. Wkrótce dławiła mnie wepchnięta w usta mokra, śliska szmata. Wąsik siadł na krawędzi stołu i dalej patrzył na mnie zimnymi, bezlitosnymi oczyma węża. Tamci dwaj uśmiechali się.

Wąsik spojrzał na zegarek. Otworzył drzwi. Za chwilę przyszedł dyżurny. Tajni włożyli marynarki.

Dyżurny zdjął swoją i powiesił na krześle.

— Teraz ze mną zatańczysz, sukinsynie — dyżurny szczypnął mnie szorstkimi paluchami pod brodę. Zamknąłem oczy. Czekałem. Ogarnęło mnie znużenie, stan jakby półsenny.

Posłyszałem kroki tych tajnych. Oddalające się kroki. Teraz cisza... Czekałem.

— Wstawaj! — dyżurny wyszarpnął mi z ust szmatę. Wstałem posłusznie, po chwili uchyliłem powieki. Dyżurny przyglądał mi się dobrodusznie.

— Nie będę się paprał — mruknął jakby do siebie. Nałożył marynarkę.

Stałem przed nim sztywny, nieruchomy.

Zapalił papierosa, zaciągnął się dwa razy i wetknął mi w usta.

— Popal se...

Zakrztusiłem się dymem, wyplułem papierosa.

I rozpłakałem się żałośnie. Za chwilę — powodowany jakimś nieoczekiwanym odruchem wyciągnąłem z kieszeni legitymację związku młodzieży.

Zacząłem ją drzeć w zapamiętaniu na strzępy. Na coraz drobniejsze kawałki.

Dyżurny przyglądał się temu z pobłażliwym rozbawieniem.

— Oj, wy, młodzi — westchnął — ... sami sobie zawsze narobicie nieszczęścia... Jeszcze to teraz — popatrzył na strzępy legitymacji rozsiane po podłodze.

— Ja tego nie widziałem — dodał.

Otworzył drzwi.

— Zmykaj!

Niezgrabnym, ciężkim krokiem wyszedłem na korytarz. Na schodach obejrzałem się ostrożnie. Ale nikt nie szedł za mną.

Na ulicy trochę otrzeźwiałem. Była chłodna, wietrzna noc. Powlokłem się do tej knajpy skąd mnie zabrali ci tajni. Ewki i Ryszarda nie było. Szatniarz, stary kuternoga popatrzył na mnie współczująco.

— Ten Wąsik to wysoka szycha — zagadał — ... bardzo mocny... i ogier...

Szybko wyszedłem. Chodziłem bez celu pustą ulicą przy Pałacu Kultury. Pod dworcem elektrycznych pociągów ktoś krzyknął za mną. Przystanąłem, nie odwracając głowy. Był to Ryszard. Bardzo się ucieszył.

— Mogło być gorzej — powiedział — mogli cię zapakować do aresztu. Za chuligaństwo na przykład... Świadkowie są... Napadłeś tego z wąsikiem...

Obrzydliwa była ta jego niewolnicza mądrość. Ale zgodziłem się bez protestu.

— Mogli.

— A co z nią? — przypomniałem sobie o Ewce.

— Wrócili i wzięli ją ze sobą — odparł Ryszard, unikając mojego spojrzenia.

Tylko przez krótką chwilę pomyślałem o Ewce. Myśli w mojej głowie były jakby porwane na strzępy, żadna nie mogła rozwinąć się, ledwie rozpoczęta, zanikała gdzieś.

— Ale i tak dobrze — słyszałem jak z daleka głos Ryszarda. — ... Ten milicjant co nas pilnował, opowiadał, że kiedyś ten z wąsikami lepszą hecę urządził. Jedna dziewczyna nie chciała z nim pójść, więc oskarżył ją, że próbowała mu zegarek z ręki... No i zamknęli ją do paki...

Znów pomyślałem o Ewce. Ona na pewno teraz z Wąsikiem...

Już skończyła się ta moja historia z Ewką... Nieodwołalnie. Bolało mnie wszystko. Boki i piersi przy oddychaniu, a najbardziej głowa, coś niczym świder drążyło oczodoły.

Ostrożnie obmacałem twarz. Poprosiłem Ryszarda o lusterko. Mądrze bili, bez żadnych śladów.

Seweryn KWARC

Zapisane wczesnym rankiem

NIE TAK

Przebacz. Byłem strategiem jak wielu tych co przemykają się nocą koło ludzkich budowli.

Obliczałem gdzie stoją straże nim odważyłem się podejść do zamkniętych granic.

Wiedząc więcej, udawałem że wystarczy mniej, nie tak jak tamci, którzy dają świadectwo.

Obojętni na wystrzały, pogoń w gąszczu i urąganie.

Niech mędrcy i święci, myślałem, całej ziemi dar przyniosą, a nie językowi.

Ja chronię dobre imię, bo język jest moją miarą.

Sielankowy, dziecinny język, który wzniosłe zamienia w tkliwe

I rozpada się hymn albo psalm przewodnika chóru, zostaje kantyczka.

Niepełny był zawsze mój głos, inne złożyć chciałbym dziękczynienie.

A szczodrze i bez ironii, tej chluby niewolnych.

Za siedmiu granicami, pod gwiazdą zaranną,

W mowie ognia i wody i wszelkich żywiołów.

Czesław MIŁOSZ

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 215 — CZESŁAW MIŁOSZ

PRYWATNE OBOWIĄZKI

Retrospektywny wybór tekstów wybitnego poety i eseisty. Wybór jest poprzedzony zasadniczym wstępem Autora.

Str. 256. Cena F. 25 (dol. 5,50; £.2.00)

◆

TOM 216 — DANUTA MOSTWIN

JA ZA WODĄ, TY ZA WODĄ...

Powieść z życia polskiej emigracji powojennej w Stanach Zjednoczonych oraz z życia stypendystów PRL w USA. Ich wzajemne stosunki, konflikty i tęsknoty.

Str. 304. Cena F. 30 (dol. 6,50; £.2.50)

◆

TOM 217 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY PIERWSZY

Zawiera m.in.: Z. Siemaszko: *Grupa Szańca i Narodowe Siły Zbrojne;* L. Dobroszycki: *Prasa w Polsce w okresie kampanii wrześniowej i niemieckiego zarządu wojskowego;* St. Kirkor: *Sprawy finansowe Polski w przededniu ostatniej wojny;* St. Stempowski: *Ukraina (1919-1920);* A. Krzyżanowski: *Dzieje najnowsze Polski w oczach Zachodu* (cz. I-a); K. Iranek-Osmecki: *Sprawozdanie i dziennik podróży emisariusza Antoniego; 5-ta Brygada Wileńska A.K. mjr. Łupaszki;* P. Watowa: *Paszportyzacja;* L. Mitkiewicz: *Likwidacja Polskiej Misji Wojskowej w St. Zjednoczonych w 1945 r.* oraz DZIAŁY: SĄSIEDZI, RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. F. 18,50 (dol. 4,25; £.1.50)

Archiwum polityczne

O Żydach, Kosmopolakach i Wschodniakach

Żydzi w Ameryce stanowią tylko 3 % ogółu ludności. Jednak pomoc jakiej Żydzi amerykańscy udzielają Izraelowi wyraża się kwotą setek milionów dolarów.

Trzy procent to jest znikoma cyfra. Lecz Żydzi amerykańscy składający się na te trzy procent zajmują wybitne stanowiska w przemyśle, w handlu, w kołach finansowych. Oczywiście nie wszyscy Żydzi w Stanach Zjednoczonych są bogaczami lecz znaczna ich część to są ludzie zamożni i wpływowi.

Każdy z kandydatów na prezydenta USA ma coś do zaoferowania Izraelowi. Tylko w ten sposób można sobie zapewnić głosy i poparcie wpływowej mniejszości żydowskiej. Były prezydent Truman — gdy w czasie swej kampanii wyborczej wyraźnie kokietował Żydów — zapytany w tej sprawie przez jednego z dziennikarzy odpowiedział pytaniem: „ilu Arabów głosuje w Manhattan?".

W ubiegłym roku Sowiety w kilku okresach zwolniły znaczne ilości Żydów — licząc, że nagły napływ ludzi starszych wiekiem, nie znających hebrajskiego i przywykłych do innej mody życia spowoduje groźne obciążenie aparatu gospodarczo-administracyjnego Izraela. Żydzi amerykańscy pomogli bardzo wydatnie w rozwiązaniu tego problemu.

Nie ulega wątpliwości, że Żydzi w Stanach Zjednoczonych posiadają wpływy, znaczenie i pieniądze dysproporcjonalnie wielkie w stosunku do swej liczebności. Lecz — jak zaznaczył jeden ze znanych komentatorów radia nowojorskiego — to wszystko budzi u Amerykanów raczej podziw a nie reakcję antysemicką.

Arabowie wierzą święcie, że Żydzi „rządzą" Białym Domem i nikt nie przekona ich, że jest inaczej.

Żydzi w świecie a w szczególności Żydzi amerykańscy — są najpotężniejszym i najbardziej nieodzownym sojusznikiem państwa Izraela.

Ziemie Izraela istniały zawsze — lecz państwo Izraela pow-

stało bardzo niedawno. Stworzyli owo państwo i wywalczyli jego niepodległość — emigranci, Żydzi z diaspory. Tu należy szukać źródła dziwnego fenomenu. Stosunek emigracji żydowskiej jest zupełnie inny do państwa Izraela — niż stosunek emigrantów polskich, francuskich czy niemieckich do odnośnych krajów pochodzenia.

Religia, jako element jednoczący, odgrywa wielką rolę. Należy jednak sądzić, że znaczny procent Żydów amerykańskich to są ludzie nie wierzący, względnie religijnie obojętni. Podobnie w Izraelu istnieje konflikt — czasowo zamrożony — pomiędzy świeckimi ugrupowaniami a religijną ortodoksją. Kiedyś, gdy zewnętrzna sytuacja Izraela ulegnie stabilizacji — ów konflikt dojdzie do głosu.

Bezdomnym jest człowiek, który nie posiada domu. Natomiast nie jest bezdomnym człowiek, który posiada dom, choć w nim nie mieszka. Państwo Izraela sprawiło, że Żydzi w diasporze przestali być bezdomni. Żyd w Ameryce czy w Anglii — może nie znać innego języka poza angielskim — może być osiadły w tych krajach od pokoleń — lecz nie jest już tułaczem, ponieważ istnieje państwo Izraela, do którego każdy Żyd może powrócić.

Mimo imponujących osiągnięć — mimo pełnej amerykanizacji — Żydzi amerykańscy pozostali Żydami — aktywnie i ofiarnie zainteresowanymi losem swej dalekiej, egzotycznej i często nieznanej ojczyzny. Żydzi stanowią idealną emigrację. Zrealizowali dosłownie „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa".

Żydom powiodło się to, co nie powiodło się ani Księciu Adamowi Czartoryskiemu ani Generałowi Andersowi. Zdobyli swą ojczyznę z zewnątrz, z emigracji. Autochtonami w Izraelu są synowie i wnuki emigrantów, którzy wrócili, walczyli i odbudowali państwo Izraela.

Jeżeli przyjąć, że misją politycznej emigracji jest wyzwoleńcza odsiecz — to należy stwierdzić, że nikt doskonalej tej misji nie spełnił jak Żydzi. Nie dziwota, że emigracja żydowska w świecie wspomaga ofiarnie Izrael — bo to jest państwo emigrantów, naród, który odrodził się z emigracji.

Żydzi posiadają nie tylko wielu utalentowanych finansistów i *businessman*'ów — lecz również produkują w każdym pokoleniu bardzo wysoki odsetek wybitnych fizyków, matematyków, muzyków, itp.

Einstein nie był ani syjonistą ani człowiekiem religijnym w sensie ortodoksji żydowskiej. Zgodził się jednak napisać ów słynny list do Roosevelta, który dał początek tzw. „Manhattan Project" (bomba atomowa), gdy go wreszcie przekonano, że Niemcy dążą do fizycznej zagłady narodu żydowskiego w Europie.

Bertrand Russell napisał kiedyś, że antysemityzm obrócił się przeciwko Hitlerowi, bo usuwając Einsteina z uniwersytetu berlińskiego *Führer* pozbawił się tym samym bomby atomowej, która zapewniłaby mu zwycięstwo.

Nie podzielam tej opinii. Einstein nie udostępniłby bomby atomowej Hitlerowi, zakładając nawet że Hitler nie byłby antysemitą. Mimo, że Einstein był blisko związany z nauką i kulturą niemiecką — nie byłby udostępnił Niemcom bomby atomowej (tzn. swojej wiedzy i odkryć w tej dziedzinie) ponieważ wiedziałby, że Niemcy nie zawahają się użyć bomb nuklearnych przeciwko ogniskom nauki i kultury europejskiej jak Londyn czy Paryż.

Wystarczy przeczytać „The World as I See It" by zdać sobie sprawę z niewzruszonej humanistycznej moralności Einsteina. Był człowiekiem religijnym w tym sensie jak religijnym jest dzisiejszy Koestler — widziany zwłaszcza poprzez jego ostatnią książkę, którą cytowałem w poprzednim artykule.

Einstein był w owych czasach jedynym chyba człowiekiem, który zdawał sobie w pełni sprawę ze straszliwych perspektyw, które przed ludzkością otworzą bronie atomowe. Wiemy również, że był świadom olbrzymiej odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła.

Einstein był naukowcem i potrzebował niezbitych dowodów by powziąć decyzje. Gdy przekonał się, że Niemcy dążą do totalnego ludobójstwa narodu żydowskiego w Europie — uznał w swym sumieniu, że jest jego obowiązkiem przeciwstawić się tej apokaliptycznej zbrodni wszystkimi dostępnymi mu środkami. W niczym nie zmienia owego procesu decyzji fakt, że na skutek rozwoju sytuacji wojennej — bomba atomowa została użyta przeciwko Japonii a nie przeciwko Niemcom.

Andrzej Bobkowski — wybitny pisarz zmarły przed dziesięciu laty — wysunął swego czasu koncepcję „Kosmopolaka". Według tej teorii Polacy zagraniczni — by mogli odegrać pozytywną rolę jako Polacy — muszą wpierw wyjść z emigracyjnego getta i stać się wartościowymi członkami społeczeństw krajów osiedlenia. To jest mądra i logiczna koncepcja. Żydzi nie mieli nigdy wątpliwości, że muszą być Amerykanami, Brytyjczykami, Holendrami itp. — by móc skutecznie przysłużyć się sprawie Izraela. Potęga Żydów w Stanach Zjednoczonych polega na tym, że są zamożnymi i często wybitnymi i wpływowymi Amerykanami.

Uogólnienia są niebezpieczne, lecz nie można się bez nich obejść. Wyjątki — choćby liczne i jaskrawe — nie obalają uogólnienia jeżeli dane uogólnienie obrazuje prawidłowo *trend* procesu socjalnego.

Otóż wydaje mi się, że trudno zaobserwować wśród naszej emigracji *trend*, który by wskazywał, że przekształcamy się w Kosmopolaków. Ciasno pojmowany nacjonalizm obraca się przeciwko nam. Człowiek o dyspozycji nacjonalistycznej wynaradawia się trudno — lecz gdy raz przekroczy próg narodowościowy — wynaradawia się całkowicie. Natomiast patriota o głębokim liberalnym i humanistycznym poglądzie — potrafi być pełnowartościowym obywatelem amerykańskim czy brytyjskim i równocześnie aktywnym Kosmopolakiem.

Każdy dogmatyk (nacjonalizm jest zdogmatyzowanym poczuciem narodowym) funkcjonuje na zasadzie: białe-czarne. Na przykład: Katolik-Heretyk, Komunista-Rewizjonista, „Niezłomny"-Kolaborant itp.

Z tych przyczyn, gdy nacjonalista przekształca się w Amerykanina czy Brytyjczyka zmienia nazwisko, zaciera za sobą wszystkie ślady i stara się być „bardziej papieski niż papież". Znam nawet takich Polaków w Anglii, którzy mieli na imię Jan a dziś na ich papierze listowym figuruje imię John.

Polak, który posiadałby wybitną pozycję zawodową w świecie Zachodu i równocześnie nie wahał się swoich wpływów i znaczenia zaangażować w sprawie polskiej — tego typu Kosmopolaków posiadamy bardzo niewielu.

Kosmopolakiem jest Artur Rubinstein — najwybitniejszy z współcześnie żyjących odtwórców Szopena. Nie zmienił pisowni swojego imienia na Arthur i na obwolucie każdej jego płyty jest zaznaczone, że jest Polakiem. Nieporównanie niższej klasy pianista Andrzej Czajkowski — urodzony i wykształcony w Warszawie — figuruje na swoich płytach jako „André Tschaikowsky".

Artur Rubinstein jest z pochodzenia Żydem — Andrzej czyli „André" Czajkowski jest rdzennym Polakiem. Zjawisko bardzo charakterystyczne. Fakt, że Żydzi w diasporze są Kosmożydami — pomógł Rubinsteinowi zostać Kosmopolakiem.

Znam innego bardzo wybitnego Amerykanina polskiego pochodzenia, który nie zmienił imienia ani nazwiska i mówi płynnie po polsku — lecz będąc w Londynie odmówił wizyty w Instytucie Sikorskiego, ponieważ mogłoby to być poczytane za angażowanie się w sprawy emigracyjne.

Byłoby błędem przypuszczać, że brak nam za granicą uzdolnionych a często utalentowanych jednostek. Lecz utalentowani na ogół emigrują z emigracji. Nie stają się Kosmopolakami, ale przekształcają się w wartościowych obywateli obcych społeczeństw i w bilansie polskim figurują jako czysta strata.

Emigracja powojenna — „instytucjonalna" — a więc Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego, Rada Trzech, władze SPK, Instytuty Gen. Sikorskiego i Marsz. Piłsudskiego — to wszystko stanowi domenę emigrantów w wieku emerytalnym. Ludzie, którzy reprezentują żywą ideę niepodległościową, którzy byli wyższymi dowódcami Armii Polskiej, posłami na Sejm, przywódcy partii politycznych — to są panowie, którzy w większości wypadków przekroczyli 70-kę.

W rezultacie obserwujemy skostnienie postaw politycznych, które dla emigrantów poniżej 40-ki są niezrozumiałe. Przed kilku tygodniami w londyńskim *Dzienniku Polskim* toczyła się dyskusja na temat tzw. „Umowy Paryskiej" i „Legalizmu". Dyskusja toczyła się w czasie teraźniejszym, jakby to były aktualne, współczesne, żywe zagadnienia.

Kto to dziś pamięta i rozumie? Tylko weterani w wieku autora tych słów, lub starsi od niego.

Polityka niepodległościowa istnieje na emigracji jako „wspominkarstwo" — zrozumiałe wyłącznie dla siedemdziesięciolatków, którzy pamiętają prez. Raczkiewicza, gen. Sikorskiego, Strońskiego, „Rubens" i dobre czasy drugiej wojny światowej.

Nie jestem przeciwnikiem wspomnień. Żałuję na przykład, że nikt z nas nie napisał „Trzy po Trzy", które odmalowywałoby nie tylko boje lecz i najdrobniejsze szczegóły z życia Brygady Karpackiej. Lecz wspomnienia nie mogą zastąpić polityki a spory „prezydenckie" i konstytucyjne sprzed 30-tu laty nie mają nic wspólnego z współczesną działalnością niepodległościową.

Chciałbym zwrócić uwagę Czytelników na zjawisko, które niepokoi mnie od dawna. Nie można powiedzieć, że cała emigracja żyje w polskim getto. Znakomita większość emigracji, tak powojennej jak i najnowszej, żyje i pracuje wśród społeczeństw swoich krajów osiedlenia. Emigracyjni lekarze czy inżynierowie prowadzą normalne życie i są dziś naturalizowani nie tylko w sensie prawnym lecz i w sensie rzeczywistej integracji socjalnej.

Polski architekt, czy lekarz wraca do getta, gdy po dniu pracy bierze do ręki prasę emigracyjną.

Na każdej akademii rocznicowej, przy każdej okazji (i bez okazji) — deklamujemy o naszej przynależności do kultury Zachodu. Jesteśmy bardziej zachodni niż Anglicy czy Francuzi, jesteśmy skłonni pouczać wszystkich na temat fundamentalnych założeń kultury zachodniej. Każdy z nas jest jak Pan Miecznik Billewicz, który twierdził, że „początków jego domu w starożytnym Rzymie szukać należy".

Zachodni system (cywilizacja i kultura) przeżywa jeden z największych kryzysów. Niepokojąca jest skala tego fenomenu. Kryzys objął ustrój społeczny, ekonomię, filozofię, religie — usuwając twardy grunt spod naszych stóp. Wszystko poddawane jest w wątpliwość — nie tylko dogmaty religijne lecz również podstawowe przesłanki naukowe, filozoficzne i moralne, na których zbudowany był zachodni pogląd na świat.

Utraciliśmy największe osiągnięcie naszej cywilizacji, to jest gwarancję ładu i bezpieczeństwa. Dziś nic nie jest uładzone i nic nie jest pewne — od drobiazgów po rzeczy najistotniejsze. Poczta funkcjonuje nieregularnie, wsiadając do pociągu nikt nie ma pewności, czy za godzinę dana linia nie zostanie objęta strajkiem, podejmując podróż lotniczą ryzykujemy, że samolot zostanie uprowadzony. W centrum Paryża porwano sędziego w czasie rozprawy jako zakładnika. To wszystko są rzeczy, które dziś zdarzają się co drugi dzień, a które w roku 1910 w zachodniej Europie byłyby nie do pomyślenia.

Przed pierwszą wojną światową nie było technologii w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, lecz Renem nie płynęły ławice zdechłych ryb oblepionych smarami. Pociągi i poczta funkcjonowały z wzorową punktualnością. Zachodni Europejczyk mógł telegraficznie przekazywać pieniądze z Paryża do Szanghaju czy z Londynu do Nowego Jorku i mógł objechać świat (z wyłą-

czeniem Rosji) legitymując się tylko biletem wizytowym.

Nie jestem bynajmniej chwalcą przeszłości. Wówczas kiedy system zachodni zapewniał Europejczykom ład, porządek i bezpieczeństwo — uprawiano powszechnie wyzysk a służba zdrowia i inne służby społeczne nie istniały. Lecz ukrócenie wyzysku, olbrzymi awans klasy robotniczej i rozbudowa Welfare State — nie mogą być okupywane pogłębiającym się z roku na rok kryzysem gospodarczo społecznym.

W Anglii zbliżamy się do punktu kiedy strajk na większą skalę przestaje być operacją opłacalną. Strajki w podstawowych gałęziach przemysłu powodują tak gwałtowną zwyżkę kosztów utrzymania, że zdobyta poprzez strajk podwyżka płac staje się iluzoryczna. Robotnicy po kilku miesiącach przekonują się, że w sensie płac realnych nie poprawili swojej stopy życiowej i przystępują do nowego strajku. Powstaje błędne koło bez wyjścia.

Odsuwając na bok retorykę zarówno socjalistów jak i konserwatystów należy stwierdzić, że ani system kapitalistyczny ani system socjalistyczny nie mogą funkcjonować sprawnie dopóki klasa robotnicza nie poczuje się w pełni odpowiedzialna za losy państwa i jego gospodarki.

Wszystkie reformy gospodarczo-społeczne winny zmierzać do celu, który dziś góruje nad wszystkimi innymi celami. Tym celem winno być przekształcenie klasy robotniczej nie tylko w partycypanta lecz w udziałowca odpowiedzialnego za całość gospodarki i całość interesów państwowych. Dopóki robotnicy nie będą się czuli odpowiedzialni za państwo i jego gospodarkę, żaden system ekonomiczny nie ma szansy powodzenia.

Obserwujemy na całym świecie upadek wszelkiego autorytetu. Grupa wybitnych teologów wystosowała list do władz watykańskich w którym czytamy o „autorytecie bez odpowiedzialności".

W sprawach związanych z moralnością społeczną jak zapobieganie ciąży i legalne przerywanie ciąży — związek lekarzy brytyjskich zajmuje inne stanowisko niż politycy, a teologowie zajmują odmienne stanowisko zarówno od lekarzy jak i polityków.

Trudno jest dziś o porozumienie w jakiejkolwiek istotnej sprawie ponieważ utraciliśmy — niegdyś wspólną ludziom Zachodu — skalę kryteriów oceny.

Spotykamy nie różne — lecz całkowicie sprzeczne opinie w podstawowych sprawach jak wzrost ekonomiczny, „wybuch ludnościowy", wystarczalność zapasów surowcowych, zagrożenie zatruciem przemysłowym *(pollution)* itd., itp.

Pytanie brzmi — czy przeżywamy trudną fazę stanowiącą przejście z jednej epoki do drugiej — czy też przeżywamy okres zmierzchu i upadku naszej cywilizacji. Tak za pierwszym jak i za drugim poglądem można przytoczyć dziesiątki argumentów. Równie niebezpieczny jest fatalistyczny katastrofizm jak i naiwna wiara, że cywilizacja Zachodu jest nieśmiertelna.

Bardzo wiele cywilizacji — niektóre z nich długowieczne i wspaniałe — które poprzedziły adwent naszej cywilizacji — wykazywały nieodmiennie trzy stadia rozwojowe: narodziny, rozkwit, upadek.

Gdyby nasza cywilizacja upadła z historycznego punktu widzenia byłoby to zjawisko naturalne i zwyczajne.

Lecz analiza kryzysu współczesnego nie stanowi głównego zadania niniejszego artykułu.

Chodzi mi o podkreślenie faktu, że emigracja nie bierze żadnego udziału w dramacie cywilizacji Zachodu. W prasie emigracyjnej nie poświęca się tym sprawom niemal żadnej uwagi a sporadyczne artykuły na te tematy pisane są zawsze z pozycji „obcego korespondenta". To nie jest nasz dramat, to nie są nasze problemy, więc po co się tym przejmować?

Rosjanin z takiej czy innej misji sowieckiej w Londynie — może sobie powiedzieć: „jestem człowiekiem Wschodu a dramat, który tu obserwuję — nie dotyczy mojej kultury, mojej cywilizacji, mojej ideologii".

Po pracy nasz Rosjanin — zależnie od wewnętrznej postawy może wziąć do ręki albo książkę Sołżenicyna albo numer *Izwiestii*. Tak czy inaczej będzie u siebie w domu — w kręgu wschodniego odłamu europejskiej cywilizacji.

Lecz gdzie my, Polacy, czujemy się u siebie w domu?

Młodzi ludzie z Kraju często marzą o dłuższej wycieczce na Zachód. Gdy wreszcie zjawią się na tym upragnionym Zachodzie przekonują się, że wszystko działa im na nerwy. Nie znoszą Anglików, wykpiwają Francuzów, pogardzają Amerykanami.

Wśród młodych i nie tak już młodych autorów nowej emigracji przyjął się styl pisania o problemach Zachodu w sposób kpiarski i ironiczny. Chciałbym tym Panom przekazać następującą uwagę starego i doświadczonego obserwatora. „Wygłupianie się" może być środkiem ekspresji pod warunkiem, że autor posiada talent skali Gombrowicza. Poważny artykuł może być nudny — lecz nic nie ma bardziej nudnego i przygnębiającego jak ironizowanie i wygłupianie się bez talentu. Podobnie tzw. ordynarne określenia mogą stanowić ważny element ekspresji literackiej pod warunkiem, że autor posiada talent co najmniej Marka Hłaski. O tym czy dany obraz jest arcydziełem czy tylko zwykłą pornografią — decyduje również i wyłącznie talent malarza.

Lecz to drobna dygresja na marginesie.

Spójrzmy na interesującą nas sprawę z innej perspektywy. Ameryka jest olbrzymim kontynentem. W rezultacie może być izolacjonistyczna tak w sensie politycznym jak i kulturalnym. Amerykanin nie musi szukać identyfikacji kulturalnej poza granicami swego kraju. Może stwierdzić: należę do kultury amerykańskiej i na tym kropka.

Podobnie większość Chińczyków nie należy do innej kultury tylko do chińskiej, która w pełni ich określa.

W porównaniu z Ameryką czy z Chinami Polska jest bardzo

mała, tak w sensie terytorium jak i liczebności mieszkańców. Z tej przyczyny Polska nie może być samowystarczalna i izolacjonistyczna ani w sensie gospodarczym ani kulturalnym. Nie identyfikując się ani z Wschodem ani z Zachodem Polacy zepchnęliby swoją kulturę do rangi kultury regionalnej. Kultury regionalne bywają oryginalne i interesujące — niemniej są zawsze prowincjonalne.

Człowiek o wątłym, prowincjonalnym zapleczu kulturalnym — skonfrontowany z kulturą zachodnią w jej głównych ogniskach jak Paryż czy Londyn — przybiera jedną z dwóch skrajnych postaw. Albo pogardliwie wykpiwa i wyszydza wszystko i wszystkich — albo przeciwnie poprzez imitację stara się upodobnić do otoczenia. Zbędne dodawać, że obie postawy są manifestacjami kompleksu niższości.

Kultura zachodnio-europejska jest terminem złożonym. Oznacza zarówno kultury narodów jak Brytyjczyków czy Francuzów, jak i sumę cech wspólnych, które sprawiają, że choć każdy naród zachował swoją odrębność — to przecież wszystkie narody zachodnio-europejskie tworzą cywilizacyjnie i kulturalnie swój własny świat.

Jeżeli Polska należy do świata kultury zachodniej, jak wielu z nas uporczywie twierdzi — Polak na Zachodzie Europy powinien się czuć u siebie w domu tak, jak u siebie w domu w sensie cywilizacyjno-kulturalnym czuje się Belg w Londynie czy Brytyjczyk w Amsterdamie.

Jestem Polakiem zachodnim i dlatego kryzysu — o którym była mowa powyżej — nie analizuję jako „obcy korespondent". To jest kryzys mojej kultury i mojego świata. Poza ramami Zachodu czułbym się wyobcowanym przybyszem niezdolnym do aklimatyzacji. To nie oznacza, że identyfikuję się narodowo czy państwowo z Brytyjczykami czy Holendrami. Oznacza to natomiast, że jako Polak — kulturalno-cywilizacyjnie jestem wyznania zachodniego.

Bynajmniej nie uważam mojej postawy za wzorzec, który powinien ogólnie obowiązywać. Należę do przejściowej formacji emigracyjnej, ukształtowanej wojną, opozycją w stosunku do reżymu komunistycznego w Kraju i dziesiątkami lat pobytu na Zachodzie. Sytuacja mojego pokolenia była wyjątkowa i niepowtarzalna.

Ogólnie biorąc należy stwierdzić, że polska pro-zachodniość wypływa nie tyle z miłości do Zachodu co z nienawiści do Wschodu. Uważamy Wschód i Zachód za antytezy. Daje to czasem niespodziewane wyniki.

Niemcy są niewątpliwie narodem zachodnim. Trudno wyobrazić sobie kulturę zachodnią bez Kanta, Mozarta, Beethovena, Goethego, Tomasza Manna. Równocześnie hitlerowska Trzecia Rzesza z polityką ludobójstwa i obozami zagłady — stanowiła największe wynaturzenie cywilizacji zachodniej znane w dziejach.

Po latach okupacji i po piekle Oświęcimiów — komunizm oferował Polakom wschodnią antytezę.

„Stalinowska przygoda literatury polskiej" — o której tak wnikliwie napisał Witold Wirpsza w kwietniowym zeszycie *Kultury* nie byłaby w ogóle możliwa bez nocy hitleryzmu. W porównaniu z tymi ciemnościami wszystko musiało wydawać się białym dniem — nawet stalinizm.

Jest już jednak czas bym ujął w karby moje nieprzeparte zamiłowanie do dygresji i sformułował tezę niniejszego artykułu.

Getto na emigracji jest odpowiednikiem prowincjonalizmu w Polsce. Polska będzie produkowała Kosmopolaków za granicą gdy sama przestanie być prowincją.

Kiedy Polska w sensie cywilizacyjno-kulturalnym przestanie być prowincją?

Choć jestem arcy-zachodni twierdzę, że gdyby przywrócić stan rzeczy z 1939 roku z „kordonem sanitarnym" oddzielającym Rosję Sowiecką od reszty świata — Polska nie przestałaby być prowincjonalna. Zamiast prowincją Wschodu bylibyśmy prowincją Zachodu i to wszystko.

Fakt, że w porównaniu z Anglią czy Francją jesteśmy państwem średniej wielkości o średnim potencjale kulturalnym nie decyduje w tej sprawie.

Jesteśmy najbardziej pro-zachodni wówczas kiedy od Zachodu jesteśmy odcięci. Gdy natomiast jesteśmy w całości w orbicie zachodniej — budzą się wśród nas reakcje anty-zachodnie.

Geograficznie Polska została „przesunięta" na Zachód. Lecz kultury nie można nigdzie przesuwać. Jeżeli przyjąć wprowadzony przez Bohdana Osadczuka podział Polaków na „wschodniaków" i „zachodniaków" — to wypada stwierdzić, że najwybitniejsze nazwiska w literaturze polskiej to są „wschodniacy". Wyśmiewane przez intelektualistów i uwielbiane po dzień dzisiejszy przez pokolenia Polaków postacie Sienkiewiczowskiej „Trylogii" składają się niemal wyłącznie ze „wschodniaków".

Tłem naszego eposu narodowego — mam oczywiście na myśli „Pana Tadeusza" — nie jest Małopolska czy Poznańskie tylko wschodnie kresy Rzeczpospolitej. Urocza, śpiewna, pełna rusycyzmów polszczyzna „Pana Tadeusza" jest klasycznie wschodniacka.

Józef Piłsudski był „wschodniakiem" a jego niechęć do niesfornego polskiego parlamentaryzmu była typowo wschodnia.

Niżej podpisany przyznaje otwarcie że jest „zachodniakiem" uformowanym przez kulturę Zachodu. Natomiast autor „Londyniszcza" — wybitny znawca literatury rosyjskiej — skoczyłby każdemu do gardła, kto by go posądził o uleganie wpływom kultury wschodniej.

„Wschodniacy" nienawidzą Rosji znacznie bardziej niż „zachodniacy" i choćby mówili polszczyzną obficie okraszoną rusycyzmami — nigdy nie przyznają, że w znacznej mierze zostali uformowani przez kulturę rosyjską.

Jak wiadomo nie ma znawstwa Rosji, są tylko różne stopnie

ignorancji w tej dziedzinie. Lecz przyjmując powyższe założenie bardziej ufam ocenie eksperta „zachodniaka" niż eksperta „wschodniaka". Intuitywne wyczucie Rosji jakie posiadają „wschodniacy" jest wypaczone nienawiścią i stronniczością. Przejęty ze Wschodu pryncypializm utrudnia im — a często uniemożliwia — obiektywne spojrzenie na Rosję i wszystko co rosyjskie. Oczywiście jak wszędzie tak i w tej dziedzinie są wyjątki, które potwierdzają regułę.

Nie ma żadnej sprzeczności pomiędzy kulturą rosyjską a kulturą zachodu — choć obie kultury są różne. Pomiędzy Rosją a Zachodem istnieją natomiast zasadnicze sprzeczności ideologiczno-ustrojowe. Wszystko zależy o jakiej Rosji mówimy. Czy o Rosji Breżniewa czy o Rosji Sołżenicyna.

Breżniew reprezentuje tradycje tyrańskiej władzy i jest następcą carów, tak jak KGB jest następczynią Ochrany.

Sołżenicyn jest niemniej tradycyjnie rosyjski jak Breżniew. W swojej postawie pisarza-proroka (List Wielkopostny!) reprezentuje odwieczną „inną Rosję" i brak mu tylko tołstojowskiej chłopskiej siermięgi do skompletowania swojej tradycyjnej sylwetki.

Wkład „wschodniaków" do kultury polskiej był dysproporcjonalnie wielki w stosunku do ich liczebności. Lecz nie chodzi w tej sprawie o ilość ani nawet o jakość, tylko o inność.

Wschodniość „wschodniaków" (obojętne czy się do owej wschodniości przyznają) — stanowi zasadniczy współ-element polskiej kultury. Polska kultura nie może być czysto zachodnia ani czysto wschodnia — ale musi pozostać wschodnio-zachodnią ponieważ w ten sposób została uformowana przez wielosetletni proces historyczny. Trwałe zmiany polityczne, które prowadziłyby do całkowitego uwschodnienia czy uzachodnienia Polski — musiałyby w konsekwencji wyrazić się pozbawieniem kultury polskiej jej historycznej oryginalności. Kultura nasza uległaby sprowincjonalnieniu — utraciłaby swą dziejową ciągłość i sens.

Być może nigdy nie odzyskamy Kresów Wschodnich. Młodemu pokoleniu w Kraju nie zależy na Lwowie i Wilnie — bo młodzi nie znają tych miast i nic ich z nimi nie łączy. Myślę, że wyznanie Andrzeja Brychta w tej sprawie na łamach *Kultury* było reprezentatywne.

Polska przeżyje utratę ziem wschodnich lecz kultura polska nie może obejść się bez „wschodniaków". Ci ostatni są na wymarciu. Nie będzie więcej Miłoszów, Mackiewiczów, Wańkowiczów i legionu innych, którzy choć różnili się między sobą — tworzyli łącznie istotną i charakterystyczną część składową kultury polskiej.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji?

Musimy pogodzić się z faktem, że żyją wśród nas — w Kraju i na emigracji — ostatnie pokolenia „wschodniaków". Polacy urodzeni dziś na byłych ziemiach wschodnich Rzeczpospolitej nie będą mieli szansy ani możliwości brania bezpośredniego udziału w tworzeniu kultury polskiej.

Jednak wzorzec kultury polskiej jednoczący elementy Wschodu i Zachodu w własną oryginalną całość — pozostał niezmieniony. Zarzucenie owego historycznego wzorca zredukowałoby naszą kulturę do rangi prowincjonalnego regionalizmu.

Nie ma przed nami ucieczki przed Wschodem na Zachód — ani nie ma przed nami ucieczki przed Zachodem na Wschód. Należymy bowiem tak do Wschodu jak i do Zachodu i powinniśmy rozwijać i pielęgnować ową dwoistość, która jedyna może nas uchronić przed zdeklasowaniem tak w sensie politycznym jak i kulturalnym.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

EIN HADASZ TACHAT HASZEMESZ —

znaczy po hebrajsku „nic nowego pod słońcem", po łacinie zaś *nil novi sub sole*. To mądre acz nieodkrywcze stwierdzenie należy, jak udało mi się po długotrwałych studiach ostatecznie ustalić, do króla Salomona, tego od królowej Saby, a nie do Rabbi Akiby, jak tego chcą niektórzy moi przyjaciele. Powołują się oni stale na tego rebego, aby móc machnąć ręką, powiedzieć *naplewat'*, że niby wszystko już było i uzasadnić w ten sposób beznadzieję wszelkiego reformatorstwa i rewizjonizmu. Ten Akiba, który zginął w kwiecie wieku, bo miał lat 120, z rąk rzymskich sołdatów 1.000 lat po Salomonie, był jednym z najmądrzejszych Żydów, mimo, a może właśnie dlatego, że nauczył się czytaty i pisaty dopiero w wieku lat 40. Miejsce Saby zajmowała u boku Akiby inna kobieta. Niewdzięczny przyszły mędrzec odebrał ją gospodarzowi, u którego zarabiał na życie rąbaniem drzewa, ale za to kiedy z nią wrócił przyprowadził na dodatek jeszcze 24.000 uczniów. Resztę życia spędził Akiba na modlitwie i wymyślaniu Talmudu. Nie wymyślił natomiast *nil novi sub sole* bo nie znał łaciny i zbyt szanował Salomona aby go plagiować.

Zdemaskowanie Akiby było niezbędne, aby zacząć jakoś felieton, gdzie roić się będzie od rzewnych wspomnień, mogących sugerować, że rzeczywiście wszystko już było. A ja tymczasem wcale tak nie uważam. Nie wszystko już było. Na przykład nie było jeszcze czegoś takiego jak Sąd Najwyższy w Warszawie, który po to aby zatwierdzić niesłychane zupełnie wyroki w procesie młodych zapaleńców z „Ruchu" musiał zaprosić na rozprawę czterech poważnych pisarzy akurat autorów listu protestującego właśnie przeciw tym wyrokom w pierwszej instan-

cji. Albo ktoś chce sprowokować „wydarzenia marcowe", albo ktoś jest po prostu bardzo głupi. Albo jedno i drugie naraz, jakoże naturalnie należy wykluczyć aby taki cyniczny idiotyzm mógł popełnić naprawdę najwyższy i choćby częściowo tylko niezależny sąd.

Ale do tego aby to ustalić nie potrzebny jest aż Akiba. Wystarczy małe dziecko. My zaś cofnijmy się o lat dziesięć.

Smutek tropików

Był cudowny tropikalny poranek, kiedy w maju 1962 wylądowałem na Kubie. Niebo błękitne, kontrast zupełnie fantastyczny z cuchnącą atmosferą czechosłowackiej starej „Brytanii", której wnętrze przypominało częściowo Arkę Noego a częściowo statek z epoki „Pana Balcera" w Brazylii. W hotelu „Capri" pokój nie był gotowy, bo socjalizm trwał już dwa lata. W kawiarni wypiłem za to małą kawę, po której dostałem małego ataku serca i zrozumiałem dlaczego Kubańczycy choć nie pracują, to nigdy nie śpią, zwłaszcza w nocy.

To były czasy! Po Malekonie, nadoceanicznym bulwarze, latały żerańskie „Warszawy", które miały uratować kubański transport miejski zamierający bez dostaw z USA. Było z tym dużo zabawy, bo „Warszawy", znane skądinąd z dobrej kowalskiej roboty, nie najlepiej trzymały się hawańskiej jezdni, tym bardziej, że rozgrzany 40-stopniowym (w cieniu) upałem asfalt był obficie zwilżony oliwą produkcji ZSSR, niedostosowaną do wymagań tropików i wyciekającą z nieszczelnych karterów.

Mniej zabawne były kabarety. Neo-purytanizm fidelowski zwiastował już ich koniec, ale na razie były otwarte. Nic się w nich jednak nie działo, albowiem satyra była już rewolucyjna, to znaczy już jej nie było. Pozostała muzyka, fantastyczna zresztą, no i spacery wspaniałych różnokolorowych dam. Zbudowane jak marzenie, „modele" bo tak się zwały, nie tańczyły, nie śpiewały, tylko poruszały się po scenie. Ale jak się poruszały? I czym? Po drugim *show*, gdzieś ok. 4-ej rano, kiedy miasto się dopiero ożywiało, po owe panie przychodziły mamy i zabierały je do domu. Nie daj Boże pomylić i wziąć te prawdziwe artystki za coś innego!

Mimo piorunującego wrażenia jakie na przybyszu, nawet z Warszawy, robiły „modele" z Hawany, nie to jednak zaskakiwało naprawdę gości z Europy Wschodniej.

Oblatany w bojach facet z bratniego kraju, weteran XX zjazdu, Berlina, Października, Budapesztu dostawał szoku w obliczu zupełnie nieprawdopodobnego zjawiska jakim był najzupełnie szczery podziw Kubańczyków dla ZSSR i ich najzupełniej nieudawana sympatia dla kraju Rad. Kubańczycy, przechodzący wówczas dziecięcą chorobę naiwnego rewolucjonizmu, byli najgłębiej przekonani o absolutnym — jak mawiał Lejzorek Rojtszwaniec — internacjonalizmie ZSSR i bezinteresowności jego

pomocy dla Kuby. Uczucie to tym bardziej wyglądało na uzasadnione, że codziennie wpływał jakiś nowy statek z towarami sowieckimi. Prasa poświęcała tej pomocy całe strony, według znanych nam straszliwych wzorów lat 1950-52, ale podczas gdy taka propaganda w Polsce np. dawała odwrotne do zamierzonych rezultaty, to na Kubie, jak w przedszkolu, dorośli byli traktowani poważnie.

Dziennikarze, którzy nie wszyscy uwielbiali ZSSR, zbierali się różnie. Albo w La Torre, przecudownej knajpie na ostatnim piętrze wieżowca *nur für Deusche* — to znaczy tylko dla obcokrajowców, albo u mnie w hotelu, gdzie wódka, szynka i Camele szalenie ułatwiały giełdę informacji, jakoże z gazet niczego dowiedzieć się nie można było. Był ten mój *duplex* w hotelu także kuźnią marksistowskiej interpretacji decyzji Fidela Castro, nieraz szalenie trudnych do zrozumienia dla kapitalistycznych pismaków i agentów CIA.

I tak płynęło *dolce far niente*, z rzadka tylko przerywane egzekucjami „kontrrewolucjonistów", likwidacją *gusanos* (robaków) czyli przeciwników ustroju, oraz żywiołowym upaństwowianiem zakładów szewskich, małych sklepików i tym co jeszcze zostało. Nieskazitelną linię horyzontu mącił statek typu „Rex", czyli amerykańska pływająca stacja szpiegowska, zakotwiczona na granicy wód terytorialnych Kuby, a niebo przecinał jakiś U-2, nieosiągalny dla rewolucyjnych dział przeciwlotniczych.

Turyści z czubczykiem

Ospała atmosfera gnuśności tropikalnej zaczęła się ożywiać dopiero gdzieś w lecie 1962 roku. Z podróży do Moskwy wrócili kolejno i szalenie pewni siebie brat Fidela, Raul Castro (najbardziej nieszczęśliwy zwycięzca na świecie: nie rosła mu broda, a *barbudo* bez brody nie ważny) oraz Ernesto Guevara, jedyny gubernator banku, który banknoty państwowe podpisywał przydomkiem „Che". Niedługo po ich powrocie rosnąca liczba statków sowieckich zaczęła w rozmaitych portach kubańskich rozładowywać jakieś dziwne części i aparaty. Równocześnie z ciężarówek marki „ZIS" wysypywać się zaczęły w Hawanie niezliczone oddziały turystów. Dziwni to byli jacyś turyści. Wyskakiwali w karnym szyku, chodzili marszowym krokiem, zorganizowanym uderzeniem ogałacali sklepy, z tego co jeszcze w nich było, i wszyscy nosili te same prześliczne kwiaciaste bluzki w 5 wariantach, takie same sandały, tak samo byli ostrzyżeni, pod linijkę i z czubczykiem, mówili po rosyjsku i wyraźnie czuli się nieswojo w cywilu.

Na dziennikarsko-dyplomatycznej giełdzie zawrzało. Wódki szło więcej niż zwykle, Fidel znikał jeszcze bardziej często, jeżeli to w ogóle było możliwe, kubańscy majorzy (wyższe stopnie zostały zmiecione przez rewolucję) chodzili bardzo zaaferowani. Wszyscy już wiedzieli, że Kuba dostała nowy sprzęt do zabawy. Ale jaki? Ba, oto było pytanie.

22 października z „dobrze poinformowanych zachodnich źródeł" dowiedzieliśmy się, że Kennedy ma wygłosić wieczorem bardzo ważne przemówienie. Przemówień bardzo ważnych słyszałem już w życiu wiele, ale tym razem sprawy miały się inaczej. Przekonał mnie pewien ambasador skandynawski, który przyleciał do Hawany z Meksyku, gdzie miał stałą siedzibę, aby być w oku cyklonu. I rzeczywiście był. U niego właśnie, przy jego whisky i z jego tranzystora wysłuchaliśmy mowy Kennedy'ego.

Wszystko było już jasne. Jak wiemy z późniejszych źródeł, w tym z pamiętników Nikity, pomysł zainstalowania rakiet balistycznych na Kubie przyszedł Chruszczowowi do głowy w czasie pobytu w Bułgarii (pobyty w Bułgarii nie mają dobrej tradycji, Gomułka też tam bawił kiedy Moczar zainaugurował „wydarzenia marcowe"). Jak pomysł się znalazł, to reszta była już formalnością. Naiwny wtedy jeszcze Fidel od razu uwierzył, że rakiety niezbędne są dla zwycięstwa rewolucji światowej, na czym mu osobiście bardzo zależało. Dzięki temu, o 150 km od Florydy, w centrum amerykańskiego Mare Nostrum, powstała w ciągu kilku tygodni sowiecka baza atomowa. Najważniejsze ośrodki USA z Waszyngtonem i Nowym Jorkiem na czele znalazły się w zasięgu rakiet z San Cristobal. Nazwa miejscowości też nie jest przypadkowa. Krzysztof Kolumb niepotrzebnie odkrył Amerykę, teraz inny Krzysztof miał się przyczynić do jej zguby.

Kennedy był innego zdania, bo nie chciał zguby Ameryki. Wont, powiedział, bo jak nie, to zaczniemy strzelać. Zachwialiście w bezczelny sposób równowagą światową. Na razie zastosujemy blokadę, tak aby nic nowego z rakietowej branży na wyspę nie doszło. A potem trzeba będzie się wyprowadzić.

Nieśmiała CIA

Oczywiście, zanim doszło do przemówienia Kennedy'ego, w USA też nie wszyscy wszystko wiedzieli i nie wszystko było jasne. W ogóle to na Kubę podejrzanie patrzono od dawna, od kiedy okazało się, że Fidel to nie żaden nowy Battista, a nawet wprost przeciwnie, nagle komunista. Niepokój wzrósł poważnie po wizycie Raula w Moskwie w lipcu 62, a zwłaszcza potem jak CIA zauważyła, że gwałtownie rośnie liczba statków sowieckich zawijających na Kubę, liczba „doradców" oraz specjalistów od elektroniki wojskowej. „Coś nie tak", powiedzieli w Waszyngtonie, ale nawet najczarniejsi prorocy i najmądrzejsi fachowcy nie wyobrażali sobie, że Chruszczow odważy się zainstalować na Kubie atomowe rakiety balistyczne. On jest na to za mądry, mówił sam Kennedy, on wie, że nasza riposta będzie kategoryczna. Tylko McCone, szef CIA, nieśmiało wtrącał, że *ceterum censeo*, że wszystko jest u Nikity możliwe, ale szybko się wycofywał obawiając się szyderstwa ze strony kolegów, też fachowców od bezpieczeństwa USA. W tej sytuacji dla CIA nie

było nic do roboty, więc McCone ożenił się i wyjechał do Europy w podróż poślubną.

Wszyscy się mylili, a McCone, choć on jeden się nie mylił, musiał przerwać podróż poślubną, ale historia nie podaje w jakim momencie.

Albowiem 14 października nad Karaibami wstał nareszcie bezchmurny poranek. „U-2" majora Andersona poleciał w zwyczajny rejs nad Kubę. Po wielu dniach chmurnej pogody, nareszcie zdjęcia wyjdą cacy. I rzeczywiście. Po wywołaniu okazało się, że w San Cristobal gotowych jest 24 wyrzutni średniego zasięgu i 16 wyrzutni dalszego zasięgu, że 42 rakiety czekają zmontowane, że są już hangary na Ił-28, i że wszystko chronione jest przez rakiety przeciwlotnicze SA-2.

Głodny radca Fomin

Tak rozpoczął się „najdłuższy tydzień" w powojennej historii USA. Kiedy wywołano zdjęcia był już wieczór, wszyscy lokatorzy Białego Domu i okolic byli na uroczystych *diner*'ach, więc postawiono nie psuć zabawy Kennedy'emu i Jacqueline i poczekać do rana. O godz. 8.45 przy porannej kawie, prezydent dowiedział się, że jego kraj jest w zasięgu balistycznych i atomowych rakiet sowieckich, zainstalowanych na Kubie. Zachował się spokojnie, jak przystało na prezydenta dużego kraju, dopił kawy, bo stygła, po czym powiedział po angielsku „ha" i zwołał Radę Bezpieczeństwa Narodowego. Ponieważ Kissingera jeszcze wtedy nie było, więc trzeba było radzić sobie samemu. Ale i tak nikt nie miał wątpliwości, że tak dalej być nie może, że trzeba bazy atomowe na Kubie zlikwidować. Ba, ale jak? Według obliczeń fachowców, Kennedy miał 10 dni czasu zanim rakiety staną się operacyjne. Po pierwsze, nakazał więc całkowity kamuflaż operacji. Wszyscy mieli zachowywać się jak gdyby nigdy nic, chodzić na kocktajle i grać w golfa. Po drugie, kazał opracować wszystkie możliwe warianty riposty, od zmasowanego ataku z powietrza aż po desant *marines*.

Dopiero w środę, po dwóch dniach takich rozważań, a czas uciekał, niejaki Mac Namarra, były prezes General Motors, minister wojny u Kennedy'ego, a obecnie prezes Banku Światowego (to dopiero karuzela), wymyślił blokadę, którą dla zmylenia przeciwnika nazwano wówczas kwarantanną. Taka operacja miała wszystkie dobre strony bardzo złej operacji. Stanowiła ostrą reakcję na sowiecką grandę, ale nie zamykała żadnej drogi ani do pokoju, ani do wojny (odpukać). Zaczął się zupełnie nieprzytomny prawdziwy *danse macabrrrre*. Noty, oskarżenia, dementi, awantury, wszystko splątało się i nikt już nie rozumiał kto komu i na co odpowiada. Zorin tak bardzo kłamał w ONZ, że Stevenson, który pokazywał przecież zdjęcia wykrzyknął, iż „poczeka aż piekło zamarznie, aż Zorin wykrztusi *sorry*". Najbardziej niesamowita i prosto z Kafki była czwartkowa wizyta Gro-

myki w Białym Domu. Kennedy wiedział, że Gromyko nie wie, że Kennedy wie, że rakiety są na Kubie, w związku z czym Gromyko przekonywał Kennedy'ego, że rakiet na Kubie nie ma, a Kennedy słuchał, bo nie chciał aby Gromyko wiedział, że Kennedy wie, że rakiety istotnie na Kubie są. I tak doszło do 22 października, kiedy Kennedy powiedział, że wie o tym o czym Rosjanie myśleli, że Kennedy nie wie.

Kiedy się tak to wszystko kotłowało, a świat naprawdę zaglądał śmierci w oczy, kiedy Chruszczow wysyłał jakieś obłąkane listy, gdzie daty były tak poplątane, że nie można było ustalić ich dokładnej kolejności, kiedy wobec tego Waszyngton już szykował atak na Kubę i na bazy, wtedy nagle zadzwonił telefon w redakcji American Broadcasting Corporation w Waszyngtonie i ktoś mówiący fatalnym rosyjskim akcentem poprosił do aparatu p. Johna Scali, znanego reportera ABC.

Dzwonił stary znajomy Aleksander Fomin, radca ambasady ZSSR. „A może byśmy coś zjedli?", zaproponował Rosjanin. Scali był akurat głodny, więc się natychmiast spotkali w knajpie. Po pierwszej wódce Fomin powiedział „Panie drogi, przecież może być gorąco. Po co ta cała awantura? Co pan myśli, gdyby tak ZSSR zgodził się wycofać rakiety w zamian za gwarancję USA nie zaatakowania Kuby...? Scali nie zjadł deseru, zbladł, i poleciał do Białego Domu. Po chwili zadzwonił do Fomina: „A może kawka u Hiltona?". Na miejscu, Scali powiedział: „Wie Pan zdaje się, że to nienajgorszy pomysł, może z tego coś wyjść". Teraz z kolei Fomin zbladł, rzucił na stół 5 dolarów, choć wypił małe jasne za 30 centów i poleciał do ambasady.

Mniejsza o dalsze komplikacje, szkoda nerwów, już i tak było po wszystkim. W niedzielę 28 października słońce znowu świeciło dla wszystkich. Już z piątego zdania długiego listu Chruszczowa wyskakującego (listu nie Chruszczowa) z dalekopisów w Białym Domu wynikało, że „aluzju poniał" i że Rosjanie się wyniosą. Statki już zawróciły, rakiety będą zdemontowane i zabrane, a inspekcja ONZ będzie mogła sprawdzić co i jak na miejscu na Kubie. Było więc ogólne buzi, a całość zakończyła się bardzo wesołym oberkiem.

Chruszczow „semper in-Fidel"

Zapomniano tylko o drobiazgu, o Kubie i Fidelu, który bardzo nie lubi jak o nim zapominają. Fidel zasępił się od razu po mowie Kennedy'ego. Nie ze strachu przed jankesami, bo zmiażdżenie USA było dla Kuby tylko kwestią czasu, ale z powodu braku ostrego kontr-ultimatum ze strony Moskwy. Trudno, pomyślał Fidel, w Moskwie na pewno opracowują coś zupełnie extra. Kiedy pierwszy statek, tankowiec, zdaje się „Bukareszt", przeszedł przez blokadę, w Hawanie zapanował nastrój jak we Wiedniu po zwycięstwie Sobieskiego. Kiedy wpłynął potem do portu polski frachtowiec, nazwy nie pamiętam, pijani byli

wszyscy marynarze, kubańska służba celna i wywiadowcza, spora część dyplomacji i międzynarodowego dziennikarstwa, a nawet, cicho sza, pewna eminencja z nuncjatury.

Chmurka jednak wróciła na czoło Fidela, kiedy dowiedział się, że niektóre okręty sowieckie, te ważniejsze i bez nafty w środku, zawróciły i płyną do domu. A potem jak grom z jasnego nieba spadła na Fidela depesza o kapitulacji Chruszczowa. Fidel początkowo w ogóle nie chciał uwierzyć. Jak zdradzony naiwny kochanek powtarzał „to być nie może", Rosjanie tak nie mogli postąpić, przecież powiedzieliby choć słówko i nam, tu na miejscu. Kiedy jednak nadeszło potwierdzenie z samego TASS'a Fidela mało szlag nie trafił.

Najpierw powiedział prywatnie, ale głośno co myśli o tchórzostwie i cynizmie wielkiego mocarstwa socjalistycznego i o załatwianiu spraw Kuby za jej plecami, a potem zasiadł przed kamerami TV i palnął mowę, największą chyba w swoim życiu, choć wygłosił ich sporo i długich. Była to naprawdę wielka chwila Fidela i Fidel był w niej wielki. Byłem wtedy w studio w Hawanie, pamiętam, zjawił się cały rząd, nawet Dorticos, adwokat — nominalny, z woli Fidela, prezydent Kuby — przyszedł w *verde-olivo* czyli w mundurze i z rewolwerem, z którym mu było tak do twarzy jak Ważykowi w 1946 roku. Fidel mówił coś ze dwie godziny (bez kartki), wyraził cały żal i zawód małej Kuby wykiwanej przez wielkich właścicieli świata. „Aluzyjnie" powiedział, że Kuba, w odróżnieniu od wielkich krajów, nie ma się gdzie cofać, że jej główną bronią są nie rakiety a ideologia rewolucyjna, a tej zdemontować nie można. Dodał, z żalem, że rakiety odjadą, bo są w ręku Rosjan i Kubańczycy (co jest prawdą) nigdy do nich dostępu nie mieli, natomiast jeżeli chodzi o inspekcję ONZ, to niech się zwróci do Moskwy, bo Kuba to pierwsze wolne terytorium Ameryki i o żadnych inspekcjach nie może być mowy.

Tej nocy, o 2.30 widziałem Che Guevarę. Ten pracował tylko w nocy, więc i tak miałem ulgowo, bo ostatni gość wyszedł o 6-ej rano. Che był jeszcze bardziej zgorzkniały i rozżalony niż Fidel. To chyba właśnie wtedy, po przejrzeniu co to znaczy w wykonaniu wielkiego mocarstwa internacjonalizm proletariacki itp., Che podjął samobójczą decyzję powrotu do partyzantki. Powiedział mi wtedy, że ZSSR popełnił wielki błąd godząc się na demontaż rakiet. A oto kilka zdań tak jak je zapamiętałem:

— A co by Pan zrobił na ich miejscu?

— Gdyby rakiety były w naszych rękach, to zostałyby wystrzelone i wybuchły tam gdzie trzeba.

— Gdybyście odpalili rakiety, to odpowiedź amerykańska byłaby przecież straszna. Nie tylko Kuba, ale cały świat poszedłby na dno oceanu.

— Tak, to prawda, ale byłby to zarazem koniec imperializmu.

Uff! Takie to były wówczas nastroje na Kubie. Co było dalej wiemy. Po okresie buntu, kiedy to Mikojan przyjechał na Kubę

aby uspokajać rozwścieczonych *barbudos*, traktowany był jak pies, czekał trzy tygodnie na Fidela i nie mógł nawet pojechać na pogrzeb własnej żony, Castro się uspokoił, a potem bardzo utył, Che zginął nie wyzwalając Boliwii, Kuba już nie *partia o muerte, venceremos*, a siatkarze amerykańscy grają w Hawanie, co nie może nie przypominać ping-pongistów w Pekinie. Pozostały dwa wnioski. Pierwszy o decydującej roli dziennikarzy w historii. Drugi, o tym, że nie należy instalować rakiet zbyt daleko od domu.

Kto na tym zarobi?

Ale mimo tej lekcji historii, 10 lat później, jak uczy Salomon, *ein hadasz tachat haszemasz*. Najpierw Rosjanie wysłali tyle sprzętu, ile tylko się dało, do Wietnamu i bardzo namawiali gen. Giapa w Hanoi, aby jakąś maleńką ofensywą (koszty ZSSR bierze na siebie) storpedował projekt wizyty Nixona w Pekinie, bo bardzo im ta podróż nie odpowiadała. Wietnamczycy broń przyjęli, ale poczekali, bo po co mają zadzierać z Chińczykami. Po pierwsze, to przecież z nimi mają wspólną granicę, a nie z Rosją, po drugie, niebezpieczeństwo dogadania się z imperializmem jest, jak wynika z przedstawionej wyżej lekcji historii, większe w Moskwie niż w Pekinie.

Ofensywę rozpoczęli więc nie przed, a po wizycie Nixona w Pekinie. Po wizycie w Pekinie, to znaczy przed wizytą w Moskwie.

No i zaczęło się. Wietnamczycy, ci z północy, dali okropnego (ciągle dają) łupnia Wietnamczykom tym z południa. Amerykanie musieli zareagować i to ostro. W jakąś środę, która była akurat wtorkiem, nowy Mac Namarra, który teraz nazywa się Kissinger wymyślił nową formę blokady czyli zaminowanie portów. Ponieważ *nil novi* więc nawet ambasador sowiecki jest ten sam co w 1962 roku. P. Dobrynin zna już więc drogę i nie musiał błądzić kiedy po raz drugi w ciągu 10 lat udawał się do Departamentu Stanu aby na godzinę przed wygłoszeniem poznać treść przemówienia prezydenta USA. I amerykańskiego ultimatum.

Oczywiście są różnice, ale w istocie, mówiąc w skrócie, i z przyczyn o których będzie może mowa w następnym felietonie *(if any)*, Rosjanie bardzo chcieli uratować wizytę Nixona w Moskwie.

Przed 10 laty trwało to cały tydzień, teraz zaś tylko 60 godzin, ale dokładnie w chwili kiedy miny zrzucone w portach północno-wietnamskich zostały uzbrojone, w Moskwie ogłoszono słabosilny komunikat. Bandyci, łobuzy, oprawcy, łamią prawo międzynarodowe i takie inne pieszczotliwe określenia nie mogły oczywiście wzruszyć nikogo, kto tylko miał jakie takie obycie z polityką Kremla. Wszystko tam było, z wyjątkiem zakwestionowania wizyty Nixona w Moskwie i zagrożenia retorsjami. Wszystko razem było na pewno poniżej minimum jakiego bratni kraj wietnamski miał prawo spodziewać się, tak jak Kuba w 1962, po pierwszym kraju socjalizmu, stającym w obronie napadniętego brata. W 10 lat po Kubie, Hanoi (wujek Ho na szczęście tego nie widzi) też otrzymuje lekcję prawdziwego internacjonalizmu. Dla Kremla najważniejszy jest interes sowieckiego imperium, jego bezpieczeństwo nie jest w Wietnamie bezpośrednio zagrożone, konfrontacja gigantów wprost jest w ogóle wykluczona, obie strony mają tyle megaton, że wystarczy dla wszystkich, niezależnie od ideologii. A poza tym wszyscy wiedzą, że w konflikcie sowiecko-amerykańskim byłby tylko jeden zwycięzca.

Nie byłyby to ani zwęglone Stany Zjednoczone, ani dopalający się ZSSR, a tylko Chiny Mao Tse-tunga.

Rosjanie bardzo nie chcą ułatwić tow. Mao realizacji tego planu, dlatego, zgodnie ze staropolską zasadą „każdy bije swojego Żyda", z Amerykanami biją się poprzez osoby trzecie: Wietnamczyków, Arabów itd. Bezpośrednio zaś z USA prowadzą w tym samym czasie dziesiątki rozmaitych rokowań, od ogromnych transakcji handlowych aż po współpracę w kosmosie. W dniu ogłaszania deklaracji rządu sowieckiego w Waszyngtonie bawił jeden minister, jeden admirał, kupa wiceministrów itp. z Moskwy, nie mówiąc już o Amerykanach w ZSSR, w tym o ekipie FBI przygotowującej wizytę prezydenta. Rosjanie zrozumieli bowiem, że los Nixona nie zależy od duserów wymienionych z Breżniewem, a od zawalenia się Sajgonu, i że Nixon, nawet za cenę nie obejrzenia zwłok Lenina, nie zgodzi się na wystąpienie na Kremlu w charakterze pierwszego prezydenta USA, który przegrał wojnę.

A ponieważ Rosjanom szalenie zależało na obecności Nixona, bo zależał od tego los SALT'u, czyli redukcji zbrojeń strategicznych, umowy zbożowej (10 razy 200 milionów dolarów), inwestycji syberyjskich, komputerów, dostaw dla Kamy (ciężarówki), a może nawet układów z Bonn itd., itp., więc postanowili nawet wysłać w ostatniej chwili do Hanoi tow. Katuszewa, sekretarza od bratnich partii. Ten miał namówić Giapa, że choć warto Amerykanów przetrzepać (to nigdy nie zaszkodzi) to nie trzeba przesadzać, bo mogą się obrazić. Ale Hanoi, nie Kuba, nie mówiąc już że nie Czechosłowacja. Zapasy strategiczne mieli w nadmiarze i we własnych rękach, wizyta Nixona nic ich nie obchodziła, a nawet wprost przeciwnie, bardzo jej nie chcieli, a pokusa upokorzenia Amerykanów była tak wielka, że Wietnamczycy nie zorientowali się, iż Rosjanie będą musieli ich kosztem dogadać się z USA.

Ein hadasz... Zasada, przy wszystkich różnicach, ta sama. Ale o ile straszliwszy los Wietnamu niż Kuby. Osaczeni z jednej strony przez rosyjskie czołgi, a z drugiej przez amerykańskie bomby, Wietnamczycy, i ci z południa i ci z północy, są jednocześnie i ofiarami i bohaterami. Nikt nie ma dla nich litości

ani w Moskwie, ani w Waszyngtonie, tak jak nie mają oni litości sami dla siebie.

Módlmy się, bracia!

Kiedy w 1962 roku opadła w Ameryce fala wzruszenia po zwycięstwie nad komunistycznym belzebubem, Kennedy spokojnie i na trzeźwo przeanalizował w małym gronie elementy kubańskiego sukcesu. Trzy czynniki przesądziły sprawę. Po pierwsze kryzys wybuchł w rejonie o ogromnej amerykańskiej przewadze wojskowej. Po drugie, w rejonie, gdzie bezpieczeństwo państwa sowieckiego nie było bezpośrednio zagrożone. Po trzecie — w warunkach, w których Rosjanie nie mogli przedstawić oburzonej opinii publicznej świata żadnych rozumnych argumentów. Można się z tą analizą zgodzić, choć jest ona niepełna, a nawet naiwna, tam np. gdzie Kennedy powołuje na świadka światową opinię publiczną, z którą, jak wiadomo, Kreml się tak bardzo nie liczy.

Nie ulega jednak kwestii, że miał Kennedy rację kiedy przestrzegał, iż w innych warunkach mogło to wszystko wyglądać zupełnie inaczej i uprzedzał, aby nikt sobie nie wyobrażał, że począwszy od kapitulacji kubańskiej, wystarczy na Moskwę krzyknąć, aby się Kreml ze strachu przewrócił.

Tyle było ewangelii Kennedy'ego, człowieka mądrego, po zakończeniu kryzysu karaibskiego. Przedtem jeszcze, w chwili gdy zapadła decyzja o zastosowaniu blokady Kuby, Kennedy powiedział do swych kissingerów:

„Cokolwiek mi dziś doradzicie, będziecie tego za tydzień żałować".

Na szczęście Kennedy się mylił?

A Nixon?

Módlmy się, bracia! Amen!

BRUKSELCZYK

PS. Dziesiątki tysięcy czytelników zwróciły mi uwagę na pewne drobne nieporozumienia w tekście mojego ostatniego felietonu. I rzeczywiście. Jak przystało na naprawdę wielką rubrykę nie chodziło tu wcale o przestawienie kilku słów, wierszy czy paragrafów. Nie, tu chodziło o całe strony. Jestem naprawdę dumny i wyjaśniam, że: na str. 48 miała być str. 51, na str. 49 miała być str. 47, na str. 47 miała być str. 50, na str. 50 miała być str. 48. Proste i jasne. Pozostałe stronice były na swoich miejscach, co czytelnicy zapewne sami stwierdzili. Sam pomysł przestawiania stronic zasługuje na upowszechnienie, pozwala on bowiem połączyć przyjemne z pożytecznym, a nudne felietony ożywić szaradami i tzw. rozrywkami umysłowymi, co jeszcze żadnemu pismu nie zaszkodziło. Wesołej zabawy!

B.

Pisane 14 maja 1972

Sąsiedzi

Memoriał katolików litewskich

PODANIE KATOLIKÓW LITEWSKICH DO GENERALNEGO SEKRETARZA ONZ, KURTA WALDHEIMA, Z PROŚBĄ O PRZESŁANIE BREŻNIEWOWI ICH MEMORIAŁU DOMAGAJĄCEGO SIĘ WOLNOŚCI SUMIENIA

Luty 1972

Do Generalnego Sekretarza Organizacji Narodów Zjednoczonych,
p. Kurta Waldheima

Katolików Litewskich

Podanie

Zważywszy, że Litwa nie posiada swego przedstawiciela w Organizacji Narodów Zjednoczonych, my, katolicy litewscy, zmuszeni jesteśmy zwrócić się do Pana, p. Generalny Sekretarzu, wykorzystując przypadkowe kanały.

Nasze zwrócenie się do Pana spowodowane jest tym, że wierzący naszej republiki nie mogą korzystać z praw wymienionych w paragrafie 18-tym Ogólnej Deklaracji Praw Człowieka.

W tej sprawie nasi księża, grupa wierzących, jak też poszczególni katolicy, niejednokrotnie zwracali się do najwyższych organów Związku Sowieckiego, domagając się by zaprzestano naruszania praw wierzących. Skierowano kilka petycji katolików do władz sowieckich, m.in.: Oświadczenie katolików miasta Preny, podpisane przez 2 000 osób i wysłane we wrześniu 1971 r.; oświadczenie wierzących parafii Sachtajka, rejonu Olickiego, podpisane przez 1 190 osób i wysłane w październiku 1971 r.; oświadczenie 1 344 parafian z Girkalnis, rejonu Rosieńskiego, wysłane w grudniu 1971 r. Wszystkie te oświadczenia zostały wysłane do różnych wyższych instancji ZSSR, ale żadna z nich nie nadesłała oficjalnej odpowiedzi, chociaż urzędy państwowe winny odpowiadać na petycje obywateli w ciągu jednego miesiąca. Nieoficjalną odpowiedzią były wzmożone represje w stosunku do wierzących.

Katolicy całej Litwy postanowili przypomnieć kierownictwu sowieckiemu o swej sytuacji — będącej bezprawiem, w memoriale do Generalnego Sekretarza KPZS, p. Breżniewa, lecz sowieckie organy milicji i KGB wstrzymały masowe zbieranie podpisów, posługując się groźbami, aresztowaniami i kajdanami. Takie postępowanie władz przekonało nas, że niniejszy memoriał podpisany przez 17 tysięcy wierzących nie trafi do celu, jeżeli będzie przesłany tą samą drogą, co poprzednie petycje.

Dlatego my, katolicy litewscy, zwracamy się do Pana, Szanowny Generalny Sekretarzu, i prosimy o przesłanie przez ONZ Generalnemu Sekretarzowi KPZS, p. Breżniewowi, załączonego memoriału wraz z podpisami.

Przedstawiciele katolików litewskich.

MEMORIAŁ DO GENERALNEGO SEKRETARZA KPZS OD KATOLIKÓW LITWY DOMAGAJĄCYCH SIĘ WOLNOŚCI SUMIENIA
(ogółem 17.054 podpisów)

Grudzień 1971 - Styczeń 1972 r.

Do Generalnego Sekretarza Partii Komunistycznej
Związku Sowieckiego,
Moskwa — Kreml

Od Katolików Litewskich

M e m o r i a ł

Minęło już wiele lat od zakończenia drugiej wojny światowej; narody odbudowały ruiny w dążeniu do trwałego pokoju.

Lecz podstawą trwałego pokoju jest sprawiedliwość i poszanowanie praw człowieka. Żywym przykładem naruszenia tych praw jesteśmy — my, katolicy litewscy — głęboko zaniepokojeni, gdyż wolność sumienia wciąż nie przysługuje wierzącym naszego narodu, a Kościół podlega prześladowaniom.

Nasi biskupi J. Stepanovicius i V. Sladkevicius już od 10 lat znajdują się na zesłaniu bez sądu i określonego wyroku, chociaż nie popełnili żadnego przestępstwa.

W listopadzie 1971 roku księża J. Zdebskis i P. Bubnis zostali skazani na utratę wolności za to, że wypełniając swe obowiązki, na prośbę rodziców, wyjaśniali dzieciom podstawy wiary katolickiej. Księża ci pomagali dzieciom w przygotowaniu się do pierwszej komunii. Nie w szkole, a w kościele, i bez stosowania jakiegokolwiek przymusu — brał udział kto chciał, podczas gdy w sowieckich szkołach na Litwie przymusowo wpaja się ateizm, wierzące dzieci katolików zmuszane są do mówienia, pisania i postępowania wbrew własnemu sumieniu, a stosujący taki przymus ani nie otrzymują żadnych ostrzeżeń, ani nie są sądzeni.

Z braku dostatecznej ilości księży, potrzeby wierzących nie są zaspakajane. W wielu miejscowościach jeden ksiądz musi obsługiwać dwie, albo i trzy parafie. Nawet księża-inwalidzi i starcy muszą pracować. Taka sytuacja powstała dlatego, że o sprawach Seminarium Duchownego stanowi nie biskup, a przedstawiciel władzy. Władze pozwalają na przyjęcie do seminarium zaledwie 10-ciu uczniów rocznie. Również przedstawiciele władz przydzielają księży do parafii.

W Kodeksie Karnym Litewskiej SSR figuruje paragraf, przewidujący karę za prześladowanie wierzących, lecz paragraf ten nigdy w praktyce nie jest stosowany. W roku 1970 wydział oświaty ludowej wyłkowyszkowskiego rejonu zwolnił z pracy nauczycielkę S. Briliene, gdyż okazało się, że jest ona wierząca. Władze rejonowe uniemożliwiają jej znalezienie jakiejkolwiek pracy w Wyłkowyszkach — nawet pracy posługaczki. Sprawcy takiej samowoli nie są karani, chociaż z ich winy inteligenci boją się jawnie uprawiać praktyki religijne.

Wierzący nie mogą uzyskać zezwolenia na odbudowę spalonych kościołów, nawet własnym kosztem, np. w parafiach Botoki, Gaure, Samgruda.

Z wielkim trudem udaje im się uzyskać zezwolenie na odprawianie nabożeństw w mieszkaniach, lecz w żadnym wypadku nie wolno im postawić tymczasowej kapliczki na dawnym kościelnym cmentarzu. Równocześnie w parafii Andrejewa zezwolono na budowę sali tanecznej w miejscu, gdzie uprzednio stał kościół.

Moglibyśmy przytoczyć wiele jeszcze faktów dyskryminacji, które nas rozgoryczają i powodują rozczarowanie do Konstytucji sowieckiej i do prawodawstwa. Dlatego prosimy rząd sowiecki o zapewnienie nam wolności sumienia, gwarantowanej przez Konstytucję ZSSR, lecz w rzeczywistości nieistniejącej. Nie wystarczają nam piękne słowa w prasie i w radio; oczekujemy od Rządu takich kroków, które pozwolą nam, katolikom, czuć się równoprawnymi obywatelami Związku Sowieckiego.

◆

O powyższej petycji doniosły światowe agencje prasowe. Jednak, mimo zabiegów organizacji litewskich, radiostacji, prasy światowej, etc. pełny tekst petycji nie został udostępniony publiczności przez Sekretariat ONZ. Tego rodzaju postępowanie jest bardzo znamienne dla polityki zarówno Sekretariatu ONZ jak i Departamentu Stanu USA. Nie bez wpływu jest tu zapewne fakt, że zastępcą Sekretarza Generalnego ONZ od spraw Europy Wschodniej jest przedstawiciel PRL, p. Bohdan Lewandowski, a przewodniczącym Komisji Obrony Praw Człowieka w ONZ jest p. E. Kułaga, dotychczasowy delegat PRL w ONZ. P. Kułaga jest współpracownikiem UB, odkomenderowanym do MSZ z kadry komunistycznych reemigrantów francuskich.

Milczenie Watykanu nas nie dziwi. Kolaboracja z *każdą Rosją* jest główną wytyczną polityki watykańskiej od wieków, co zawsze odbijało się w sposób drastyczny na Polsce. Dziwi nas tylko milczenie polskiej hierarchii kościelnej, na której spoczywa przecież ciężar tradycji Kościoła Katolickiego w Polsce. A już Książę Kardynał Krakowski — jeśli nawet woli nie pamiętać pewnych kart historii Rzeczypospolitej obojga Narodów — to Wawel i kościoły krakowskie i trumny, trumny, muszą mu codziennie przypominać o chrzcie Litwy i roli w tym Polski.

Inne czasy i inny wymiar ludzi. Żałować jedynie należy, że nie znalazł się polski Sołżenicyn, który by tym ludziom przypomniał, że Kościół polski nie jest jedynie Kościołem polskiej wsi, ale że ma swoją odwieczną rolę i swoje obowiązki misyjne na wschodzie Europy.

REDAKTOR

Tekst petycji otrzymaliśmy dzięki uprzejmości Radio Liberty. Uważam za swój obowiązek publicznie mu za to podziękować. Dzięki tej radiostacji — której losy się teraz ważą — nie jesteśmy skazani wyłącznie na informacje Agencji *Nowosti* i *Osservatore Romano.*

Białorusini

Mało poświęcamy uwagi naszemu wschodniemu sąsiadowi — Sowieckiej Republice Białoruskiej. A z terenu tego wywodzą

się przecie: Kościuszko, Mickiewicz, Moniuszko, Syrokomla, Traugutt, Orzeszkowa, Rodziewiczówna, Prez. Raczkiewicz — by wymienić tylko bardziej nam znane nazwiska, i bardziej tam obecnie znane: Dzierżyński.

Na obszarze obecnej Republiki Białoruskiej nawet według carskich statystyk zamieszkiwało niegdyś ponad pół miliona Polaków, którzy stanowili większość reprezentacji tych guberni w carskich Dumach. W okresie międzywojnia na sowieckiej Białorusi mieszkało ćwierć miliona Polaków, a na polskiej części tego terytorium grubo ponad milion, więc łącznie ponad półtora miliona (bez Wilna i Białegostoku). Spis 1970 roku wykazuje zaledwie sto kilkanaście tysięcy Polaków, używających swego języka ojczystego.

Wyniki sowieckiego spisu ludności były już w prasie polskiej omawiane, więc tylko po krótce kilka cyfr.

Białorusini byli w 1959 roku trzecim co do liczebności narodem w Związku Sowieckim, zaś w 1970 roku prześcignęli ich Uzbecy. Ilość Białorusinów wzrosła w ciągu 11 lat o 14 %, Rosjan o 13 %, a Ukraińców o 9 %. Przyrost naturalny w republice był znaczny w pierwszych dwóch dekadach po wojnie, a ostatnio, w związku z urbanizacją, znacznie zmalał. Obecnie na omawianym terytorium mieszka 7,3 mln. Białorusinów, stanowiąc 81 % ludności (większy odsetek na wsi, mniejszy w miastach). W innych republikach zamieszkuje 1,75 mln., a więc ogółem w Związku Sowieckim jest nieco ponad 9 mln. Białorusinów. Rosjanie stanowią 10,4 % ludności BSSR, Polacy 4,3 %, i Żydzi 1,6 %. Ilość Żydów zmniejszyła się w omawianym okresie o parę tysięcy, zaś Polaków spadła z 539 tys. do 383 tys., a więc o 156 tys. W roku 1959 podało język polski jako ojczysty 45,2 % Polaków, a w roku 1970 już tylko 32,5 %. Jak widać wynaradawianie Polaków odbywa się w bardzo szybkim tempie.

Przegląd niniejszy jest oparty na sowieckiej encyklopedii białoruskiej i opracowaniach emigracyjnych.

Encyklopedia

Dotychczas ukazały się dwa tomy Encyklopedii sowiecko-białoruskiej, obejmujące litery A, B, i częściowo „W", więc można w niej znaleźć tylko fragmentaryczne informacje. Życiorysy polskich historyków, pisarzy i powstańców są często prawie obiektywne i nawet przychylne, jak np. o E. Orzeszkowej (Ażeszka, Boduen de Kurtenaj, Asmanski). Rola rodu ks. Ogińskich (Aginski) w dziejach Rzeczypospolitej wydaje się nawet nieco wyolbrzymiona, bowiem wyrzekli się prawosławia dopiero w XVII wieku i są uważani za Białorusinów. Jest nawet wymieniony Apollinaire jako syn szlachcica białoruskiego Kastrowickiego. Dużo jest o wyprawie Napoleona na Moskwę, i o masowej partyzantce chłopskiej (zwłaszcza w Witebszczyźnie) przeciw pronapoleońskim polskim panom i Francuzom (czy tak było?). Obecnie tworzy się kult wojny ojczyźnianej, nie tylko drugiej, ale i pierwszej, i mnóstwo powstało pomników dla jej upamiętnienia, nie tylko nad Berezyną, ale i w Mołodecznie, Głębokiem itd.

Republika dzieli się na 6 okręgów. Homelski i Mohylowski całkowicie na terytorium dawniej sowieckim, i Grodzieński i Brzeski na terytorium dawniej polskim. Natomiast do Witebskiego wchodzi Brasław, Postawy i Łyntupie a do Mińskiego: Narocz, Wilejka, Mołodeczno i Nieśwież, podczas gdy pobliskie Baranowicze mają swą stolicę w Brześciu. Wilno, Smorgonie, Eiszyszki, Orany i Druskieniki odeszły do Litwy, a skrawek Polesia (Kamień Koszyrski) do Ukrainy. Stolica Mińsk liczy już milion mieszkańców. (Emigracja używa nazwy Mensk). Nazwy miejscowości uległy zmianom, lecz nie tak wielkim, by nie można było się domyśleć, jak Nowagrudak, Aszmiany itd., czego nie można powiedzieć o litewskich: Orany - Varena, Wilja - Nerys itd.

Historia Białorusi w sowieckim ujęciu opierała się do niedawna na 5 tezach. 1) Od niepamiętnych czasów do XIII wieku Białorusini, Ukraińcy i Rosjanie tworzyli jeden starożytno-ruski naród ze wspólnym państwem — Księstwem Kijowskim. 2) W wiekach XIII-XIV Białoruś była *podbita* przez książąt litewskich i pozostawała pod panowaniem feudalnych panów, najpierw litewskich, a po Unii Lubelskiej — polskich. 3) w tym okresie naród białoruski stale dążył do zjednoczenia ze starszym bratem tej samej krwi, wielkim narodem rosyjskim. 4) Przyłączenie Białorusi do Rosji w XVIII wieku było usprawiedliwione i korzystne. 5) Tylko w wyniku rewolucji październikowej, dzięki polityce narodowościowej Lenina-Stalina, i pomocy wielkiego narodu rosyjskiego, naród białoruski uzyskał własną państwowość w postaci BSSR.

Ostatnio ukazał się drugi tom Encyklopedii Białoruskiej, który przynosi jedną poprawkę tezy N 2, która teraz brzmi: W wiekach XIII-XIV Białoruś *weszła w skład* Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jak widać, fakty, że język ruski był (staro, biało czy cerkiewny) państwowym i liczne rody ruskie brały udział w rządach, został uwzględniony.

Historycy emigracyjni uważają, że „czasy Zygmuntowskie" były również złotym wiekiem kultury białoruskiej, gdy powstawały w tym języku wiekopomne dzieła jak Statut i Metryka Litewskie, i gdy na terenie Wielkiego Księstwa powstawały pierwsze druki w cyrylicy, a stamtąd dopiero trafiły do starszego brata w Moskwie.

Również teza pierwsza została zakwestionowana, jeszcze nie w encyklopedii mińskiej, ale w Moskwie, w pracy prof. W. Sedowa pt. „Słowianie dorzecza górnego Dniepru i Dźwiny", wykazującej, że naród białoruski jeszcze w przedhistorycznych czasach powstał ze zlania się dwóch etnicznych elementów — słowiańskiego i bałtyckiego.

Pewnej ewolucji uległy też granice językowe Białorusi. W pierwszym tomie Encyklopedii pokrywały się one z granicami

BSSR, a w drugim jest już zróżniczkowanie na granice języka literackiego, które pokrywają się z granicami republiki, i granice białoruskiego dialektu, które obejmują też część Litwy, Łotwy (Inflanty), Rosji (Smoleńsk, Briansk) oraz Polski (woj. Białostockie).

Pismo *Biełarus*, ukazujące się w Ameryce, wnosi tu poprawki: dialekt białoruski obejmuje również powiaty Siebież i inne b. gub. witebskiej, włączone obecnie do Rosji, a w zasięgu literackiego języka białoruskiego jest również województwo białostockie, gdzie istnieje szkolnictwo itd. uwzględniające język białoruski. W odróżnieniu od sąsiednich republik sowieckich, jedynie Polska daje warunki rozwoju kulturalnego Białorusinom.

Przejdźmy z kolei do rozważań historycznych bardziej współczesnych.

Dla jeszcze żyjących b. podwładnych ministra Sławoja-Składkowskiego, jak też dla liberałów, zwalczających polowanie na czarownice, to jest na komunistów, warto podać, że w roku 1932 województwa kresowe były podzielone na 11 pod-okręgów białoruskiej partii komunistycznej. Im późniejszy okres tym podejście jest mniej przychylne. Wymienieni więc są dwaj Wańkowiczowie, malarz i powstaniec, ale nie ma autora „Szczenięcych Lat", Melchiora. Jest też o Armii Krajowej i Armii Ludowej, ale lepiej nie cytować, aby nie psuć krwi czytelnikom.

O Białorusi pod rządami hitlerowskimi jest kilka stronic. Pomimo obfitości materiału i drobiazgowości zestawień wydają się one przesadzone, więc poprzestańmy na cyfrach globalnych. Straty materialne, według cen roku 1941 wyniosły 75 miliardów rubli. Domów zniszczono 1,2 mln. Zabitych, włącznie z jeńcami sowieckimi, zmarłymi na tym terytorium — dwa miliony dwieście tysięcy. Ilość partyzantów sowieckich — 374 tys., plus 400 tys. rezerw — sympatyków. Ilość zabitych przez partyzantów — ponad pół miliona hitlerowców.

Podano około tysiąca miejscowości, w których hitlerowcy zamordowali ponad 50 obywateli sowieckich. Szkoda, że spis nie obejmuje Smoleńszczyzny, ciekawe, co by tam było o Katyniu.

Charakterystyczne, że wszędzie jest wymieniana tylko ilość obywateli sowieckich, a nie ma wzmianki o wymordowaniu Żydów. Nie ma też podziału owych dwóch milionów na autochtonów i jeńców. Podano też, że 380 tys. Niemcy wywieźli na roboty do Reichu. Po tak ogromnych stratach ludnościowych, przeważnie mężczyzn (jeszcze w 10 lat później było w BSSR o milion mniej mężczyzn niż kobiet), wygląda, że w roku 1944 pozostało tam mężczyzn niewiele więcej niż owe 774 tys. partyzantów i rezerw, a przecie hitlerowcy mordowali raczej swoich przeciwników. Wiemy skądinąd, że wielu Białorusinów nie sprzyjało komunistom, więc cyfry te nie są przekonywujące. (Jak również to, że na Białorusi więcej wyrabia się traktorów na mieszkańca niż w USA, i większy jest odsetek studentów niż w Niemczech

Zachodnich). Chodzi o wyrobienie opinii w następnych pokoleniach, że cały naród był wierny władzy sowieckiej. Skądinąd wiemy, że tak nie było.

Emigracja

Aby poznać drugą stronę medalu, przejdźmy do białoruskich wydawnictw emigracyjnych. Najwięcej nam daje „Zmagornyje Darogi" Konstantina Akuły, opowieść autobiograficzna na tle kroniki wypadków politycznych, z autentycznymi nazwiskami, datami itd. Opowieść ta ukazała się w druku, w Toronto, już przed 10 laty, a dotyczy losów białoruskiej podchorążówki założonej w Mińsku, w ostatnich miesiącach rządów niemieckich w roku 1944. Znaczna część kadetów zakończyła wojnę w Anglii, po przejściu szkół podoficerskich i kursów maturalnych we Włoszech w 2-gim korpusie gen. Andersa. Takie rzeczy zdarzają się tylko w życiu, bo w literaturze byłyby uważane za zanadto nieprawdopodobne.

Podchorążówkę, około 200 młodych chłopaków ewakuowano z Mińska na zachód i w Prusach Wschodnich sformowano z niej kompanię piechoty. Z różnych formacji, w których 80 % szeregowców stanowili Białorusini, utworzono 30-tą dywizję rosyjską, naturalnie pod niemieckim dowództwem. Tych anty-komunistów, którzy na froncie wschodnim walczyliby z przekonania (i ze strachu przed sowiecką zemstą) — wysłano do Francji, gdzie poszczególne oddziały szukały tylko okazji, aby się poddać („nie będziemy przelewać krwi w cudzej sprawie"), a nawet niecierpliwie przechodzić na stronę francuskiego ruchu oporu. Byli oni jednak uznawani za jeńców wojennych i dopiero później przegrupowani według narodowości. Los byłych obywateli sowieckich był rozmaity. Wielu wydano Sowietom, natomiast byli polscy obywatele podali się za Polaków i jako młodzi w wieku poborowym trafili do Andersa, gdzie bardzo narzekali z powodu utrudnień dostępu do podchorążówki itd. Autor nie nabrał tam sympatii do Polaków. Wśród licznych typów ujemnych polskich kolegów, a zwłaszcza dowódców, bodajże tylko jeden znalazł się typ dodatni — młody Radziwiłł, no, bo to przecie Białorusin z pochodzenia!

Autor cytuje z goryczą różne nietakty. Białoruscy kadeci, ewakuowani do Prus Wschodnich słyszą nakaz: aby nawet kłosa zboża przy drodze nie śmieli zerwać, bo to już nie Rosja. Czyli że ich ojczyznę, nazywają Niemcy Rosją, i że tam można było rabować.

Białorusini uważają się za również spadkobierców Wielkiego Księstwa Litewskiego i dlatego nosili na czapkach znak Pogoni; widząc to Polak w Wilnie wita ich słowami: „Nawet godło państwowe musieliście od kogoś ukraść".

Sytuacja na Białorusi w czasie niemieckiej okupacji była tragiczna. Sowieccy partyzanci zmuszali terrorem ludność do współ-

działania z nimi, co wywoływało represje, zwłaszcza, że niemiecka polityka dążyła do wytępienia *Untermensch*'ów pod byle jakim pozorem. W tej wojnie domowej pomagały Niemcom oddziały miejscowej policji, bataliony łotewskie, litewskie, policjanci ukraińscy, Węgrzy itd.

Udział Polaków był rzekomo następujący: Zaraz po wkroczeniu Niemców zajęli oni liczne niższe stanowiska w administracji i nawet w policji. Z policji udało się Polaków z czasem wyrugować, ale trudniejsza sprawa była z „polskimi panienkami", które w biurze, kuchni, czy w łóżku urabiały opinię Niemców, że każdy Białorusin to komunista, co wpływało na zwiększenie terroru.

W walkach między formacjami w służbie niemieckiej a partyzantami sowieckimi, obie strony miały stosunkowo małe straty w porównaniu z ludnością wiejską — gdy wsie palono a mieszkańców mordowano. Polskie „legiony" też stosowały krwawe represje.

Łagodnie mówiąc „nieżyczliwy" stosunek do Polaków nie razi, bo jest tu nienawiść do Niemców, białych i czerwonych Rosjan, katów-Łotyszy i niewiele lepiej o Litwinach, ukraińskich policjantach, Węgrach, draniach-Francuzach, co to ich — przechodzących na stronę aliantów — uznawali za jeńców itd. Jednym słowem typowy kompleks eks-kacetowca, skrzywdzonego przez świat i mającego pretensję do każdego z ludzi. Kompleks taki w skali narodowej wyraża się pretensją do wszystkich ościennych narodów.

Przejdźmy do streszczenia kilkudziesięciostronicowego opisu sytuacji na Białorusi pod niemiecką okupacją.

W Mińsku powstał Gen. Komisariat Białorusi, obejmujący większą część dzisiejszej republiki, prócz wschodnich połaci, wchodzących do strefy przy-frontowej pod zarządem Wehrmachtu. Powstała Białoruska Samopomoc, której zadaniem w pierwszym okresie była pomoc ofiarom wojny. Powstał też związek młodzieży białoruskiej. Szkolnictwo było dozwolone jedynie początkowe i częściowo średnie, pod zwierzchnią kontrolą niemiecką, baczącą by wychowanie było w duchu „Nowej Europy". W Mińsku był dziennik niemiecki, a białoruskie czasopisma wychodziły 2 razy na tydzień, raczej nieregularnie i pod ostrą cenzurą.

O chaosie, terrorze, bandach Kamińskiego i innych— opisy barwne i podobne do zawartych w „Nie trzeba głośno mówić" J. Mackiewicza. Niemcy najpierw sami organizowali policję pomocniczą, do której wszedł najgorszy element. W czerwcu 1944, gdy zaczęła przejawiać się działalność sowieckiej partyzantki, Niemcy polecili przywiezionemu z Pragi dr. I. Jermaczence, przewodniczącemu owej samopomocy — utworzenie Białoruskiej Samochowy, czyli batalionów lokalnej samoobrony. Zaczęto od wyszukiwania oficerów, którzy po miesięcznym przeszkoleniu zaczęli tworzyć oddziały. Wśród 300 kandydatów na tych kursach

byli carscy „praporszczycy", polscy podchorążowie i sowieccy lejtnanci. W roku 1944 powstała Białoruska Krajowa Obrona licząca 44 bataliony piesze oraz bataliony kolejowy, saperski, specjalny i szwadron nowogródzki kawalerii. W okresie ewakuacji część rozpierzchła się do domów, a część weszła w skład 30-tej dywizji rosyjskiej pod dowództwem Siglinga.

W międzyczasie Niemcy zamordowali szereg działaczy białoruskich m.in. gen. inspektora szkolnictwa ks. Godlewskiego. Jermaczenko nie chciał się za nimi wstawić i stracił resztki zaufania swych współrodaków. Niebawem, na skutek afer handlowych, został usunięty, a miejsce jego w samopomocy objął Sabaleuski. Rychło w czas, w czerwcu 1944 roku, został zwołany Drugi Kongres Białoruski (podobnie jak pierwszy w roku 1918 — w Mińsku) z udziałem delegatów gmin. (Ani zarządy gmin, ani delegaci nie byli wybieralni). Została powołana do życia Białoruska Centralna Rada, a na jej czele stanął Radosław Astrauski. Na emigracji istnieją dwa ośrodki polityczne, jeden nawiązujący do I kongresu z prezydentem Abramczykiem, a po jego śmierci Przewodniczącym jest dr V. Żuk-Hryskievic — i drugi nawiązujący do Centralnej Rady.

Po przeczytaniu tego prawie 600-stronicowego tomu nasuwa się myśl, czy raczej marzenie, aby tak zebrać historyków: polskich, litewskich i białoruskich by opracowali wspólnie „Dzieje Dekady 1939-1949 ziem b. W. Księstwa Litewskiego" i dali za motto cytatę z litewskiego miesięcznika *Akiraciai* (Wrzesień 1971, Chicago):

„Na obozie studentów-skautów omówiono obszernie podręczniki szkółek sobotnich i ich oddziaływanie. Godna uwagi jest myśl pewnej młodej studentki. Wszystkie podręczniki zgodnie twierdzą, że wszyscy (!) Litwini są dobrzy, a źli wszyscy (!) nie-Litwini. To jej nie przekonało. Przeciwnie zmusiło do powątpiewania w wiele innych twierdzeń, zawartych w litewskiej prasie i literaturze. Używając popularnego zwrotu — powstał *credibility gap*".

◆

Na zakończenie chciałbym dodać, że ta epopea rozgoryczonego ex-andersowca, wydaje się, że nie jest miarodajna dla nastrojów ogółu białoruskiej emigracji. Tak w pierwszych latach w Niemczech, jak i później na innych kontynentach, wnosząc z prasy, kontaktów osobistych (prez. Abramczyk), można było odnieść wrażenie, że wśród Białorusinów mniej jest wrogości do Polaków, i więcej zdolności beznamiętnego traktowania problemów, niż wśród innych pobratymców z dawnej Rzeczypospolitej.

E. ŻAGIELL

Kraj w dolinie Wisły

Dyskusja jaką wywołał we własnym społeczeństwie gest kanclerza niemieckiego w Warszawie — uklęknięcie przez pomnikiem polsko-żydowskich ofiar narodowo-socjalistycznego okrucieństwa, wykazała jak trudną dla Niemców jest myśl pojednania się z sąsiadem wschodnim. Ogólny obraz Polaków wśród Niemców jest wyraźnie negatywny. Jest to skutek niemieckiej historiografii a zwłaszcza podręczników szkolnych. W wyniku zjazdu Ewangelickiej Akademii Berlińskiej w listopadzie 1969 i omawianego na tym zjeździe tematu „Polska w nauczaniu (niemieckim)" kilku uczestników postanowiło dokładniej zająć się tym zagadnieniem, żeby ustalić przyczyny fałszywego obrazu Polaków w oczach niemieckich, ze szczególnym uwzględnieniem prac specjalistów Europy Wschodniej. Stąd ta książka[1]. Jej główne tezy zostały przedyskutowane zarówno we własnym gronie jak i z historykami polskimi i niemieckimi.

Autorem pierwszego rozdziału „Polska : powiastka okropności — obraz Polski u Niemców" jest Günter Berndt[2]. Obecna dyskusja nad traktatem warszawskim unaoczniła raz jeszcze jak silne są u Niemców antypolskie czy antysłowiańskie uprzedzenia. Nie jest to nic nowego; już w 1814 roku marszałek polny Knesebeck — dodajmy, iż to ten sam, który kosztem Królestwa Kongresowego chciał jeszcze bardziej na wschód przesunąć granicę pruską — pisał iż Polak charakteryzuje się pijaństwem, obżarstwem, służalstwem, chęcią zniszczenia każdego piękna, każdego innego narodu, rozrzutnością, rozpustą, przekupstwem, chytrością, fałszywością. Te same zarzuty zostały powtórzone w czasie polskiej debaty w parlamencie frankfurckim w 1849 roku. „Niemiecką świadomość i postawę wobec Polaków ukształtowała na stałe prusko-niemiecka polityka siły i służąca jej historiografia" (str. 8). Idea rasy panów i słowiańskiego podczłowieka powstała na długo przed narodowym socjalizmem i nie zakończyła się ze zmierzchem Trzeciej Rzeszy. W 1970 roku w szkole hamburskiej przeprowadzono ankietę na temat stosunku uczniów do Francuzów, Rosjan i Polaków. Ci ostatni zostali określeni jako najmniej sympatyczni gdyż są: prymitywni, brutalni, podstępni, zimni, nieprzyjacielscy, nieobliczalni, kłótliwi.

1. Günter Berndt und Reinhard Strecker: *Polen — ein Schauermärchen oder Gehirnwäsche für Generationen.* Reinbek bei Hamburg, 1971, str. 141.

2. Urodzony w 1932 r. na Śląsku Dolnym w Landshut, obecnie Kamienna Góra, studia teologiczne, wykładowca w Akademii.

Reinhard Strecker[3] w rozdziale „Mycie umysłów pokoleń" zajmuje się historią Polski w podręcznikach niemieckich. Wynik badań streszcza krótko: chodzi tu w opisanym obrazie historycznym o rozpaczliwe próby usprawiedliwienia dwóch bezprawi popełnionych przez Niemców wobec Polaków — rozbiory i polityka germanizacyjna. Nienawiść niemiecka wobec Polski, psychologicznie wytłumaczalna, ma swe korzenie w rozbiorze 1772 roku. Główną przyczynę rozbioru widzi autor w polskiej wolności, która była nie do zniesienia dla Prus — masowa ucieczka do Polski z armii pruskiej, i dla Rosji — ponad milion uciekinierów w połowie XVIII wieku (str. 17). Rozbiór nie wywołał zresztą w Niemczech, z wyjątkiem wiersza Christiana Schubarta, żadnego echa współczucia czy sympatii. Los Polski był niemieckim warstwom wykształconym zupełnie obojętny.

Okres napoleoński to dla Polaków druga niepodległość w formie Księstwa Warszawskiego, następnie Królestwo Kongresowe i przegrana powstania listopadowego. Niemcy, którzy czuli się oszukani w swych nadziejach zjednoczeniowych przez Kongres Wiedeński, żywili dużą sympatię do walczących Polaków i manifestowali ją w czasie walki i po walce witając entuzjastycznie przechodzących przez ich ziemie powstańców. Te polskie sympatie przetrwały rok 1846 i objawiły się jeszcze w marcu 1848, na początku Wiosny Ludów. Ale w lecie nastąpił zwrot antypolski. W czasie debaty parlamentu frankfurckiego wystąpienie lewicowego polityka Wilhelma Jordana, broniącego zdobyczy niemieckich na wschodzie i piętnującego wszelką myśl odbudowania polskiej państwowości, nadało nowy i trwały od tego czasu ton niemieckiej opinii publicznej. Zjednoczenie Niemiec przez Prusy skłoniło historiografię niemiecką do identyfikowania wrogów Prus jako wrogów całych Niemiec. Treitschke mógł spokojnie stwierdzić: „Nie miałbym nic przeciwko temu żeby wszyscy Słowianie potopili się w morzu, ale na razie są tutaj i Allah tylko wie po co ich stworzył" (str. 38). Autor rozdziału wykazuje, przy pomocy licznych cytat, iż aż do dzisiejszego dnia niewiele się zmieniło w niemieckich pracach historycznych czy polityczno-informacyjnych: Polska jest nadal przedstawiana jako podstępny i czyhający na niemieckie dobro sąsiad.

Karl-Martin Schmidt-Reindl[4] i Norbert H. Weber[5] zajmują się przedstawieniem Europy Wschodniej w niemieckich podręcznikach geografii. Polska jest w nich podzielona na obszary, które w roku 1937 należały do Niemiec i na resztę — na kraj Wisły. Dzięki takiemu podziałowi uczeń niemiecki nie ma przed sobą rzeczywistego obrazu — na przykład stosunków gospodarczych — ale jakiś abstrakcyjny obraz nieistniejącego organizmu

3. Urodzony w 1930 roku w historycznej Cedynii (Zehden), historyk, interesujący się okresem narodowego socjalizmu.

4. Geograf, urodzony w roku 1944 w Simmern.

5. Urodzony w roku 1941 w Czechach, studia pedagogiczne, w trakcie doktoryzowania się.

państwowego. Opis ziem poniemieckich nie przekracza stanu z roku 1939. „Uważamy więc żądania do obszaru z roku 1937 za objaw tego szowinizmu *(des gleichen Nationalismus)*, który doprowadził do dwóch wojen światowych" (str. 50). Następują przykłady używania tylko nazw niemieckich, bez podania w nawiasie nazw używanych przez zainteresowane narody. Wszystko co powstało w Europie Wschodniej jest przedstawione jako dzieło niemieckie. Słowianie nic nie wnieśli do ogólnego dobra ludzkiego: „Miasta w dolinie Wisły świadczą o wiekowej pracy niemieckich mieszkańców ku pożytkowi (całego) kraju" (str. 56).

Stefan Pape[6] i Till Schelz[7] badają treść podręczników do nauki socjologii. Jedynym tematem tych podręczników jest cywilizacyjna rola Niemców na wschodzie Europy, trwająca aż do nielegalnego, niezrozumiałego i bezrozumnego ich wypędzenia po roku 1945. Hitler i jego polityka były tylko nieszczęśliwym epizodem, dlaczego ma za to zapłacić ludność niemieckiego wschodu? Ani słowa o polityce Niemiec w stosunku do Polski w okresie 1772-1945, ani słowa o jakimkolwiek aspekcie pozytywnym polskiego życia zbiorowego.

Günter Berndt podkreśla w konkluzji, iż już nadszedł czas na przemyślenie i przepracowanie od nowa w podręcznikach szkolnych opisu historii stosunków polsko-niemieckich, na używanie istniejących aktualnie nazw. Dopiero te nowe, przyszłe podręczniki mogą urzeczywistnić prawdziwe, szczere porozumienie z Polską.

Przy lekturze tej nader ciekawej pracy narzucają się jednak pewne krytyczne uwagi. Nie można się zgodzić z całkowitym potępieniem niemieckiego nauczania. Wytyczne podejścia nauczycieli do totalitaryzmu — porównanie komunizmu z narodowym socjalizmem — jest słuszne (str. 14). Nie należy zapominać, iż szkoła nie tylko wychowuje ale i uczy. Za wychowanie jest odpowiedzialny i Kościół, a w jakim stopniu duchowieństwo chrześcijańskie, przez swe braki, jest odpowiedzialne za rozpowszechnienie się komunizmu — odpowiedzą przyszli historycy. Dziwi przypisywanie Prusom głównej winy za rozbiory, żaden z historyków tego już nie twierdzi. Po ostatnich badaniach[8] nikt nie ma wątpliwości, iż myśl i inicjatywa zniszczenia katolickiej Polski wyszły z Wiednia. Fryderyk II był tym, który najdłużej się temu opierał. Rozumiał, jak nikt inny, niebezpieczeństwo wpuszczenia Rosji do Europy (str. 17).

Książka nie jest pracą naukową w ścisłym znaczeniu tego słowa — mimo bogatego aparatu cytat i źródeł. Ma wydźwięk za bardzo aktualny, Zasługą jej jest jednak wskazanie na istniejący problem; jest poniekąd pracą pionierską, na razie jedyną, poruszająca ten temat zanim przyjdą studia bardziej szczegółowe. Jest przesiąknięta sympatią do Polski i Polaków. Wyszła z kół protestanckich, które nie po raz pierwszy występują z inicjatywami dążącymi szczerze do pojednania. Wielką nieobecnością w tych dążeniach świecą natomiast niemieccy katolicy.

Stanisław BÓBR-TYLINGO

6. Urodzony w 1950 r. w Berlinie, tamże studia humanistyczne.
7. Urodzony w 1949 r. w Westfalii, studia prawnicze.
8. H. Kaplan: *The first partition of Poland*, Columbia, 1962.

W sowieckiej prasie

Prasa sowiecka czekała trzy dni by poinformować swych czytelników o zaminowaniu portów północno-wietnamskich i o nowej eskalacji wojny w Wietnamie. Następnie, po kilku dniach, pojawiły się wiadomości o rozpoczynających się „w całym kraju" wiecach ludzi pracy przeciwko bestialstwom imperialistów amerykańskich.

Ale nie ma zapału w tych protestach. Zbyt często już organizowano takie mitingi, a ponadto — zbyt daleko posunęły się przygotowania do spotkania z prezydentem USA. I domy wyburzyli, by przeprowadzić dla niego triumfalną drogę, i rewizje przeprowadzili u znanych „dysydentów", aby nie przygotowali przypadkiem jakiegoś listu, czy protestu. Ma się rozumieć to wszystko można odwołać. I triumfalna droga i rewizje — nie zmarnują się. Ale czytając w prasie sowieckiej materiały poświęcone sprawom zagranicznym, musi się dojść do wniosku, że Wietnam zajmuje w nich bynajmniej nie pierwsze miejsce.

W wielkim artykule, opublikowanym w piśmie *Mołodaja Gwardia* (nr 2), minister obrony, marszałek A. Greczko, zwracając się do młodzieży sowieckiej z wezwaniem o umacnianie obronności ojczyzny, przypomniał, że „i dziś płoną niebezpieczne ognie wojny na Bliskim Wschodzie i w Indochinach". Indochiny wymienione tu są na drugim miejscu, ale i Bliski Wschód figuruje na pierwszym miejscu jedynie ze względów formalnych.

W ubiegłym miesiącu specjalna uwaga poświęcona była Europie. W pierwszym rzędzie NRF. Kłopoty z ratyfikacją umowy coraz bardziej niepokoiły dziennikarzy sowieckich. Szczęśliwy przypadek — 50-ciolecie podpisania 16. 4. 1922 roku układu w Rapallo — dał okazję przypomnienia o tradycjach przyjaźni niemiecko-sowieckiej. Jeśli organ oficjalny, *Izwiestia*, ograniczył się do artykułu przypominającego, że „duch Rapallo" to w pierwszym rzędzie atmosfera wzajemnego zrozumienia i realizmu w podejściu do wydarzeń międzynarodowych, to organ „nieoficjalny" — *Prawda* zamieścił ciekawy artykuł swego czołowego komentatora, Jurija Żukowa, pt. „Nauka historii". Artykuł zwra-

ca uwagę tym, że jest adresowany do autentycznych — z punktu widzenia sowieckich przywódców — „rządzących kręgów niemieckich". Przypominając historię stosunków niemiecko-sowieckich po rewolucji, Żukow podkreśla, że „już 17 lutego 1920 roku kierownicy największego koncernu AEG zwrócili się do prezydenta Eberta z żądaniem rozpracowania nowej, konstruktywnej polityki w stosunku do naszego kraju". Mało tego — „pięć miesięcy później do prezydenta, kanclerza, ministra spraw zagranicznych i ministra spraw wojskowych zwrócił się dowódca armii, generał von Seeckt z poufną notatką... i wezwał rząd do oświadczenia, że chcemy żyć w przyjaźni z Rosją".

Żukow przypomina prawicowym, konserwatywnym kołom niemieckim nie tylko to, że na skutek układu rapalskiego niemiecki przemysł zdobył rynek zbytu w Rosji sowieckiej, ale i to również że armia niemiecka, na mocy tajnych paragrafów tego układu, mogła obejść kontrolę aliantów i szkolić swoich pilotów i czołgistów w sowieckich szkołach wojennych, oraz wypróbowywać nowe rodzaje broni na poligonach sowieckich.

„Zawarcie układu — konstatuje *Prawda* — było autentycznym zwycięstwem zdrowego rozsądku". Z lekcji historii przeciwnicy ratyfikacji układu powinni wyciągnąć wnioski.

Drugim krajem europejskim, któremu poświęcono specjalną uwagę, stała się nieoczekiwanie Wielka Brytania. Widzi się w niej widocznie upartego wroga konferencji europejskiej. Nie można jej również wybaczyć wyrzucenia setki tzw. dyplomatów.

Na początku maja został usunięty z Moskwy korespondent *Times'a*, David Bonavia. Bezpośrednio przedtem *Litieraturnaja Gazieta* ogłosiła listy czytelników sowieckich, pełne oburzenia na „oszczerstwa na rzeczywistość sowiecką" zawarte w korespondencjach Bonavii. Czytelnicy sowieccy nie mogli dopuścić — i otwarcie o tym pisali — by tak poważne pismo jak *Times* oszukiwało swoich czytelników. Sowieccy czytelnicy bronią angielskich czytelników. Powstaje nowa międzynarodówka „czytelnicza" — „czytelnicy wszystkich krajów łączcie się!". Jak wiadomo, nie każdy może zdobyć *Times'a* w Moskwie, ale autorzy listów do *Litieraturnej Gaziety* dokazali tej sztuki i oskarżyli Bonavię o trzy grzechy główne:

— po pierwsze napisał, że do parków kultury i odpoczynku chodzą jedynie ci mieszkańcy Moskwy, którzy mają trudności mieszkaniowe, po drugie, że w moskiewskiej telewizji brakuje mikrofonów, i po trzecie, że do uprawiania sportu zachęca się w Związku Sowieckim celem ograniczenia popytu na alkohol.

Jest oczywiste, że takiego dziennikarza naród angielski nie może znieść w Moskwie. Tak dosłownie oświadczył autor jednego z listów, który był w Anglii jako turysta i spotkał tam robotnika, proszącego go ze łzami w oczach o fotografię Gagarina dla ciężko chorego syna.

◆

Anglia jest również głównym przeciwnikiem w historiach szpiegowskich, które zajmują znaczną część współczesnej produkcji literackiej ogłaszanej w wydawnictwach i prasie sowieckiej. Ten rodzaj uzyskał nobilitację — książka o Richardzie Sorge została wydana w serii „Życie wybitnych ludzi". Wśród pięciuset książek, które ukazały się w tej serii w przeciągu prawie 40-tu lat, po raz pierwszy wśród „wybitnych ludzi" znalazł się szpieg, albo — jak mówią w Moskwie — wywiadowca.

Richard Sorge — jak wiadomo — pracował w Chinach, a później w Japonii. Obecnie czytelnicy sowieccy mogą zapoznać się z działalnością „wywiadowców" w Anglii. W powieści Daniła Kraninowa „Zmierzch w południe", drukowanej w *Oktiabrze*, Anglia jest przestawiona jako główny inspirator i twórca układów monachijskich z 1938 roku. Nawet Hitler jest przedstawiony z mniejszą niechęcią niż angielscy mężowie stanu; możemy wśród nich spotkać i obecnego ministra spraw zagranicznych, Douglas'a Home'a, który spowodował usunięcie z Anglii sowieckich dyplomatów-szpiegów i z tego powodu został określony w powieści Kraninowa jako „smarkacz", robiący karierę dzięki swym związkom z kołami arystokratycznymi. Zresztą dowiadujemy się z powieści, że za monachijską kapitulację „Anglia nie odpowiada", ponieważ „rząd, to jeszcze nie społeczeństwo". Dowiadujemy się również, że w 1938 roku w Brukseli, dokąd trafił bohater powieści, już od 15-tu lat pracuje sowiecka „organizacja wywiadowcza", której powierzono zadanie „Chronienia ojczyzny z daleka".

W związku z narastającą kampanią antyangielską, *Mołodaja Gwardia* (w nrze 3), wznowiła, po czteromiesięcznej przerwie, druk dokumentarnej powieści T. Podolina *„Speckomandirowka"*. W jednym z moich przeglądów wspominałem już o tej powieści, poświęconej jednemu z najwybitniejszych, powojennych szpiegów sowieckich — Gordonowi-Lonsdale-Łonowowi. W *„Speckomandirowkie"* między innymi oskarża się Anglię o przygotowywanie wojny bakteriologicznej, o czym zresztą „nie wie naród angielski". Powieść jest ciekawa z powodu obfitości szczegółów werbowania agentów przez wywiad sowiecki. Jednym z głównych agentów Łonowa-Lonsdale'a był młodszy oficer marynarki angielskiej, przebywający w swoim czasie w Polsce. „W początku lat pięćdziesiątych — opowiada autor powieści — Hawton, pracując w biurze angielskiego attaché wojskowego i morskiego, zajmował się w stolicy Polskiej Republiki Ludowej machinacjami czarnorynkowymi, nadużywał polskiej 'wyborowej' i 'żytniówki'...". Ponadto polskie dowcipne blondyneczki wywarły na Hawtonie wielkie wrażenie...".

Krótko mówiąc, Lonsdale otrzymawszy te informacje, zjawił się u amatora „wyborowej" i „polskich blondynek" w charakterze oficera marynarki amerykańskiej i zwerbował go do sowieckiego wywiadu, stwarzając pozory, że werbuje go do wywiadu amerykańskiego.

Akcja powieści od czasu do czasu przerywana jest dygresjami: autor prosił płk. Łonowa o wyjaśnianie niektórych problemów, na które natrafia w książce. W związku z opowiedzianym wyżej epizodem Podolin zapytuje np. czy w tej całej sprawie Lonsdale'a z Hawtonem nie ma czegoś... nie bardzo (powiedziałby chyba „etycznego", gdyby użył tego słowa). Płk Łonow odpowiada, że — po pierwsze „wywiadowcy niezawsze udaje się pracować w białych rękawiczkach", po drugie Hawton „obiektywnie służył uczciwemu i dobremu celowi", a po trzecie „w ciągu szeregu lat, kiedy utrzymywałem z nim kontakt, miałem wrażenie, że Hawton zmienia się na lepsze".

Ale to już dotyczy sfery błogosławionego wpływu wywiadu rosyjskiego na dusze ludzkie.

◆

Jest oczywiste, że przy istnieniu takich „duchowych pasterzy" wszyscy inni pasterze mogą tylko szkodzić. 17.000 katolików litewskich podpisało memoriał skierowany na ręce generalnego sekretarza ONZ, Kurta Waldheima, z prośbą o przekazanie go Breżniewowi. Wybrali oni tak skomplikowaną drogę z Litwy do Moskwy przez New York, gdyż na poprzednie trzy memoriały do Breżniewa, podpisane przez 4.538 katolików, nie było odpowiedzi. (Tekst memoriału podajemy osobno — Red.).

W „Kronice bieżących wydarzeń", piśmie samizdatowym rejestrującym wszelkie przejawy samodzielnej akcji społecznej i walki z nią ze strony władz, czytamy o procesie księdza Ju. Zdebskisa, który odbył się w listopadzie 1971 roku. Po aresztowaniu ksiądz „był nieludzko skatowany w policyjnym izolatorze i do procesu znajdował się w więzieniu wileńskim Łukiszkiaj". Mimo, że „termin i miejsce procesu były starannie ukrywane przez władze, przed budynkiem sądu zebrało się przeszło 600 osób. Milicjanci starali się rozpędzić tłum, jednej kobiecie połamano żebra, druga od uderzenia w głowę straciła przytomność; bito kobiety, dziewczynki, przewracano na ziemię, ciągnięto za nogi, wpychano do milicyjnych wozów... na ulicy i na schodach pozostały ślady krwi i rozdeptane kwiaty".

Sędzia zadawał księdzu następujące pytania: Czego uczył dzieci? Jaką się posługiwał literaturą? Ks. Zdebskis odpowiadał: Pojmowania świętych prawd. Mszy. Posługiwał się starymi katechizmami i modlitewnikami.

W charakterze świadków przesłuchano około dziesięcioro dzieci w wieku od 9-ciu do 11-tu lat. Dzieci wypytywano: Czegoon ciebie uczył? Dzieci odpowiadały, płacząc ze strachu: Nie kraść, nie wybijać okien.

Prokurator oświadczył: „Wszystkiego, czego trzeba, uczą w szkole. Nie ma powodu, by robić to w kościele. Nie dopuścimy, by dzieci uczono inaczej, niż w szkole". Prokurator domagał się skazania księdza na rok obozu. Sąd przychylił się do żądania prokuratora.

W tymże numerze (23-im) „Kroniki bieżących wydarzeń" zacytowano jeszcze dwa wypadki skazania księży za nauczanie dzieci.

◆

Aresztowania księży katolickich świadczą o tym, że wszystkie inne formy walki z religią na Litwie nie dają rezultatu. Tych „innych form" jest niezmiernie dużo, a charakter ich jest najbardziej różnorodny. W ostatnich czasach, na przykład, są próby oczyszczenia literatury rosyjskiej z trafiającego się w niej od czasu do czasu słowa „Bóg". Czasopismo *Nauka i religia* przytacza tego rodzaju fakty, określając je jako głupie i bezmyślne. Ale tym niemniej okazuje się, na przykład, że w filmie „Męska rozmowa" pokazana jest lekcja literatury. Nauczycielka czyta wiersze Lermontowa, kończąc optymistycznie słowami: „I szczęście mogę osiągnąć na ziemi". Ostatni wiersz „I w niebiosach widzę Boga" — nauczycielka wstydliwie opuszcza. Słynną rosyjską pieśń ludową: „Legendę o dwunastu rozbójnikach i ich atamanie Kudejarze" wykonują w radio następująco: „Porzucił swych towarzyszy, porzucił napady. Sam Kudejar poszedł do klasztoru, by wiernie *służyć narodowi*".

Sowieccy słuchacze przywykli, że wszyscy „wiernie służą narodowi", nie dziwią się więc, że i rozbójnik Kudejar poszedł śladami lepszych towarzyszy. I tylko starzy ludzie pamiętają, że niegdyś śpiewano: „Sam Kudejar poszedł do klasztoru służyć *Bogu* i ludziom".

◆

Wywiad, udzielony przez Sołżenicyna korespondentom zagranicznym, pociągnął za sobą natychmiastowe sankcje. Dr Karl Ragnar, sekretarz szwedzkiej Akademii, nie otrzymał wizy wzjazdowej, aby wręczyć pisarzowi Nagrodę Nobla. „Niech się Pan nie martwi — napisał mu Sołżenicyn — to hańba, ale nie nasza".

Jednocześnie redakcje pism zalane zostały listami czytelników, potępiających ostatnią powieść laureata Nobla. Nikt z nich, ma się rozumieć, nie czytał „Sierpnia 1914" — czytali tylko artykuły o powieści, publikowane w *Litieraturnej Gaziecie*. Czytali również — komu na to sił starczyło — przekład artykułu Jerzego Romanowskiego, który ukazał się w katolickim tygodniku polskim WTK, i został przedrukowany m.in. w piśmie *Trud*. (W swoim wywiadzie Sołżenicyn powiedział, że zaprosił na uroczystość wręczenia mu Nagrody Nobla ministra kultury ZSSR, a także przedstawicieli dwóch pism, w których nie ukazały się ataki na niego: *Trud* i *Sielskaja Żizń*. *Trud* więc bardzo się przestraszył i natychmiast ogłosił artykuł Romanowskiego).

Kampania przeciwko Sołżenicynowi prowadzona jest z pozycji obrony wielkiego narodu rosyjskiego, który został zniesławiony przez autora „Jednego dnia Iwana Denisowicza". Dlatego wśród protestujących czytelników są Białorusini, Ormianie, Kirgizi, Fin, Niemka, polski katolik Jerzy Romanowski, protestujący

w imieniu wszystkich Słowian, oraz Włoch — Eusebio Ferreri. Artykuł tego ostatniego *Litieraturnaja Gazieta* przedrukowała z mediolańskiego pisma *Calendario del popolo* (nie wiem, czy taka gazeta istnieje, czy też została wymyślona *ad hoc).* Jeśli takie pismo istnieje, to można mu pogratulować znakomitego zorientowania jego współpracownika. Znaczną część swego artykułu poświęca on demaskowaniu sztuki Sołżenicyna „Uczta zwycięzców", od której sam pisarz już dawno się odżegnał (jedyny istniejący egzemplarz był skonfiskowany szereg lat temu przez KGB w czasie rewizji).

Eusebio Ferreri oskarża Sołżenicyna i o inne poważne przestępstwa. Na przykład, że w powieści „Oddział chorych na raka" dyskusja między dwoma bohaterami „nosi jawnie polityczny charakter". Pomyśleć tylko! Bohaterzy powieści mówią o polityce! W Mediolanie zapewne za takie rzeczy wsadzają do więzienia, a w Moskwie jedynie nie drukują książki. Albo jeszcze gorzej: jeden z bohaterów „wyrażający poglądy autora oświadcza, że społeczeństwo i państwo powinny się opierać na zasadach moralnych" i powołuje się przy tym na filozofa Władimira Sołowjowa. W tym miejscu *Litieraturnaja Gazieta* daje odnośnik i złowrogo rozszyfrowuje nazwisko: „Władimir Sołowjow, rosyjski filozof — idealista-teolog".

Przygotowawszy grunt, udowodniwszy że Sołżenicyn marzy ni mniej ni więcej tylko o „społeczeństwie i państwie opartych na zasadach moralnych", oraz że powołuje się na idealistę i teologa Sołowjowa, Eusebio Ferreri formułuje akt oskarżenia przeciwko pisarzowi. Mówiąc „akt oskarżenia", mam na myśli konkretne oskarżenie o cały szereg przestępstw o charakterze antypaństwowym, zestawionych przez znawcę prawa karnego RSFSR. Sołżenicyn jest konkretnie oskarżony o próby poderwania społecznych i politycznych podstaw ustroju sowieckiego w celu zmienienia zasad, na których się on opiera, a także o rozpowszechnianie tych poglądów za pomocą dzieł literackich, oświadczeń, apeli itd., i to poprzez zagraniczne ośrodki informacji masowej, o których powszechnie wiadomo, że zwalczają sowieckie społeczeństwo.

Tę część artykułu mediolańskiego dziennikarza łatwo można znaleźć w „Kodeksie karnym RSFSR", w rozdziale „Przestępstwa szczególnie niebezpieczne dla państwa": § 64 „zdrada ojczyzny" — przewidujący pozbawienie wolności od 10 do 15 lat, albo karę śmierci, i § 70 „antysowiecka propaganda i agitacja" — przewidujący pozbawienie wolności jedynie w wysokości od sześciu miesięcy do siedmiu lat.

W połowie XIX wieku Sałtykow-Szczedrin pisał o dziennikarzach, którzy wyrywają z recenzowanego utworu jedno zdanie ze środka, jedno z końca, jedno z początku i podają to wszystko razem w charakterze donosu. Można stwierdzić, że ta metoda dziennikarska rozprzestrzenia się w naszych czasach w najróżniejszych państwach świata.

Adam KRUCZEK

Kraj

Sprawa Mazurów, Kaszubów, Ślązaków

W zupełnej niemal ciszy rozgrywa się dramat najliczniejszej emigracji z Polski Ludowej — wyjazd autochtonów do NRF. Jeśli z rzadka pojawia się jakiś głos w tej materii, jest to przekleństwo na drogę w rodzaju „Samochodów im się zachciało!".

Cyfry są skrzętnie ukrywane.. 60 tysięcy? 180 tysięcy? 300 tysięcy? Nikt dokładnie nie wie ilu Mazurów, Ślązaków i Kaszubów opuszcza Polskę by przenieść się do NRF. Chodzi w każdym razie co najmniej o dziesiątki tysięcy chłopów, górników, inżynierów. Zdecydowali się rzucić ziemię, na której mieszkają od urodzenia, na której mieszkali dziadowie i pradziadowie. Decydują się na emigrację ludzie, którzy czuli się Polakami wówczas, gdy ziemie te wchodziły w skład państwa niemieckiego i deklarowanie polskości związane było z dyskryminacją lub wręcz prześladowaniem. Wyjeżdżają chłopi przyzwyczajeni do gospodarowania na swoim, świadomi, że w NRF będą robotnikami rolnymi u Bauerów. Los czeka ich nie radosny. Bariera językowa; na ogół nie znają niemieckiego, mówią swoim dialektem mazurskim czy śląskim. Bariera cywilizacyjna, zwłaszcza u chłopów; prowadzili dotąd gospodarkę rolną na wzór i podobieństwo tych sprzed pół wieku, przy pomocy konia i pługa. Uprawiali kartofle i zboże, hodowali drób i bydło. W kraju dokąd jadą rolnictwo jest zmechanizowane i wyspecjalizowane. Bariera środowiskowa; spotykają się w NRF z przyjęciem chłodnym, nawet nieżyczliwym. Mieszkają tam — przejściowo — w obozach, wśród nieznanych sobie ludzi, w warunkach do jakich nie są przyzwyczajeni i do jakich już nie przywykną. Są to bowiem przeważnie ludzie w wieku podeszłym.

Dramat wędrówki autochtonów do NRF jest ciężkim oskarżeniem pod adresem władz Polski Ludowej. Warto tu zauważyć, że twórcze zastosowanie marksizmu-leninizmu w dziedzinie wędrówek ludów jest stosunkowo słabo oświetlone w literaturze.

A temat jest ogromny. Osiągnięcia są niezwykłe, najbogatsze — oczywiście — w ojczyźnie międzynarodowego proletariatu — ZSSR. Tam wędrówki ludów ciasno przylegają do obozów koncentracyjnych. Posiadają jednakże swą względną autonomię i własną, długą a krwawą historię. Z najświeższych, pewien odzew na Zachodzie znalazła tragedia Tatarów krymskich. Prawie zapomniane natomiast zostały — dla przykładu — dramatyczne dzieje niektórych ludów kaukaskich albo Niemców nadwołżańskich, przesiedlonych na Syberię wraz z ich komitetami centralnymi partii, NKWD i wszystkimi innymi instytucjami. Przerzucanie całych grup etnicznych z południa na tereny podbiegunowe, znad Morza Czarnego nad Ochockie, z Europy na Daleki Wschód towarzyszy całej półwiekowej historii zwycięskiego komunizmu.

Spośród krajów, których losy uzależnione zostały po wojnie od ZSSR, praktykę przerzucania wielkich mas ludności z miejsca na miejsce przejęła w najsilniejszym bodaj stopniu, niestety, Polska Ludowa. Pierwsza transza przypada na okres bezpośrednio po zakończeniu wojny. Związana była przede wszystkim ze zmianami mapy geograficznej Polski. Wywędrowała wówczas ludność polska dawnych Kresów, głównie na ziemie nadodrzańskie. Ta wędrówka odbywała się pod patronatem Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Następną wędrówką wielkich mas ludności opiekowało się już bezpośrednio UB; odbywało się przymusowe przesiedlenie Łemków, zamieszkujących od wieków południowowschodni kraniec Polski. Wywiezieni w Olsztyńskie poddani tam zostali reedukacji politycznej pod okiem ówczesnego przewodniczącego WRN Mieczysława Moczara.

Kolejna masowa wędrówka, tym razem poza granice obozu socjalistycznego i rozłożona na raty, dotyczyła kilkudziesięciu tysięcy ocalałych po okresie hitlerowskim Żydów. Zwłaszcza bolesna była ostatnia tura tej wędrówki, ta z lat 1968/69, której ofiarą padła głęboko spolonizowana warstwa inteligencji i młodzieży.

Obecny exodus, obejmujący Mazurów, Kaszubów i Ślązaków różni się w sposób istotny od poprzednich. Na stopniach wagonów nie widać żołnierzy KBW, jak to miało miejsce w przypadku Łemków. Żydzi również wyjeżdżali bez asysty zbrojnej, za to przejść musieli koszmar odpraw celnych, dokonywanych w Warszawie na dawnym Umschlagsplatzu. Osobisty dobytek wyjeżdżających uznany został za część składową majątku narodowego i urzędnicy celni podlegli Moczarowi bacznie śledzili, by ów majątek nie został uszczuplony. Liczyli więc skrzętnie łyżki i widelce, talerze i filiżanki. Zabierali wyjeżdżającym zaświadczenia i dyplomy mogące w przyszłości ułatwić emigrantom dochodzenie swych praw pracowniczych. Otóż obecna wędrówka Ślązaków, Mazurów i Kaszubów — twierdzę to na podstawie osobistych obserwacji w jednym z powiatów — odbywa się w innej, uczłowieczonej atmosferze. Nie towarzyszy jej żadna kampania nienawiści na podobieństwo owej antysemickiej z 1968 roku. Urzędnicy celni nie są grubiańscy. Są tolerancyjni. Nie zaliczają krowy gospodarza z Wejsun czy Mikołajek do majątku narodowego. Traktują ją jako własność ruchomą wyjeżdżającego. Mogą zatem Mazurzy zabrać z sobą cały ruchomy dobytek, nie wyłączając inwentarza żywego a także nagromadzonych zapasów żywności, dla łatwiejszego przetrwania pierwszych miesięcy na emigracji.

Mamy więc tym razem do czynienia z wychodźtwem najbardziej humanitarnym z możliwych w świecie socjalistycznym, pozbawionym cech policyjnej samowoli i agitacyjnego szczucia — z wychodźtwem czystym, w dodatku dobrowolnym, pozornie i formalnie naprawdę dobrowolnym — i ono bodaj jest najcięższym oskarżeniem systemu. Tragizm bowiem poprzednich wędrówek zawarty był nie w formie, tylko w treści. Nie polegał na tym jak, lecz że ludzi wygnano. Brutalność z jaką to przeprowadzano, przykuwając uwagę opinii publicznej, odwracała ją zarazem od istoty tragedii. Tym razem sedna dramatu nie przysłaniają policyjne bezeceństwa. Jest widoczna jako sprawa główna i w prasie już się pojawiają pierwsze opisy skutków dokonującego się politycznego handlu żywym towarem.

Należy obiektywnie stwierdzić: emigracja Kaszubów, Mazurów i Ślązaków została na władzach polskich wymuszona. Zawarta została transakcja między Wysokimi Układającymi się Stronami w czasie rokowań między Brandtem i Gomułką. Brandtowi niezbędny był argument na użytek wewnętrznego rynku politycznego i Gomułka, prawda, że bez entuzjazmu, ale zapłacił autochtonami za podpis Brandta pod układem. Niemniej, jakby nie oceniać moralnie transakcji, pozostaje faktem, że autochtoni chcą wyjechać z Polski, a więc że mamy do czynienia z emigracją dobrowolną. I odpowiedzieć sobie należy na pytanie: dlaczego? Dlaczego dziesiątki, a może nawet setki tysięcy ludzi z uporem składa od lat podania o zezwolenie na wyjazd do NRF.

Wyjaśnienia tej zagadki szukać należy w wielu płaszczyznach. Przyczyn jest wiele. Jedna tkwi w ogólnej psychozie więziennej, właściwej całemu społeczeństwu. Normalną reakcją człowieka zamkniętego na klucz jest chęć wyrwania się na wolność. Krążył swego czasu dowcip:

— Co byś zrobił, gdyby otwarto granicę?
— Wspiąłbym się na drzewo.
— Dlaczego?
— Żeby mnie nie rozdeptali.

Dowcip ten nie zrodził się w Anglii ani Francji. Zamknięta granica, niemożność swobodnego wyjazdu i swobodnego powrotu, świadomość iż jest się przywiązanym przemocą do ziemi, rodzi u bardzo wielu także rdzennych Polaków chęć wyemigrowania, przeniesienia się do krajów o mniejszej ilości wszelakich zakazów aniżeli w socjalizmie. Czynnik ten występuje u Mazurów, Kaszubów i Ślązaków szczególnie silnie. Istnieją tam bowiem mocne związki rodzinne z obywatelami NRF. Każda nie-

mal rodzina autochtoniczna ma tam bliskich krewnych. Są to często rodzone dzieci, rodzice lub najbliższe rodzeństwo. Tamci, owszem, mogą od czasu do czasu, wymieniając obowiązkowo znaczną kwotę dewiz, odwiedzać swoich bliskich w Polsce. Odwrotnie natomiast jest to niemożliwe. Przybywają więc raz na dwa-trzy lata krewni, przywożą ciuchy i podarunki, opowiadają o swoich sukcesach, podróżach — i wzajemna sytuacja przypomina nieco widzenie w więzieniu, kiedy przybyły krewny po widzeniu wróci na wolność, a więzień do celi. Więzień również chciałby na wolność.

Inną z przyczyn jest poczucie doznanych krzywd. Doznawanych zresztą sporadycznie nadal. Chłop mazurski czy kaszubski narażony jest dotąd w kłótni sąsiedzkiej na to, że usłyszy słowo „hitlerowiec" od przybysza z centralnej Polski. Jeśli sąsiad może opóźnić się z dostawą lub wpłatą podatku — autochton musi być akuratny. Sąsiadowi może się nie podobać, że w sklepie GS nie ma kiełbasy, mięsa, chleba. Autochtonowi wszystko musi się podobać, pozbawiony jest prawa najdelikatniejszej nawet krytyki, gdyż zaraz usłyszy: „co, Polska ci się nie podoba?".

W czasach, kiedy ziemie te wchodziły w skład Niemiec wielu autochtonów uważało się za Polaków. Posyłali dzieci do polskich szkół nie zważając na grożące prześladowania. Uczestniczyli w pracach Związku Polaków w Niemczech. Nasza władza ludowa wyleczyła ich z polskości tak samo jak wyleczyła robotników z przekonań socjalistycznych, jak wyleczyła komunistów z komunizmu. Dawni działacze Związku Polaków w Niemczech rejestrują się na wyjazd do NRF na równi z innymi mieszkańcami tych ziem. Mimo, iż od kilkunastu lat drastyczne formy prześladowań narodowościowych ustały, poczucie potencjalnego zagrożenia pozostało i pozostało przeświadczenie, że są obywatelami niższej kategorii. Psychicznie jest to zrozumiałe w kraju, gdzie ksenofobia jest oficjalnym wyznaniem wiary, popierana i krzewiona. Każdy „inny", choćby tylko trochę „inny", czuje się obywatelem gorszej kategorii, czasami łaskawiej, czasami mniej łaskawie traktowanym.

Wreszcie istotnym czynnikiem rodzącym pragnienie wyjazdu stał się chroniczny brak perspektyw rozwojowych gospodarstw rolnych — u chłopów, i chronicznie niskie zarobki robotników. Mazurzy i Ślązacy nie s ą oczywiście w tej materii wyjątkiem. Obraz wsi kaszubskiej czy opolskiej nie różni się zasadniczo od obrazu wsi kieleckiej czy rzeszowskiej. Trwający latami stan beznadziejności spowodował między innymi ucieczkę młodzieży, zestarzenie się wsi, dewastację budynków i inwentarza — przy czym objawy te występują u ludności autochtonicznej w stopniu silniejszym aniżeli w centralnych województwach. Nie dysponuję w tej materii danymi statystycznymi, uwagi moje oparte są na spostrzeżeniach osobistych, bezpośrednich. Z autopsji wnioskuję, że wsie mazurskie, kaszubskie i opolskie starzeją się szybciej aniżeli reszta kraju. Stąd odbywa się ucieczka młodzieży nie tylko do miasta, ale również do NRF. Legalna i nielegalna.

Zmiany w polityce rolnej po upadku Gomułki nastąpiły zbyt późno i dokonywane są w sposób ślamazarny, bojkotowane przez aparat partyjny, handlowy, dostawczy, kontraktacyjny, usługowy. Aparat przyzwyczajony jest od lat do pomiatania ludźmi, do nieliczenia się z ich interesami, do łapówek i kantów. Nawet jeśli założyć, że Gierek istotnie zmierza do trwałych zmian — trudno przewidzieć, czy zdobędzie się na niezbędny upór w walce z aparatem, aby zmiany te przeprowadzić. A ludzie nauczyli się przede wszystkim nie ufać. Wśród Mazurów, Kaszubów i Ślązaków nieufność jest szczególnie silna.

Czy zdają sobie sprawę z dramatu jaki ich czeka po tamtej stronie? Z muru jaki wzniósł się pomiędzy nimi i społeczeństwem NRF?

Najczęściej — tak. Zwłaszcza przeraża ich zupełnie odmienny tryb pracy i życia w NRF. Uświadamiają sobie odmienność językową.

A jak właściwie jest z ich narodową przynależnością?

Tu dotykamy najdelikatniejszej sprawy. Parafialny patriotyzm i malutkiej miary nacjonalizm, jaki zapanował w ideologii PRL jako przeciwwaga nurtującego społeczeństwo antysowietyzmu, sprawił, iż w Polsce istnieje niepisany obowiązek narodowego „określania się"! Gomułka żądał tego z trybuny Sali Kongresowej. Otóż temu żądaniu Mazurzy, Kaszubi i Ślązacy nie są w stanie uczynić zadość. W Polsce są Niemcami — w Niemczech Polakami. I taka jest prawda. Integracja narodowa nie może być dokonana na życzenie wodza z dnia na dzień, ni z roku na rok. Na to pracują pokolenia. To są procesy naturalne i przebiegające wolno. Może im sprzyjać wolność. Musi je wstrzymać przymus i gwałt.

Jedną z najdotkliwszych strat, jakie poniosła kultura polska w ostatnich latach — to urzeczywistnienie Polski jednonarodowej. Skutek nie będzie natychmiastowy. Dopiero w bilansie jednego-dwóch pokoleń stanie się przerażająco widoczny.

Powracając jednak do sprawy autochtonów, należy jeszcze postawić ostatnie pytanie: czy można było zapobiec tej najliczniejszej i dotkliwej także z gospodarczego punktu widzenia emigracji? Można było. Należało uczynić coś bardzo prostego: otworzyć granicę. Pozwolić się odwiedzać. Dać pełną możność wyboru i zmiany tego wyboru, to znaczy powrotu na swoje gospodarstwo. Należało uhonorować prawo własności ziemi i nieruchomości. Pozwolić ludziom pojechać, popatrzeć, zastanowić się — bez konieczności podjęcia ostatecznej decyzji natychmiast, albo nigdy.

Coś bardzo prostego — ale w warunkach socjalizmu utopijnego.

K. ZIELONOGÓRSKI

Rozważania o kraju i rodakach

My tutaj za granicą i nasi rodacy w kraju skazani jesteśmy wprost nieuchronnie na trudności porozumienia się ze sobą nawzajem. Oni słusznie chyba narzekają, że zbyt łatwo zdobywamy się na pryncypializm, który przecież niewiele lub zgoła nic nas nie kosztuje dopóki nie jesteśmy w bezpośrednim zasięgu „smutnych panów" z bezpieki. My z kolei nie możemy się powstrzymać przed węszeniem oportunizmu w wszystkim, co oficjalnie ukazuje się w kraju. Bo przecież wiadomo, że cenzura, zagrożony interes własny itp. Słuchając wynurzeń intymnych rodaków z kraju albo czytając ich ostrożne wypowiedzi wprost niesposób ustrzec się od domniemania, że nadal patronuje im przekonanie o Polsce jako o pępku świata. Stąd przesadne wyolbrzymianie zarówno własnych ofiar, jak też wygód w jakich rzekomo beztrosko pławią się wszyscy którzy „urządzili się" na Zachodzie pozostawiając kraj jego własnemu losowi. Świętym obowiązkiem Polaka za granicą jest jakoby pomagać krajowi, biadać nad niedolą rodaków w kraju, czcić święte imię ojczyzny i składać swe życie (oraz pieniądze) w nieustannej ofierze. Jak gdyby nie było na całym świecie bardziej cierpiętniczego miejsca niż kraj nad Wisłą i jego mieszkańcy. Jak gdyby krajowe kłopoty zaopatrzeniowe były czymś nieskończenie okrutniejszym od ludzi umierających z głodu w Bengalii, niedożywionych dzieci w Indiach lub warunków życia w amerykańskim getcie murzyńskim.

Zachodzi realna konieczność zdobycia się zarówno z jednej jak i drugiej strony na bardzo wiele wzajemnej cierpliwości i tolerancji. Inaczej przepaść między nami będzie stale rosnąć, co oczywiście musi odbić się ujemnie na interesie narodowym zarówno z tej jak i z tamtej strony Odry. Nam, Polakom na Zachodzie, trzeba przede wszystkim pogodzić się z myślą, że stan rzeczy istniejący współcześnie nad Wisłą stał się dla wielu Polaków czymś jedynie realnym, z czym chcą i muszą się pogodzić. Że nam się to nie podoba bo zaprzecza szczytnym ideałom wolności i demokracji? Że chcielibyśmy widzieć Polskę jako pomost między Wschodem i Zachodem, po którym wartości zachodnie stopniowo przeciekałyby na Wschód? Że program minimum nam osobiście nie odpowiada? Nikt nam nie każe opowiadać się za racją stanu taką jaką reprezentuje władza warszawska. Zgódźmy się jednak z faktem, że wielu ludziom w kraju w ich rozumieniu świata i życia nie pozostało nic innego, jak właśnie godzić się z tą racją stanu. Chcą przeżyć, chcą aby kraj i naród jako tako egzystowały, a nawet rozwijały się w wszelkich dostępnych warunkach.

„Rozważania o Rzeczypospolitej" Jana Szczepańskiego (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971) są bardzo znamiennym dokumentem epoki. Reprezentują bowiem pogląd człowieka, który chce zachować swą intelektualną niezależność i uczciwość, a jednocześnie akceptuje reżym i system, choć nie jest i nigdy nie był członkiem Partii. Takich ludzi jest bardzo wielu w Polsce, zwłaszcza w kręgach fachowej inteligencji. Szczepańskiemu bardzo zależy na tym, aby kraj unowocześnić, zapewnić mu poczesne miejsce w świecie w ogóle, a w świecie komunistycznym w szczególności, podnieść ogólny dobrobyt, zlikwidować jaskrawe nierówności społeczne, bezprawie, bałagan, nieróbstwo i kumoterstwo. Szczepański traktuje swoją książkę jako „apel o realizm w myśleniu politycznym. A przede wszystkim o realizm w politycznym myśleniu o przyszłości" (str. 9).

Zdaniem Szczepańskiego ujemne cechy polskiego charakteru narodowego doszły do głosu na skutek szeregu takich czynników, jak zachwianie równowagi psychicznej narodu (uwarunkowane względami historycznymi), rozkład więzi nieformalnych, niedowład systemu instytucji i organizacji formalnych, wewnętrzne sprzeczności i niekonsekwencje aparatu władzy, brak taktu ludzi władzy w stosunku do obywateli, niedostateczne sięganie władzy po pomoc ekspertów, niedostateczna troska o oświatę i wychowanie młodzieży, nieliczenie się władzy z opinią publiczną, a poza tym niedostateczna pracowitość Polaków.

„W Polsce żaden rząd nie miał łatwego życia. Jesteśmy bowiem narodem buntowników i anarchistów" (str. 32). Tym bardziej więc należy lepiej opanować sztukę rządzenia masami, oprzeć się na naukowej wiedzy, przyjrzeć się lepiej jak Niemcy dają sobie doskonale radę w NRD, zatroszczyć się bardziej o poczesne miejsce wśród narodów obozu komunistycznego. „Polityka staje się rzeczą ekspertów" (str. 34) a nie niedouków i dogmatyków. Recepta zdaniem Szczepańskiego „jest śmiesznie prosta. Wystarczy, aby każdy Polak, na każdym stanowisku — spełniał rzetelnie i uczciwie swoje obowiązki" (str. 35).

Tak więc obywatele są winni wobec władzy okazać swój rzetelny wkład i lojalność, a władza musi zdobyć umiejętność manipulowania swymi poddanymi. „Stosunek władzy do obywateli umożliwiający sprawowanie władzy w sposób sprawny polega na umiejętności manipulowania postawami, i działaniami obywateli w taki sposób, aby osiągać cele wyznaczone prawem, a równocześnie zachować uznanie obywateli i ich akceptację" (str. 41). Najgorszą rzeczą jest rozkład władzy czyli anarchia, jak „to było w Polsce szlacheckiej" (str. 42). Aby anarchii skutecznie zapobiec trzeba staranniej dobierać ludzi na stanowiska kierownicze, wykorzystywać w większym stopniu dorobek socjologii, uprawiać socjotechnikę (czyli socjologię stosowaną do celów praktycznych), być bardziej racjonalnym w wynagradzaniu ludzi za to co zdziałają. Należy wyraźnie odróżniać ludzi którzy wnoszą swój wkład, od nierobów i próżniaków. Ludziom trzeba stawiać wysokie wymagania i odpowiednio ich wynagradzać za

to co zrobią. „Historia pokazuje, że wielkie nowoczesne państwa, imperia gospodarcze, budowali ludzie zdecydowani, bezwzględni i że tylko te społeczeństwa doszły do wielkości, które swoim obywatelom stawiały wysokie wymagania" (str. 61). Tymczasem zaś w Polsce „większość narodu pozwala sobie narzucać stereotyp kultu cwaniactwa, pijaństwa i kombinatorstwa przez mniejszość dostatecznie krzykliwą. Gdyby jednak ktoś chciał powiedzieć głośno: dość tego, ludzie zdolni, uczciwi i wartościowi, wy nadawajcie ton naszemu życiu; gdyby ktoś miał odwagę wszystkich nierobów wyrzucić poza bramy zakładów pracy, gdyby miał odwagę wyeliminować kombinatorów i ludzi źle pracujących — to okazałoby się, że jest dostatecznie dużo tych, którzy chcą iść w czołówce" (str. 88).

Pobudki prof. Szczepańskiego są jawnie patriotyczne. Widzi on Polskę jako teren wysokich napięć i pragnie, aby społeczeństwo było dostatecznie silne by tym napięciom sprostać w każdych warunkach politycznych. „Jeżeli prowadzone obecnie rozmowy między wielkimi mocarstwami doprowadzą do jakichś rezultatów, a zwłaszcza jeżeli rozmowy między USA i ZSSR doprowadzą do uregulowania chociażby części omawianych spraw, rzecz jasna, zmiany między blokami mogą spowodować pewne przesunięcia sił również wewnątrz bloków, powodując zmianę miejsc zajmowanych przez poszczególne państwa i narody" (str. 91-92). To co Polsce jest obecnie najbardziej potrzebne to „logiczne myślenie i racjonalne działanie" (str. 113), które pomogłyby uzdrowić gospodarkę. „Wypadki na Wybrzeżu zapaliły światło ukazujące rzeczywisty stan Rzeczypospolitej [...]. W ciągu tych kilku dni naród stanął na krawędzi wielkiej katastrofy, która przyszłaby na pewno, gdyby nie VII plenum, zmiany w Komitecie Centralnym i postawa nowego pierwszego sekretarza" (str. 97).

Gdzie umieścić poglądy prof. Szczepańskiego na mapie orientacji ideologicznych? Są to chyba niewątpliwie poglądy o charakterze konserwatywnym, jakich nie powstydziłby się żaden z tradycjonalistów w dziedzinie prywatnego *business*'u lub w Partii Republikańskiej na terenie USA. Już dużo trudniej byłoby włożyć te poglądy w usta współczesnych konserwatystów brytyjskich lub kanadyjskich, którzy od tradycjonalizmu odcinają się coraz bardziej widząc w nim archaiczny zabytek nie odpowiadający potrzebom bieżących czasów.

Zgodnie z tym światopoglądem wszystko ma się w zasadzie dobrze, aby tylko ludzie rzeczywiście pracowali, byli lojalni, słuchali władzy, i aby władza z kolei była dostatecznie ojcowska. Wszelkiego rodzaju demokratyczne figielki są zawsze czymś podejrzanym, a co najmniej wątpliwym. Grunt to silna władza. „Polska potrzebuje rządu silnego, zdecydowanego, wiedzącego co czynić, i sprawującego władzę konsekwentnie [...]. Czy wyjście z kryzysu leży w demokratyzacji? Obawiam się, że w Polsce słowo „demokracja" ciągle zachowało jakieś skojrzenie z jedynym polskim historycznym doświadczeniem ustroju demokratycznego, tzn. ze złotą wolnością szlachecką" (str. 143-144). Demokracja to w przekonaniu Polaków przede wszystkim swoboda indywidualnego rozwiązywania spraw osobistych i publicznych. Demokracja zaś w pojęciu Szczepańskiego to w każdym razie nie anarchia, czyli rozluźnienie władzy. Silna władza jest gwarancją ładu, a tylko ład może zapewnić Polsce szczęśliwą przyszłość. „Kluczem jest organizacja. Organizację może stworzyć sprawne kierownictwo, mające poparcie całego narodu" (str. 146).

Elementy konserwatyzmu i postępowego socjal-demokratyzmu zawsze silnie ścierały się ze sobą w świadomości polskiej inteligencji. Współcześnie są one niestety tak dalece pomieszane ze sobą, że trudno o jakąkolwiek konsekwencję. Szczepański w skali problemów ogólnoludzkich dał nieraz dowód swej niewątpliwej postępowości, co nie przeszkadza jednak że w ocenie spraw krajowych jest na skrzydle biegunowo przeciwstawnym demokratycznym marksistom czy nawet socjalizującym katolikom. Poglądy Szczepańskiego są wysoce funkcjonalne z punktu widzenia interesów elity aparatczykowskiej, mimo że przecież światopoglądowo w zasadzie nie ma on z nią nic wspólnego.

Konserwatyzm jest nie tyle błędny, co po prostu nieżyciowy, daleki od rzeczywistości. Masy robotnicze manifestowały na Wybrzeżu nie z lenistwa, ale w wyniku głębokiego kryzysu strukturalnego całego systemu. Amerykańscy manadżerowie najświeższej daty odrzucają tradycjonalizm nie dlatego, że go nie lubią, ale dlatego że nie zapewnia on żadnych skutecznych rozwiązań w zakresie stosunków przemysłowych. Wallace ze swoim populizmem jest w gruncie rzeczy archaiczny nie dlatego, że chce utrzymać segregację rasową, ale dlatego, że jego demagogia nie stanowi żadnej autentycznej alternatywy w obliczu współczesnego kryzysu społeczeństwa amerykańskiego.

Nikt nie zaprzeczy, że Polsce jest potrzebny ład. Ale apelowanie o poparcie władzy takiej jaka ona jest niemal bez zmian od lat trzydziestu, nie jest żadnym panaceum. Nawet władza sama zdała sobie z tego sprawę. Eksperci poza wiedzą muszą służyć władzy swoją mądrością. Zaś mądrość konserwatywna nie ma wiele do powiedzenia we współczesnym świecie, gdyż odwołuje się do kontynuowania tego co jest. Jak zaś można kontynuować coś, co w życiu społecznym przeżyło się w sposób wręcz oczywisty?

Socjalizm demokratyczny, z natury rzeczy zaprzeczający kultowi scentralizowanej silnej władzy, a natomiast odwołujący się do spontanicznej inicjatywy oddolnej mas, jest może rzeczywiście dotąd li-tylko miłą oku utopią. Ale ta właśnie „utopia" narzuca się sama przez się jako rozsądna alternatywa. Że trudno będzie wprowadzić w życie socjalizm demokratyczny? Że „ład", „organizacja", „władza" i „spokój" mogą przy tym ulec zachwianiu? Taka obawa jest przede wszystkim udziałem ludzi, którzy pośrednio lub bezpośrednio czerpią osobistą korzyść z utrzymania *status quo*. Trzeba rzec, że wśród autentycznych lu-

dzi pracy, zwłaszcza młodego pokolenia, *status quo* staje się coraz bardziej niepopularny.

Należałoby zgodzić się natomiast z Szczepańskim, jeśli wysunąłby argument, że nie należy płacić nadmiernych kosztów za reformy, że przecież ta „katastrofa", jakiej kraj był rzekomo bliski w grudniu 1970 roku, mogła kosztować Polskę zbyt dużo. Kto z patriotycznych Polaków chce krwi i nędzy dla własnego kraju? Nie można jednak zasłaniać sobie oczu na rzeczywistość, posługiwać się tanim optymizmem i twierdzić że wszystko jest w gruncie rzeczy byczo, byle ludzie pracowali, a władza nimi skutecznie manipulowała. Kryzys systemu w Polsce jest odzwierciedleniem znacznie szerszych problemów w skali światowej. Los komunizmu jest co najmniej tak samo zagrożony, jak los kapitalizmu. Młode pokolenia zarówno w USA jak i w Polsce porzucają strupieszałe ideologie, przede wszystkim odżegnują się właśnie od konserwatyzmu w po-wiktoriańskim wydaniu. Jestem daleki od potępienia wszystkiego co konserwatywne. Kult pracy jest potrzebny każdemu społeczeństwu. Ale aby kult pracy mógł zostać wprowadzony w życie, muszą być spełnione określone warunki natury strukturalnej. Kto nie widzi jak głęboko archaiczna jest struktura polityczno-administracyjna współczesnej Polski, ten nie powinien w ogóle wygłaszać kazań na temat potrzeby kultu pracy.

Eksperci, zwłaszcza eksperci społeczni, muszą wsłuchiwać się w głos mas, starać się je rozumieć, wstrzymywać się od głoszenia banałów przeczących poczuciu zdrowego sensu ludzi u dołu, a natomiast przypochlebiających się ludziom u góry. Niezależność ekspertów to nie tylko wstrzymanie się od brania łapówek od władzy w postaci rządowych mieszkań, wyjazdów zagranicznych i przydziałów na samochody, ale również troska o nieustanną konfrontację własnych poglądów z biegiem życia i praktyką społeczną. Kto sądzi, że wystarczy konserwatywny „zdrowy rozsądek", aby dać ekspertyzę wydarzeń współczesnych, ten chyba nie rozumie, jak głęboko sięga instytucjonalny, moralny, ideologiczny i społeczny kryzys współczesnych nam czasów.

Prof. Szczepański ma głębokie zasługi dla rozwoju polskiej socjologii. Osobiście mam jak najlepsze wspomnienia z pracy pod jego światłym kierunkiem. Tym bardziej więc dostrzegam potrzebę rzeczowej polemiki z jego poglądami. Są to przecież poglądy uczciwe, zorientowane na dobro polskiego społeczeństwa, oparte na własnym rzetelnym wysiłku intelektualnym autora. Są to jednocześnie poglądy, chyba podzielane przez dość znaczną część krajowej inteligencji. Niech przeto polemika z tymi poglądami sięgnie do samych ich podstaw, nie zaś ograniczy się — jak to często niestety bywa — li-tylko do sporów natury osobistej.

Aleksander MATEJKO

Gospodarka krajowa

Okres czasu, jaki upłynął między Grudniem a dniem dzisiejszym, pod wieloma względami przypomina analogicznej długości okres po-Październikowy. W obu wypadkach jest to okres nadziei, obfitujący w dyskusje, projekty i plany reform dla usprawnienia i ulepszenia tego, co wtedy nazywało się „modelem" a teraz nazywa się „systemem". Po Październiku organem, który miał wynaleźć gospodarcze panaceum była Rada Ekonomiczna, dziś rolę tę gra Komisja dla Unowocześnienia Systemu Funkcjonowania Gospodarki i Państwa.

W dniu 12 kwietnia br. Komisja zebrała się na plenarne posiedzenie z udziałem czołowych przedstawicieli obecnej ekipy rządzącej. Dla zobrazowania „ducha czasu" oraz dla ewentualnych konfrontacji na przyszłość warto zacytować wyjątki z przemówień głównych mówców:

Edward Gierek: Ludzie pracy oceniają naszą politykę nie tylko według jej celów, ale także według sprawności ich realizacji. Nic nie działa tak negatywnie na ludzką świadomość, jak fakty marnotrawstwa pracy i środków społecznych, jak nieudolność, bezskuteczność i biurokracja. Prawidłowa koncepcja polityki społeczno-ekonomicznej powinna zapewnić wysoką dynamikę wzrostu gospodarczego, polepszenie warunków życia, realizowanie zasady sprawiedliwości społecznej.

Jan Szydlak (sekretarz KC): W ciągu minionych 16-tu miesięcy uczyniliśmy wiele na przedpolu zmian, do których przystępujemy obecnie. Doświadczenia obecne dowiodły, że odważne decyzje w tym kierunku uruchamiają nowe przemożne motywacje i inicjatywy i nowatorstwo, zainteresowanie innowacjami technicznymi i mocniejsze poczucie współodpowiedzialności. Przekonaliśmy się, że tego rodzaju aktywności nie można osiągnąć jedynie na drodze apeli, że konieczne jest planowe tworzenie sprzyjających jej warunków.

Mieczysław Jagielski (przewodniczący Komisji Planowania): Wyniki prac Komisji pozwalają na podjęcie w najbliższym czasie zasadniczych prac nad konkretyzacją proponowanych rozwiązań. Zmiany te wprowadzono przy opracowywaniu Planu Gospodarczego na rok 1972. Dotyczą one między innymi gospodarki siłą roboczą, funduszu płac, a także zasad wynagradzania. W planowaniu zmiany są daleko bardziej radykalne. Umożliwiają one kształtowanie słuszniejszych relacji ekonomicznych między wzrostem funduszu płac, wydajnością pracy i realizacją zadań pro-

dukcyjnych. W 1972 przyjęliśmy do oceny podstawowych relacji ekonomicznych w przemyśle produkcję dodaną. Szczególnie ważnym zadaniem jest usprawnienie przebiegu procesu inwestycyjnego. Ostatnio rząd podjął decyzje, które zmierzają do zasadniczego usprawnienia planowania i finansowania inwestycji. Ważnych zmian dokonano w handlu zagranicznym. Zniesienie limitowania importu maszyn i urządzeń z krajów socjalistycznych ułatwia przedsiębiorstwom import maszyn i urządzeń stosownie do potrzeb. Sztywne zasady kontroli opłacalności poszczególnych towarów przeznaczonych na eksport zostały zastąpione elastycznymi formami rachunku ekonomicznego, w którym konfrontuje się mniej opłacalny eksport z możliwością uzyskania za dane wpływy eksportowe znacznie bardziej opłacalnego importu. Szczególnie duży oddźwięk w społeczeństwie wywołało rozszerzenie uprawnień i obowiązków dyrektorów państwowych przedsiębiorstw przemysłu kluczowego i dyrektorów zjednoczeń. Uchwała Rady Ministrów przekazała szereg uprawnień dyrektorom zjednoczeń, kombinatów i przedsiębiorstw. Musi temu towarzyszyć zwiększenie szeroko pojętej odpowiedzialności za efekty gospodarowania i prawidłowe kształtowanie stosunków między-ludzkich.

Łatwo przybrać pozę surowego sędziego w ocenie po-Grudniowego procesu reform w ogólności, a powyższych wypowiedzi w szczególności. Pamiętamy bowiem, że i w 1957 mówiono wiele o reformach a jedyne co z tego pozostało, to porzekadło „mowa-trawa"; również i w 1957 roku wprowadzono zmiany w zasadach wynagradzania, co jednak nie zagwarantowało trwałej poprawy bytu mas pracujących; i wtedy reformowano inwestycje i handel zagraniczny, usprawniano system zarządzania przedsiębiorstwami, a przykładów o wyższości „elastycznych form rachunku ekonomicznego" nad „sztywnymi zasadami" namnożono tyle, że nawet głuchy, ślepy i głupi sklerotyk wyższość tę musiałby pojąć. I mimo tych optymistycznych początków, lata sześćdziesiąte były dekadą stagnacji, a zakończyły się katastrofą.

Na obronę można by z kolei powiedzieć, że obecnie używa się mniej drętwej mowy (nie znaczy to bynajmniej, że jej nie ma — cytowane powyżej przemówienia zawierały jej całkiem sporo), że dyskusja toczy się w niższym kluczu tzn. bez zbytniej euforii rodzącej nadmierne nadzieje i oczekiwania, i że — w związku z tym — prowadzona jest „odgórnie", przy udziale i bezpośrednim zaangażowaniu najwyższych czynników. Jest to okoliczność szczególnie ważna; można uważać państwo za jedną wielką jednostkę gospodarczą, a wiemy z doświadczenia że żadne reformy wewnątrz przedsiębiorstwa nie udają się, jeśli nie mają pełnego zaangażowania dyrekcji. Na korzyść obecnej sytuacji przemawia też fakt, że to co dokonało się do tej pory nie jest przedstawiane jako wielkie osiągnięcie i ostateczny cel. Jesteśmy zaledwie „na przedpolu zmian, do których przystępujemy obecnie", w najbliższym czasie podejmiemy prace nad konkretyzacją rozwiązań... Jest to postawa znacznie skromniejsza od postawy poprzedniego zespołu, bardziej rzeczowa, a przez to rokująca lepiej na przyszłość.

Ale tak jak próbą pudingu jest jedzenie, a próbą materiału pierwsze pranie, tak próbą systemu ekonomicznego są wyniki gospodarcze. Dla pierwszego roku rządów Edwarda Gierka wyniki te prezentuje świeżo wydany *Mały Rocznik Statystyczny 1972*, zawierający dane za rok 1971. Oto tabela ilustrująca tendencje bieżącego okresu:

WZROST PRODUKCJI W 1971 w PORÓWNANIU Z OKRESEM 1966-70
(średnio rocznie, w procentach)

	1966-70	*1971*
Produkcja czysta	7,8	8,4
Produkcja globalna	8,4	8,1
Produkcja środków produkcji	9,4	8,7
Produkcja środków konsumpcyjnych	6,6	7,2

Cyfry powyższe wykazują wprawdzie spadek wzrostu produkcji globalnej ale wskaźnik ten ma małe znaczenie dla ludności. Ważne jest, że produkcja czysta wzrasta obecnie szybciej. Wynika to z szybszego wzrostu płac. Tłumacząc to na język prosty można powiedzieć, że obecnie większa część produkcji przydzielona jest ludziom pracującym i że wobec tego jest to tendencja dodatnia.

To samo odnosi się do zestawienia produkcji towarów konsumpcyjnych i produkcyjnych. Gwałtowne zwolnienie tempa wzrostu tych ostatnich (osławiona „Grupa A") z pewnością nie jest rzeczą łatwą w ustroju typu sowieckiego i przedstawiony powyżej spadek tego wzrostu z 9,4 % w ubiegłej pięciolatce (średnio rocznie) na 8,7 % w 1971 jest godny uwagi. Niektórzy ekonomiści w kraju jawnie wyrażają radość z tego powodu i widzą w tym spadku oznakę poprawy. Należy tu pamiętać że pod „środkami produkcji" kryją się m.in. zbrojenia, pomoc dla Wietnamu itd. Wzrost tempa produkcji towarów konsumpcyjnych jest ściśle związany ze spadkiem tempa wzrostu produkcji grupy A. Znaczenie tego faktu dla ogółu ludności nie wymaga komentarza.

Te cyfry mają znaczenie raczej teoretyczne. Ale rzutują one na najbardziej kluczowe dziedziny życia gospodarczego w Polsce, które decydują o losie milionów ludzi. Dla zilustrowania jak to złagodzenie komunistycznych dogmatów odbiło się na praktycznych warunkach bytowania w Polsce niech posłużą następujące przykłady liczbowe, również zaczerpnięte z *Małego Rocznika Statystycznego 1972*.

Przeciętna miesięczna płaca nominalna brutto w gospodarce uspołecznionej wzrosła w 1971 roku o 134 zł. (tzn. o 5 %) i wyniosła 2 592 zł. Jest to największy wzrost od lat październikowych (1957-9). Ponieważ wypłaty z tzw. bezosobowego funduszu płac wzrosły jeszcze bardziej, więc wynagrodzenia za pracę wzrosły łącznie o 8,5 % brutto, a po zapłaceniu podatku o 8,2 %.

Przeciętna emerytura (łącznie z rentami) wzrosła o 6,3 % i wynosi 1 219 zł. Zatrudnienie wzrosło o 3,1 %, sięgając już niemal 10 milionów osób, a liczba emerytur wzrosła o 170.000 do 2,5 miliona.

Dochody indywidualnych gospodarstw rolniczych wzrosły o 15 %, głównie dzięki wzrostowi cen związanemu ze zniesieniem dostaw przymusowych. Po odliczeniu inwestycji (np. w postaci wzrostu wartości stada) dochody chłopskie przeznaczone na konsumpcję wzrosły o 8,5 %. W ciągu całej ubiegłej pięciolatki wzrosły one tylko o 1 %.

W sumie dochody ludności wzrosły o 11 %. Jednocześnie zdołano utrzymać poziom cen. Ceny żywności wykazują wzrost o 1,1 % (spowodowane jest to działaniem „nowych" cen w styczniu i lutym, przed powrotem do starych cen), ale ceny innych artykułów spadły o 2,6 %, stąd ogólne koszty utrzymania pozostają te same, a nawet nieco niższe niż w 1970 roku. Dla przeciętnej rodziny największe znaczenia miało obniżenie cen odzieży i obuwia o 4,9 %.

Mimo tak znacznego zwiększenia siły nabywczej ludności, równowaga rynkowa została nie tylko utrzymana, ale nawet wzmocniona. Stało się to na skutek zwiększonych dostaw zarówno krajowych jak i z importu. I tak wzrost dostaw mięsa wyniósł 14,1 %, a masła 8,5 %. Import żywności wzrósł o 31,4 % (w tym dramatycznie import mięsa), a artykułów nieżywnościowych (tekstylia, obuwie, meble, pralki, samochody) o 24,3 %. Krajowa produkcja samochodów wzrosła o 33 %, magnetofonów o 67 %, przemysłu spożywczego o 7,1 %.

Przed skomentowaniem tych cyfr warto jeszcze przytoczyć nieco danych za pierwszy kwartał 1972 roku, które ostatnio zostały opublikowane. Dane te porównują omawiany kwartał z pierwszym kwartałem roku 1971, należy więc robić statystyczną poprawkę z uwagi na depresyjną specyfikę tamtego kwartału. W pierwszym kwartale 1972 roku fundusz płac wzrósł o 11,3 % a skup produktów rolnych (a więc dochody chłopów) o 46 %. Wydatki ludności wzrosły o 19 %, ale oszczędności wzrosły jeszcze bardziej. Oszczędności w samej PKO sięgają już 140 miliardów zł. Zatrudnienie wzrosło o 4,1 %, znacznie przekraczając ramy planu. Obecnie liczba wolnych miejsc w przemyśle znacznie przekracza liczbę poszukujących pracy. Przeciętna płaca w przemyśle wzrosła o 5,7 %, a produkcja globalna o 13 %. We wzroście produkcji prowadzi przemysł spożywczy, maszynowy, materiałów budowlanych i lekki, a więc przemysły pracujące dla zaopatrzenia rynku. W kwartale tym wykonano już ponad 5 miliardów zł. produkcji ponadplanowej spośród 20 miliardów postulowanych na cały rok.

Z danych tych wynika jasno, że pierwsze 15 miesięcy rządów pogomułkowskich były — należałoby właściwie użyć czasu teraźniejszego, bo zjawisko istnieje nadal — okresem typowego *boom*'u czyli wysokiej koniunktury. Nie ma w tym nic dziwnego. Jest to po prostu proces odzyskiwania straconego gruntu po

dziesięcioletniej stagnacji. W pewnych dziedzinach widać rozpęd, który w innych warunkach mógłby budzić niepokój. W krajach rozwiniętych zwiększanie siły nabywczej ludności w tempie 10 czy nawet 15 % rocznie bardzo szybko przerodziłoby się w galopującą inflację o niedających się przewidzieć skutkach. Jednym z powodów takiego stanu jest to, że w kraju rozwiniętym byłoby niemożliwe jednocześnie i w tym samym stopniu powiększyć produkcję, a jeszcze jednym — że tak rozkręconej produkcji nie dałoby się upłynnić na rynku. Polska nie jest jednak krajem rozwiniętym. Na skutek wieloletnich braków istnieje tam niedosyt konsumpcyjny, którego zaspokojenie wymagać będzie szeregu już nie lat, a pięciolatek. Nie ma więc podstaw do obaw o „nadprodukcję" czy „podkonsumpcję", które spędzały sen z powiek ekonomistom Zachodu. Niebezpieczeństwo uderzenia głową w sufit, niemożności dalszego zwiększenia produkcji ze względu na brak fizycznego potencjału, jest bardziej realne. Ale tu doświadczenia bieżącego okresu są niezmiernie pouczające. Okazuje się, że niewydolność i mała produkcyjność gospodarki polskiej nie wynikała z barier fizycznych, czyli „obiektywnych", ale wprost przeciwnie, z przyczyn jak najbardziej subiektywnych czyli z marnotrawstwa pracy i środków społecznych, nieudolności i biurokracji, o których tak przekonywująco mówił tow. Gierek na zebraniu Komisji dla Unowoczesnienia Systemu. Wystarczyło skasowanie kilkuset co głupszych przepisów, wyrzucenie kilkudziesięciu co niekompetencyjniejszych dygnitarzy a gospodarka zaczęła produkować z od dawna niewidzianym rozmachem. Wydaje się, że są jeszcze ogromne rezerwy, zarówno w głupich przepisach jak i niekompetentnych dygnitarzach, aby proces ten kontynuować bardzo długo. Moce produkcyjne Walgierza Udałego, skrępowanego przestarzałym systemem są ogromne i tylko częściowo wykorzystane.

Bogdan BRODZIŃSKI

NA ANTENIE

PRZYNOSI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOŚNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn. MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PSA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. *Prenumerata roczna z przesyłką* £ 2.6.0 lub $ 7,00, F. 30,00.

Sprawy i troski

"Łódeczka Dal"

Są sprawy, które cisną pod pióro przymiotniki: dziwne, niezrozumiałe, paradoksalne, przykre itd. Można mnożyć je w nieskończoność zwiększając ich nasilenie. Ale przymiotnikami nikt nigdy niczego nie rozwiązał. Dlatego też zostawiam je na boku. Chciałbym tylko powiedzieć, że historia jachtu „Dal" jest sprawą bogatą w przymiotniki.

Wypada zacząć od tego, że historia ta nabrała cztery lata temu i najbardziej nieoczekiwanie w świecie charakteru konfliktu. Gdy ktoś zabiera głos tam gdzie toczy się konflikt zawsze można posądzić go o stronniczość, o taką czy inną pasję, o obronę takiego czy innego interesu. Tego rodzaju ewentualne zarzuty chciałbym uciąć u ich nasady. Jaki jest bowiem mój stosunek do stron, które w tym sporze występują? Andrzeja Bohomolca, który gdy przepływał Atlantyk był właścicielem jachtu „Dal", właściwie nie znam. Spotkałem go lata temu, w okresie wojny, w Algierze gdy z grupą komandosów przygotowywał się do lądowania we Włoszech. Pozostawił mi wspomnienie wspaniale wyglądającego mężczyzny, którego podziwiałem za kartę bojową i za wyczyn atlantycki. Nigdy jednak, ani wówczas ani teraz, nie złączyły mnie z nim jakieś związki bliższej znajomości czy przyjaźni. Świat jest wielki. On mieszka w Kanadzie, ja we Francji. Drogi Polaków rozproszonych po globie ziemskim krzyżują się rzadko.

Druga strona to Polacy w Ameryce. Ogromna masa ludzi, których także podziwiam i dla których mam najwyższy szacunek: za ich osiągnięcia, za ich patriotyzm, za ich wierność wobec tradycji, za ich wielokrotnie składane dowody ofiarności i przywiązania do kraju. Ale nigdy nie byłem Polakiem w Ameryce i nigdy prawdopodobnie nim nie zostanę. Nie znam stosunków panujących w Polonii, nie wiem jakie są tam grupy, grupki czy klany. Trudno więc przypuszczać, że pisząc to, co mam zamiar napisać, kieruję się myślą obrony interesów tego czy innego przedstawiciela Polonii.

Założenia więc są jasne. Chciałbym przedstawić tę historię w sposób jak najbardziej bezstronny i obiektywny a potem dopiero wyciągnąć pewne wnioski.

Jak ta historia wygląda? Zacznijmy od początku. 5 czerwca 1934 wypływa z Gdyni mały bo zaledwie osiem i pół metrowy jacht „Dal" (zakupiony przez Andrzeja Bohomolca za 10 tysięcy złotych) i przypływa 24 sierpnia 1934 roku do Chicago. W Gdyni żegna go mała grupka znajomych i przyjaciół załogi, która składa się z trzech oficerów — A. Bohomolca, J. Świechowskiego i J. Witkowskiego — a w Chicago wita go 40 tysięcy osób, potem zaś, w dniu Święta Polski, gromadzi się tłum 200 tysięcy osób by go zobaczyć. Między tymi dwoma faktami, 89 dni drogi morskiej, szmat przygód, niebezpieczeństw, potwornego wymęczenia, walki z żywiołami, które w sposób niezmiernie interesujący i żywy opisuje Bohomolec w swej książce „Wyprawa jachtu Dal"[1]. Były więc szkwały na morzu Północnym i w kanale La Manche, trudności w zatoce Biskajskiej, burze elektryczne na oceanie, czterodniowy straszliwy cyklon, z którego stateczek wychodzi cudem, postój na Bermudach, przyjazd do Nowego Jorku, wreszcie tryumfalna podróż kanałami i jeziorami do Chicago.

Wyczyn jest nielada. Podwójnie zresztą. Dlatego przede wszystkim, że statek nie był odpowiednio przygotowany do tego rodzaju wyprawy — stwierdza to zresztą Hamphrey Barton w swej książce „Atlantic Adventurers" pisząc, że cała zasługa za to osiągnięcie przypada załodze — i dlatego, że dla młodego kraju morskiego, jakim była wówczas Polska, podkreślenie jej obecności na morzu i ukazanie jej bandery na innym kontynencie było rzeczą dużej wagi. Zrozumieli to doskonale Polacy w Ameryce. Dlatego też witają Bohomolca i Świechowskiego jak bohaterów (Witkowski powrócił z Bermud do kraju), przyjmują z niebywałą serdecznością, zapraszają, organizują obchody, urządzają odczyty. Są tacy, którzy wykradają Bohomolcowi szczoteczkę do zębów, by mieć po nim pamiątkę. Bohomolec ze swej strony umiał przyjęcie to ocenić i dać tego dowody. Także podwójnie. Swą książkę zadedykował nie komu innemu jak tylko Polakom w Ameryce („Polakom w Ameryce, którzy nam tyle zrozumienia i serca okazali") a swój jacht pozostawił w Chicago. W owych gorączkowych dniach, pełnych upajającego szczęścia z powodu dokonanego wyczynu, między jednym przyjęciem a drugim, w owej atmosferze serdecznej przyjaźni, Bohomolec poprzestał na rozmowie z Przewodniczącym Komitetu Przyjęcia, Czarneckim, któremu powiedział powierzając jacht i podpisując akt donacji: „Zostawiam go wam, ale pod warunkiem, że pozostanie pamiątką narodową".

Potem Bohomolec wyrusza z serią odczytów po Stanach i wraca do Polski. „Dal" umieszczona zostaje następnie w Parku Jacksona w Chicago jak coś w rodzaju pomnika pamiątkowego

1. Towarzystwo Wydawnicze „Rój", Warszawa, 1936.

i pozostaje tam przez szereg lat. W 1942 roku, odnowiona i doprowadzona do porządku przez grupę harcerzy, zostaje przekazana przez Polskie Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie Muzeum Wiedzy i Przemysłu w Chicago, które wystawia ją w swym hallu umożliwiając w ten sposób oglądanie jej licznym turystom. W 1951 roku Bohomolec odwiedza Chicago, stwierdza z zadowoleniem, że łódź znajduje się w Muzeum, rozmawia z Dyrektorem Muzeum p. Hildenbrandem i wraca do Kanady. Wydawało się, że na tym historia „Dali" się zakończy. Tak jednak nie jest.

Nowy etap historii jachtu rozpoczyna się w 1968 roku. Muzeum Wiedzy i Przemysłu podejmuje wówczas akcję pozbycia się „Dali", gdyż zgodnie z założeniami programowymi tej instytucji zmierza do zmiany składu eksponatów, do unowocześnienia go, związania z aktualnością. Postanawia więc przekazać ją Polskiemu Muzeum Amerykańskiemu w Chicago. Nikomu jednak nie przychodzi wtedy na myśl by porozumieć się w tej sprawie z ofiarodawcą łodzi, Bohomolcem. I tu wchodzimy w fazę dosyć nieoczekiwanego — by użyć słowa najbardziej obiektywnego — biegu wypadków. Ówczesny Wice-Dyrektor Muzeum Wiedzy i Przemysłu, Vernon Pietz przekazuje jacht ówczesnemu kustoszowi Polskiego Muzeum Amerykańskiego, Jerzemu Walterowi, który z kolei rzuca zdumiewającą myśl: wraz ze swym znajomym Ireneuszem Gieblewiczem odprowadzi jacht pod żaglami do Polski, by umieścić go w Muzeum Morskim w Gdańsku. Rozpoczynają się konsultacje w tej sprawie z Konsulatem PRL w Chicago, Muzeum w Gdańsku wyraża gotowość przyjęcia jachtu. P. Walter przekazuje jacht p. Gieblewiczowi, który umieszcza go najpierw w stoczni, a potem w garażu znajdującym się w domu gdzie mieszka. Obaj panowie postanawiają — by móc przeprawić się przez Atlantyk — jacht unowocześnić, wyposażyć go w motor, wprowadzić szereg zmian. Powstaje Komitet, który zająć się ma sfinansowaniem wyprawy, ofiarni Polacy wpłacają składki. P. Gieblewicz oświadcza prasie, że zanim wyruszy poprzez Atlantyk wypróbuje jacht na jeziorze Michigańskim i skorzysta z tej okazji by uczyć młodych sztuki żeglarskiej. Niespodziewanie „Dal" przestaje być pamiątką narodową a staje się w projektach łodzią przeznaczoną do zadań szkolnych. Wyprawa poprzez Atlantyk odbyć się ma w 1969 roku, potem termin ten zostaje przesunięty na 1970. Są trudności ze znalezieniem odpowiednich funduszy.

Podczas wypadków tych Andrzej Bohomolec siedzi spokojnie w Kanadzie, hoduje konie i niczego oczywiście nie przeczuwa. Przez cały czas nikt w Chicago nie zatroszczył się o to by się z nim skontaktować. Bohomolec dowiaduje się przypadkowo o nowym biegu sprawy w 1969 roku od jednego ze swych znajomych. Wiadomość spada na niego jak grom z jasnego nieba. I czuje się dotknięty.

Warto tu — by zrozumieć w pełni reakcję Bohomolca — zarysować chociaż w skrócie jego sylwetkę. Ten wysoki, imponująco wyglądający mężczyzna, który liczy obecnie 72 lata, po-

chodzi z kresowej rodziny ziemiańskiej i całą młodość spędził w szkołach zagranicą. Jak to często bywa u osób, które żyły z dala od Polski, rozwija się w nim i rozrasta ogromne przywiązanie do kraju. Uczucie to będzie dominantą i pobudką jego postępowania. Wszystko to co podejmie, robić będzie z nastawieniem, że jest to dla Polski. Jako młodziutki chłopak zaciąga się ochotniczo do armii Hallera (ponieważ nie chcą go tam przyjąć z powodu wieku wstępuje najpierw do Legii Cudzoziemskiej), bije się w 1920 roku i odłamek pocisku obrywa mu palce u ręki, ryzykuje życie, by przepłynąć Atlantyk, służy na przemian w wojsku i w dyplomacji (jako Konsul Generalny w Szanghaju), w czasie ostatniej wojny wstępuje jako ochotnik do brygady Generała Kopańskiego, ranny i kontuzjonowany pod Bardią spędza dłuższy czas w szpitalu w Aleksandrii, potem udaje mu się zdobyć, mimo wieku, przydział do komandosów i bierze udział w lądowaniu we Włoszech. Obecnie mieszka w Kanadzie gdzie społeczeństwo wybrało go na Prezesa Stowarzyszenia Hodowli Rasowych Koni, mianowało Pułkownikiem honorowym 19-go pułku dragonów itd.

Druga pasja Bohomolca to morze. Jako młody chłopak zaciąga się w służbę francuskiej linii żeglugowej „Chargeurs Réunis", objeżdża cały świat, w Polsce korzysta z każdej wolnej chwili by spędzić ją na morzu. Te dwa zasadnicze elementy charakteru Bohomolca powodują, iż związany jest uczuciowo z „Dalą". Dla niego jacht to nie tylko symbol morza, które ukochał, nie tylko wspomnienie romantycznej i bohaterskiej przygody, w której wystawił na niebezpieczeństwo życie, ale przede wszystkim pamiątka, która należy nie do niego, lecz do Polski.

Gdy Bohomolec dowiaduje się o losach „Dali" zaczyna pisać listy, domagać się wyjaśnień, bronić jachtu przed zniszczeniem. On również chce by łódź znalazła się w Muzeum Morskim w Gdańsku. Nawiązuje więc kontakt z Dyrektorem tego Muzeum, sugerując by jacht przetransportowano do miejsca przeznaczenia na jakimś statku Polskich Linii Żeglugowych. Sporządza projekt aktu donacji gdzie obok niego figurują Muzeum Wiedzy i Przemysłu, Polskie Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie i Polskie Muzeum Amerykańskie oraz proponuje by inne organizacje polskie w Ameryce przyłączyły się do tego aktu. Pozornie więc między stanowiskiem Bohomolca i Polaków w Ameryce nie ma różnicy. Obie strony uważają, że przeznaczeniem „Dali" jest znalezienie się w kraju. Różnica dotyczy jedynie wykonania tego zamiaru.

Gdy próby załatwienia sprawy drogą listowną, czy to bezpośrednio czy też za pośrednictwem znajomych, nie dają żadnego rezultatu, Bohomolec bierze adwokatów i postanawia powierzyć rozstrzygnięcie sporu sądowi. Intencje procesu są następujące: o ile Bohomolec domaga się uznania jego praw własności do jachtu to nie po to, by zawładnąć nim dla siebie, lecz po to by przekazać go Polsce w niezmienionej postaci. Cała

wartość „Dali" z punktu widzenia narodowego i pamiątkowego polega na tym, że zachowa swe cechy charakterystyczne z 1934 roku. Bohomolec mówi: „Gdyby ktoś postanowił teraz przerobić samolot Lindbergha „Spirit of St. Louis" by przelecieć nim przez Atlantyk, to w całym społeczeństwie amerykańskim zawrzałoby z oburzenia. Dlaczego nikt w społeczeństwie polskim nie protestuje gdy chodzi o „Dal"? Poza tym Bohomolec stwierdza, że po tylu latach jacht nie będzie nadawał się, mimo najdalej idących przeróbek, do przepłynięcia przez Atlantyk. Po co więc ryzykować tę pamiątkę narodową i spowodować jej ewentualne zatonięcie i utratę? I wreszcie: w chwili obecnej gdy Atlantyk przepływają samotne kobiety doprowadzenie „Dali" pod żaglami do Gdyni nie będzie wyczynem, który zwróci uwagę świata. To nie to co w 1934 roku. Jaka jest więc myśl takiej wyprawy? Czy można traktować poważnie projekt, który stwarza niebezpieczeństwo utraty łodzi, lecz w zamian za to nie przynosi niczego? Krótko mówiąc Bohomolec wytacza proces po to by przywrócić „Dali" rangę nienaruszalnej pamiątki narodowej. Chce zapobiec temu by stała się łodzią służącą do szkolenia młodych żeglarzy lub zatonęła w Atlantyku. I nie chce by na skutek wprowadzonych zmian straciła swój charakter.

14 maja 1970 roku odbywa się proces przed sądem w Chicago. Sala jest pełna, lecz brak prasy. Powodem jest Andrzej Bohomolec, lecz przyłączają się do niego Muzeum Wiedzy i Przemysłu, Polskie Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie i Polskie Muzeum Amerykańskie, pozwanym Ireneusz Gieblewicz, w którego posiadaniu znajduje się jacht. Po przesłuchaniu świadków i zapoznaniu się z dokumentami przedstawionymi przez strony, sąd wydaje tymczasowe zarządzenie nakazujące p. Gieblewiczowi powstrzymanie się od wprowadzenia na jachcie jakichkolwiek zmian, poprawek czy ulepszeń. Latem tego samego roku p. Gieblewicz składa odwołanie domagające się zniesienia tego zarządzenia, a 30 czerwca 1971 odbywa się ponowne posiedzenie sądu celem rozpatrzenia tego odwołania. 3 grudnia 1971 roku wreszcie sąd cofa swe zarządzenie z 14 maja 1970 i nie wypowiada się na temat zagadnienia własności jachtu; nie przyznaje jednak Bohomolcowi praw własności do niego, chociaż uznaje w pełni jego prawa uczuciowe czy moralne. Poza tym nakazuje Bohomolcowi zapłacić koszta postępowania, które wraz z honorariami adwokatów wynoszą 10 tysięcy dolarów. Warto zaznaczyć, że w czasie rozprawy w dniu 14 maja 1970 roku sędzia skłania się do przyznania praw do jachtu Polskiemu Zjednoczeniu Rzymsko-Katolickiemu, lecz sprawy tej nie rozstrzyga.

Od tej chwili całe zagadnienie tkwi w martwym punkcie. Jeżeli przyjmiemy, że spór rozpoczął się formalnie w dniu 14 maja 1970, tkwi w nim już dwa lata.

Taka jest jak dotąd historia „Dali". Chciałbym teraz i zanim przystąpię do wyciągania wniosków zwrócić uwagę na pewne cechy paradoksalne obecnej sytuacji.

Bohomolec wytacza proces, by ratować pamiątkę narodową.

Robi to w imieniu wszystkich Polaków, bo przecież w kraju ludzie myślą tak jak on, czego dowodem są artykuły Witolda Bublewskiego w *Morzu* i w *Żaglach*. Za swe patriotyczne wystąpienie skazany zostaje na zapłacenie sumy 10 tysięcy dolarów. Pierwszy paradoks.

„Łódeczka" „Dal" — jak to powiedział ktoś pogardliwie — zamiast cieszyć swym widokiem osoby zwiedzające Muzeum Morskie w Gdańsku znajduje się w stanie rozkładu. Część jej przebywa w prywatnych rękach, w prywatnym garażu, a część, jak na przykład główny maszt, dwa mniejsze maszty oraz żagle i liny, w Muzeum Wiedzy i Przemysłu. Drugi paradoks.

Nie wiadomo do kogo jacht należy. Sędzia przypuszcza, że z punktu widzenia prawnego należy on do Polskiego Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego, a wie, że moralnie przypada Bohomolcowi i narodowi. Tymczasem znajduje się w rękach osoby, która nie ma do niego żadnego tytułu, ani prawnego ani moralnego. Trzeci paradoks.

Tych trzech paradoksów chyba wystarczy. Nie mam zamiaru wdawać się tu w rozważania prawne, zastanawiać się nad tym czy postępowanie sądu było słuszne czy nie. Punkt ciężkości zagadnienia leży, moim zdaniem, gdzie indziej. Ten punkt ciężkości ma dwa oblicza.

Jest najpierw aspekt moralny. Bohomolec ofiarowując jacht Polakom w Ameryce, tym, którzy okazali mu tyle serdeczności, stworzył pewne zobowiązanie moralne tych Polaków w stosunku do siebie. Oddał im w pełnym zaufaniu rzecz, która nie tylko jest dla niego najcenniejsza na świecie, ale stanowi także, w jego oczach, własność narodu. Dlaczego Polacy w Ameryce mieliby nadużyć teraz tego zaufania i zrobić coś wbrew woli ofiarodawcy? Jeżeli Bohomolec — o ile nawet nie jest właścicielem jachtu — nie zgadza się na to by „Dal" płynęła pod własnymi żaglami do Gdyni, to jedno słowo jego protestu powinno — w myśl tego zobowiązania moralnego — wystarczyć, by położyć kres wszelkim próbom zmierzającym do zrealizowania takiego projektu. Dlaczego Polacy w Ameryce mieliby nagle w wypadku „łódeczki" „Dal" odstąpić od swych wspaniałych tradycji?

Drugi aspekt zagadnienia to pytanie: jak wybrnąć z obecnej smutnej i paradoksalnej sytuacji? Trzy strony, to znaczy Polacy w Ameryce, Polacy w kraju i Bohomolec pragną by jacht znalazł się w Muzeum Morskim w Gdańsku. Trzeba więc ten zamiar zrealizować odrzucając niepoważne i niezgodne z zaciągniętym zobowiązaniem moralnym pomysły ponownej wyprawy „Dalą" poprzez Atlantyk. Trzeba go zrealizować zgodnie z życzeniami Bohomolca. Należy odstawić jacht statkiem do Gdyni. I to wbrew owemu zacnemu Polakowi w kraju, który pisze, że gdy zobaczy „Dal" wpływającą do portu w Gdańsku to serce zabije mu ze wzruszenia. Tego rodzaju wzruszenie jest rzeczą bardzo piękną. Czy można jednak ryzykować dla niego samo

istnienie jachtu, a już teraz niszczyć pamiątkę, która na skutek wprowadzonych zmian przestanie być tą pamiątką?

Jak przeprowadzić zamiar dostarczenia „Dali" w nienaruszonej postaci do Gdańska? Istnieje w Ameryce szereg godnych i pełnych zasług organizacji polskich, jak na przykład Polskie Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie, które w opinii sędziego jest teoretycznie właścicielem jachtu. Wznosi jednak nad tymi organizacjami, swymi rozmiarami i wagą, Kongres Polonii Amerykańskiej. To on powinien sprawę tę załatwić w imieniu 9-ciomilionowej rzeszy Polaków amerykańskich. By pokryć koszta transportu trzeba założyć Komitet Obrony „Dali" i raz jeszcze zaapelować do ofiarnego serca społeczeństwa polskiego w Ameryce. Jeżeli znalazły się szlachetne osoby, które składały dary pieniężne na rzecz pomysłu równie groteskowego jak ten, który wysunęli pp. Walter i Gieblewicz, to na pewno nie zabraknie jednostek, które zapragną uratować powierzoną im pamiątkę narodową.

I to w myśl zaciągniętego zobowiązania moralnego.

Sprawa „Dali" tkwi, jak powiedziałem, w martwym punkcie od dwóch lat. Najwyższy czas by ją załatwić.

Paweł ZDZIECHOWSKI

Zagadnienia językowe we francuskiej Kanadzie

W nrze 12/1971 *Kultury* p. Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska pod tytułem „Konfrontacja dwu samotności" dała obiektywną ocenę sytuacji w Kanadzie na tle antagonizmów, jakie istnieją między grupami: francuską i angielską. Analiza p. Tomaszewskiej wymaga uzupełnienia jeśli chodzi o sytuację w prowincji Quebec.

Nie jest bowiem ścisły pogląd, że o osiedleniu się nowoprzybyłych w Montrealu czy mieście Quebec decyduje wzgląd językowy i dlatego nowoprzybyli z różnych państw Europy wykazują więcej tolerancji i zrozumienia dla problemu quebeckiego. Znajomość języka francuskiego wśród większości nowoprzybyłych jest słaba, albo żadna. Więcej: znaczny odsetek nowoprzybyłych nie włada tym językiem nawet po szeregu latach. Trzeba tu zresztą wprowadzić pewne rozróżnienie między całą prowincją Quebec a miastem Montreal. O ile bowiem prowincja Quebec jako całość liczy około 80 % ludności francuskiej to metropolia montrealska nie posiada jej więcej niż 60 %. Zapominać

nie należy, że ludność Montrealu to jedna trzecia ludności całej prowincji. Dodajmy, że mieszkańcy Montrealu języka francuskiego zgrupowani są w zwartej masie we wschodniej części miasta.

Reszta ludności metropolii to w większości tzw. Anglosasi, poza tym — parę dziesiątków różnych grup etnicznych. Grupę polską w Montrealu szacuje się na około 29.000. A są grupy bardziej od polskiej liczebne, choćby grupa włoska.

Nasuwa się pytanie dlaczego tak liczne rzesze imigrantów osiedlają się w Montrealu. Prócz przekonania, że wielki ośrodek przemysłowy, siedziba centralna wielu instytucji, obsługujących całą Kanadę daje większe możliwości zatrudnienia — działają tu względy psychologiczne. Miasto jest kosmopolityczne. Ani grupa francuska ani grupa angielska nie nadaje miastu wyłącznego tonu. Obie kultury, jak dotąd, istnieją obok siebie. Dlatego też wydaje się, że między nimi jest dość miejsca na współistnienie innych elementów. Miasto nie jest podobne do przeciętnych miast amerykańskich i dlatego przyciąga przybyszów z Europy.

Poza Montrealem znaleźć można Polaków wszędzie w prowincji Quebec, ale w grupach znacznie mniej licznych: w mieście Quebec skupiają się koło tamtejszego uniwersytetu (Laval). Spotykamy Polaków w rejonie kopalnianym Noranda — Val d'or, pracują także przy robotach inwestycyjnych na północy, gospodarują na fermach w tzw. „Cantons de l'Est". Najwięcej Polaków jednak mieszka w prowincji Ontario — mniej więcej połowa wszystkich Polaków, osiadłych w Kanadzie.

Osiedliwszy się w prowincji Quebec nowoprzybyli, niezależnie od narodowości, lgną w olbrzymiej większości wypadków, do grupy języka angielskiego. Dlaczego tak jest? Stereotypowa odpowiedź brzmi: względy ekonomiczne, tj. że znajomość języka angielskiego jest warunkiem uzyskania lepszej pracy. Tak na pewno było i tak jest dotychczas w znacznej mierze. Ale to nie wszystko. Imigrant, nawet Włoch a czasem i Francuz, chce, aby jego dzieci uczyły się w szkole angielskiej, ponieważ szkoła francuska nie daje znajomości angielskiego a więc skazuje dziecko na dożywocie w prowincji Quebec. Quebec — to „frankofońska" wysepka na olbrzymim oceanie anglojęzycznym. Nie ma takich rodziców, którzy by chcieli odebrać dzieciom szansę szukania szczęścia w innych prowincjach lub w Stanach.

Do tego należy dodać, że grupa francusko-kanadyjska jest społeczeństwem zamkniętym, pochodzącym od paruset rodzin, spokrewnionych między sobą wielokrotnie. Penetracja imigranta w środowisko anglojęzyczne jest znacznie łatwiejsza. Dzieje się to na tle Quebec'kiej rzeczywistości, rzeczywistości, która ewoluje bardzo szybko w kierunku coraz większej samodzielności.

Względy demograficzne nastawiają franko-Kanadyjczyków nieufnie wobec imigracji: właśnie na skutek wsiąkania nowoprzybyłych w środowisko języka angielskiego zwiększają oni w sposób sztuczny to środowisko. Do niedawna franko-Kanadyjczycy bronili się przeciw temu za pomocą tzw. cudu kołysek, czyli za pomocą dużego przyrostu naturalnego. Nie bez racji żartowano:

rodzina francuska — 18 dzieci, rodzina angielska — jedno dziecko, jeden pies. Ale to się skończyło; rewolucja obyczajowa, ruch antykościelny, urbanizacja powodują spadek liczby urodzin. Doszło do tego, że przyrost naturalny w bogatym Ontario jest większy niż w Quebec'u. Stąd wynika zwrócenie bacznej uwagi na przybyszów, osiedlających się w prowincji Quebec.

Gdzie się będzie „integrować" drugie pokolenie? Trzeba wywrzeć presje, aby posyłali dzieci do szkół francuskich. *Nota-bene* „integracja" jest słowem pięknym w odróżnieniu od brzydkiego słowa „asymilacja". Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, na czym ma polegać różnica w treści. I tu powstaje szereg pomysłów w związku z reformą szkolnictwa. Radykalni separatyści mają program jasny: zmusić wszystkich do używania języka francuskiego; komu się nie podoba — niech się pakuje i wyjeżdża *(valise ou cercueil* jak mówiono w Algierze). Umiarkowani separatyści (np. Parti québecois) mówią, że nie będą odmawiali prawa do szkół angielskich autochtonom Anglosasom, bo to prawo zastrzeżone w obowiązującej Konstytucji nie będzie w przyszłości cofnięte. Ale nowoprzybyli nie będą mogli z tego prawa korzystać. Proszę zauważyć, że wedle panującej teorii „mozajki" a nie *melting pot* wszyscy obywatele są równi, ale dwie „rasy założycielskie" są nieco równiejsze. Ten pomysł próbowano przed paru laty wprowadzić w życie na przedmieściu Montrealu Saint-Léonard. Wybuchł ostry konflikt i zajścia uliczne. W dodatku konflikt ten dotyczył ludności pochodzenia włoskiego, z którą Quebec wiązał duże nadzieje (pokrewny język, religia etc.) po rozwianiu się złudzeń co do możliwości większej imigracji z Francji.

Czytelnik może spytać: a dlaczego nie uczyć w szkole dwóch języków równolegle, podobnie jak to się dzieje choćby w Szwajcarii. Odpowiedź jest prosta: dla tych samych powodów, dla których Litwa odmawiała wszelkich stosunków kulturalnych z Polską w okresie między wojnami. A więc obawa, że mniejsza społeczność ulegnie wpływom kultury panującej na wielkim obszarze i że w ten sposób straci stopniowo swoją tożsamość. A więc zupełnie świadomie nauka drugiego języka jest na bardzo niskim poziomie. Będąca w toku głęboka reforma szkolnictwa nic w sprawie nauczania drugiego języka nie zmienia. Tzw. „spokojna rewolucja", wszczęta przez rządy partii liberalnej przed dziesięciu laty poszła w kierunku modnej dziś masowej edukacji i odebrała duchowieństwu monopol nauczania. System poprzedni był bezsprzecznie przestarzały, choć posiadał i dobre strony: np. tzw. *collèges classiques* dawały dobre na ogół wykształcenie humanistyczne. System jednak był przestarzały; zmiana tego systemu wywołała reakcję gwałtowną i pobudziła powstanie kierunków narodowo radykalnych i antykościelnych wśród młodzieży. Co do roli duchowieństwa w Quebec'u trzeba być obiektywnym. Nie należy na te sprawy patrzeć oczami oranżystów z Toronto — rodzonych braci oranżystów z Belfastu. Gdy Kanada przeszła pod panowanie angielskie w XVIII wieku, warstwy wyższe wróciły do Francji. Zostali osadnicy i księża. I jest niewątpliwą zasługą tych księży, że społeczeństwo francuskie w Quebec'u przetrwało prześladowania, zachowało swój język i wiarę, dokonało emancypacji i jest tym czym jest. Dlatego duchowieństwo Quebec'u jest solą w oku wszystkich „antypapistów" języka angielskiego.

Łatwo także krytykować długoletniego premiera Quebec'u, Maurice Duplessis. Był konserwatystą i zdecydowanym antykomunistą. Walczył z powodzeniem o prawa prowincji Quebec, nie przekraczając nigdy granicy poza którą zagrożona jest jedność Konfederacji Kanadyjskiej. Był człowiekiem mocnym i despotycznym. Nazywanie go dyktatorem jest grubą przesadą: dochodził do władzy w systemie parlamentarnym, w głosowaniu powszechnym, zawsze olbrzymią większością głosów (1936-1939 oraz 1944-1959). Jak każdy system trwający zbyt długo i rządy Duplessis ulegały stopniowo skostnieniu. Upór premiera wzrastał na starość i tolerował on nadużycia władzy, popełniane przez jego popleczników. Postać kontrowersyjna, ale chyba nie taki czarny charakter, za jaki go chcą przedstawić jego partyjni przeciwnicy, skoro w jego rodzinnym mieście Trois Rivières, postawiono mu pomnik...

Twórcy mitów kanadyjskich z Ottawy lub Toronto starają się często oprzeć jedność kanadyjską na nienawiści do Stanów Zjednoczonych. I zawsze spotyka ich ta sama niespodzianka w Quebec'u: Francuz kanadyjski nie jest usposobiony *a priori* negatywnie do Amerykanów. Natomiast swego wroga widzi w Anglikach, a w szczególności w tych z Ontario: *maudit anglais* jak się to popularnie nazywa.

Zaś dewiza prowincji Quebec brzmi: *Je me souviens.*

Witold BABIŃSKI

Montreal, kwiecień 1972

"Polacy w Południowej Australii"

Wydanie książki, którą tu chcę omówić, ciągnęło się z powodu różnych trudności przez 3 lata, ale wreszcie owa praca zbiorowa[1] ukazała się drukiem i stanowi ona nie tylko wartościowy przyczynek do historii naszej emigracji, lecz i przykład godny naśladowania dla wielu innych ośrodków polskiej diaspory. Okazuje się, że grupka kilku emigrantów, w oparciu o organizację

1. *Polacy w Południowej Australii 1948-1968*, praca zbiorowa pod redakcją Mariana Szczepanowskiego na 20-lecie istnienia Związku Polaków w Południowej Australii, Tatra Press, Sydney, 1971, str. 398.

społeczną oraz rozpisując subskrypcję publiczną (450 egz.) potrafi opracować i wydać książkę, upamiętniając pierwsze lata istnienia powojennej emigracji na swym terenie. I co ciekawsze, że ta praca nie musi być nudnawa, bo oprócz koniecznych suchych faktów, dat i nazwisk, barwnie zanotuje niejeden problem i osiągnięcie, a także ciekawostkę socjologiczną pierwszej doniosłości. Sprawia to, iż lektura omawianej książki jest ciekawa zarówno dla historyka jak i socjologa emigracji, oraz — co też nie jest bez znaczenia — dla zwykłego czytelnika.

Ponieważ jest to dopiero pierwszy z zaplanowanych dwóch tomów serii (a może nawet trzech) — nie można jeszcze wyrokować o kompozycji, czy pominięciach pewnych tematów. Jeśli chodzi o styl poszczególnych artykułów, krótkich opracowań i fragmentów pamiętników emigrantów, to jest on zróżnicowany i barwny, oraz nie brak w nim humoru.

Książkę „Polacy w Południowej Australii 1948-1968" wydał Związek Polaków w tym Stanie w połączeniu z Polskim Towarzystwem Historycznym w Australii (z siedzibą w Adelajdzie), wychodząc z słusznego założenia, że najlepszym sposobem zabezpieczenia dokumentów, fotografii, czy zapisek jest ich wydanie drukiem, co nie tylko przyda się przyszłemu badaczowi ale i u współczesnego czytelnika powiększy zainteresowanie pracą społeczną. Jest to tym ważniejsze, że nieraz już po kilku latach pamięć zawodzi, a teczki z dokumentami giną, lub organizacje się rozsypują rozdzierane wewnętrznymi zatargami. Jak widać, nawet lokalni adelajdzcy działacze nie są już dziś w stanie powiedzieć poza kilkoma słowami o wspaniałej pracy i kolorowej sylwetce polskiego księdza z Ameryki O. Darmofała, co uważam za jeden z minusów książki. Ten wybitnie inteligentny człowiek udając chłopka-roztropka i mówiąc kazania w stylu: *gzych to jest zec strasno*, potrafił mieszkając przez kilka lat w przyczepie wznieść kościół, szkołę parafialną z salą teatralną i biblioteką w parafii australijskiej, w której było ponad 90 % Polaków (dziś korzystają z tych obiektów polskie organizacje) — i wybudowawszy to wszystko dopiero pomyślał o plebanii, do wybudowania której zmusili go parafianie i dopiero sypnęli groszem na nią, skoro zobaczyli, że on o sobie nie myśli.

Książka dobrze obrazuje 20 pierwszych lat historii Związku Polaków, ciut może za sucho, oraz samego PTH w Australii, gdzie jeszcze więcej można było napisać o wspaniałym człowieku, Stefanie Marko, który zmarł kilka lat temu, bardzo dużo pomógł Polskiemu Towarzystwu Historycznemu i wspierał je jak mógł. Był to Słowak z urodzenia, Węgier z wychowania, a najgorętszy Polak z ukochania literatury polskiej i naszej kultury. Przed wojną (z bratem, żyjącym dziś w Adelajdzie) założył z niczego i rozwinął krakowskie garbarnie, stworzył klub piłkarski o tej nazwie, a gdy znalazł się w podeszłym już wieku na emigracji, energią i rzutkością bił wszystkich nas w tym kraju. Dla potomności warto zanotować jedną historię z jego życia: Po wojnie był on rzecznikiem eksportu węgla polskiego do

Szwecji i jako taki był powoływany nieraz na posiedzenia Rady Ministrów ludowych. Gdy raz obradowano na temat częstych kradzieży jakie stawały się coraz większą plagą w komunistycznej Polsce, Marko wreszcie odezwał się: *„Czy towarzysze mieli kiedyś przed wojną do czynienia z pracownikami? Ja miałem, i wiem, że robotnik o ile ma dobre warunki pracy i znośną płacę, to nie kradnie. Trzeba podnieść płace trzeba ludziom dać znośne warunki psychiczne i mieszkaniowe, to nie będą kradli!"* Ministrowie w ogóle nie wzięli tego pod uwagę, ale Radkiewicz, minister spraw wewnętrznych zawezwał go na drugi dzień do siebie. Stefan poszedł z duszą na ramieniu (Radkiewicz! UB!) i oto co usłyszał od Radkiewicza: *„Towarzyszu Marko, wy zupełnie nie rozumiecie założeń komunistycznych NAM ZALEŻY NA TYM BY LUDZIE KRADLI, by czuli się zawsze winni, bo gdy ich aresztujemy, obojętne za co, to już nikt nie może szczerze odpowiedzieć, że jest niewinny. Gdy przestępstwo już jest, to paragraf nie ma znaczenia, wtedy wszystko można przyczepić".*

Ale np. historia Klubu Sportowego „Polonia" w Adelajdzie jest już przedstawiona barwniej. „Polonia" adelajdzka to wielokrotny mistrz piłkarski tego stanu, jeden z najwybitniejszych klubów australijskich, którego zawodnicy nieraz występują w reprezentacyjnej jedenastce Australii. Zaś kibice adelajdzcy Polonii to rozdział sam w sobie i czegoś takiego nie widziałem na meczu Arsenału w Londynie w ub. roku.

Dalej idą opracowania prężnej działalności Harcerstwa, posiadającego w pięknej okolicy swój 23-akrowy ośrodek z 4 budynkami; różnych klubów jak: Szachowego, Klubu Małżeństw Mieszanych; Polskiego Domu Dziecka, prowadzonego przez S.S. Zmartwychwstanki z Ameryki; imponujący dorobek polskich szkół sobotnich i Polskiej Macierzy Szkolnej, oraz bardzo licznej Grupy Tanecznej „Tatry" z własną orkiestrą; Koła Przyjaciół Teatru; chórów kościelnych itp.

Najciekawsze jednak są drobiazgi i podsumowania socjologiczne rozsiane po całej książce, ukazujące bezstronnie problemy i trudności związane z osiedlaniem w nowym kraju; uprzedzenia tubylców, niezawsze mądrą politykę władz australijskich, nasze pieniactwo, cały miąższ życia i problemów. Szkoda iż pominięto tu ciekawostkę, że tuż po przyjeździe dipisów z Niemiec na terenie Adelajdy istniał nieoficjalnie polski sąd, który sądził pyskówki i przeprowadzał lipne rozprawy rozwodowe, aby stronom dać okazję do pojednania i wytłumaczyć całą procedurę, jaka będzie naszych ludzi czekać w sądach australijskich, oraz tłumacząc im sprawy dzieci, które w rozwodach zazwyczaj są najbardziej poszkodowane. Można powiedzieć iż niektórzy nasi prawnicy wyżywali się w tym, niemniej decyzje takiego sądu miały moc wiążącą w przekonaniu prostych ludzi. I zaoszczędziły im sporo gorszych kłopotów i tragedii, oraz wydawania pieniędzy na sądy i adwokatów australijskich.

Jest tu sporo innych ciekawostek: Oto premier Południowej Australii zaproszony na polski bal stwierdza, że tak świetnie się

na nim bawił, iż na przyszłość czułby się obrażony, gdyby go na doroczny bal nie zaproszono. Oto zapiski polskiej Zmartwychwstanki z USA tu pracującej. Oto stronice poświęcone polskim kupcom (których jakoś najwięcej z całej polskiej Australii znalazło się w Adelajdzie!). Albo inne stronice poświęcone polskim zbieraczom opali. Oto fragmenty pamiętników dwóch rzeźników, z których jeden dorobił się i rozpropagował polskie wędliny, a potem musiał wycofać się z interesu ze względu na stan zdrowia (oboje z żoną byli torturowani w kacetach hitlerowskich) podczas gdy drugi, przybyły z Polski zaledwie w 1961, dzięki pomocy rodziny, Australijczyków i klientów rozwinął swą placówkę. Oto w „Polonii" gra Anglik ożeniony z Polką i Grek wychowany w Polsce, obaj pięknie klnący po polsku; oto harcerze i skauci estońscy, rosyjscy a nawet australijscy korzystają z polskiego ośrodka; oto nauczycielka, Australijka, pisze po angielsku, jak zetknęła się z Polakami, za jednego z nich wyszła za mąż, nauczyła się po polsku i uczy swe dzieci tego języka; oto inne Australijki przez mężów wprowadzone w polskość i gotujące polskie bigosy na polskie zabawy; oto migawka o polskich adwentystach, a druga o luteranach; oto pamiętnik przedwojennego adwokata poznańskiego, który tu musiał na nowo zaczynać prawo od początku w innym języku; oto perypetie z kupnem własnego domu w pamiętniku zdeklasowanego inteligenta, który o swej deklasacji pisze z humorem i bez goryczy; oto sylwetki polskich malarzy i rzeźbiarzy (na razie tylko kilka) a których też zebrało się w Adelajdzie więcej niż w którymkolwiek innym, nawet większym, mieście Australii; oto kłopoty z wykonaniem „Pasji" Pendereckiego, lub sylwetki kawalerów *Virtuti Militari*, albo wspomnienia popularnego śpiewaka, który od lat w radio i telewizji propaguje polskie pieśni. Teksty często pulsują życiem i emigracyjną egzotyką.

Jest to dobra robota i dobry przykład. Książkę wykonała polska drukarnia.

Andrzej CHCIUK

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO

RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:

6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Wolna trybuna

O pracy organicznej

Dzięki czyjejś odwadze i rozsądkowi dostaje się w Polsce do ręki, w czasie z góry nie przewidzianym, ważniejsze spośród artykułów opublikowanych w *Kulturze*. Dopiero niedawno zdołałam się zapoznać z przepisanymi na maszynie tekstami polemiki pomiędzy Anonimem ze Sztokholmu a Gustawem Herling-Grudzińskim. Na włączenie się do ich dialogu jest już chyba za późno, zwłaszcza że nie wiem, kiedy, jakimi drogami, zdoła wypowiedź moja dotrzeć do *Kultury*. Chciałabym jednak zabrać głos w zasadniczej sprawie, która była przedmiotem ich sporu.

Koncepcja pracy organicznej

Walka powstańcza czy też rewolucyjna; praca organiczna; kolaboracja. Oto oś, wzdłuż której od lat około dwustu rozkładają się moralne i polityczne wybory Polaków. Pierwsza z tych możliwości nie jest dziś dla naszego kraju perspektywa realną. Tym donioślejszą rzeczą jest przeto dzisiaj posiadanie jasnego poglądu na to, czym jest autentyczna postawa pracy organicznej i gdzie przebiega granica pomiędzy uprawianiem pracy organicznej a kolaboracją.

Nie ulega wątpliwości, że każdej pracy społecznie użytecznej, w przeciwstawieniu do cwaniactwa i wydrwigroszostwa, należy się określona doza społecznego uznania. Praca stwarza określone dobra niezależnie od tego, czy jest podejmowana z pobudek ideowych, czy jako najpewniejsza, na dłuższą metę, droga do zaspokojenia własnych potrzeb życiowych; czy jest motywowana ideologicznym wyborem stylu życia, czy też jest przejawem tego, że się do stylu życia normalnie uczciwego pracownika zostało biernie wdrożonym przez rutynę rodzimego środowiska. Niezależność obiektywnych wartości wytworu od motywacji w pewnej mierze dotyczy, przyznać to trzeba, nie tylko wytwarzania

powszednich dóbr materialnych, ale i wysoce kwalifikowanej czy twórczej pracy naukowej, artystycznej, etc. Jednakże sam fakt nie bycia niebieskim ptakiem i wykazywania się rzetelną robotą czy nawet intelektualnymi osiągnięciami, nie czyni jeszcze nikogo przedstawicielem koncepcji pracy organicznej. Nie jest w mym pojęciu przedstawicielem koncepcji pracy organicznej po prostu ktoś taki, kto dźwignią swojej kariery czyni fachowość, a nie wykazywanie się inicjatywą lub skwapliwością w zakresie miłego władzę dzierżącym moralnego i politycznego draństwa.

Koncepcja pracy organicznej w moim pojęciu nie może, czy też raczej nie powinna, sprowadzać się do kolaboracji szczególnego rodzaju: mianowicie do kolaboracji ograniczonej do „niezbędnego minimum" — gdzie o tym, jakie to minimum jest niezbędne, rozstrzyga stanowczość komunistycznych oficjalnych i nieoficjalnych nacisków. Jest przy tym, moim zdaniem, wszystko jedno, czy „kolaborant minimalny" dopełnia swoją rolę publiczną boleściwymi westchnieniami w zaciszu domowym, czy też nie. I czy świadomie kieruje się względami na własne bezpieczeństwo życiowe i wygodę, czy też wmawia zarówno ludziom jak samemu sobie, że motywem jego działalności jest zachowanie przy życiu jakichś instytucjonalnych form pracy, ocalenie jakichś społecznie ważnych placówek przed obsadzeniem ich pupilkami partyjnymi, etc. Argumentacja tego rodzaju nabiera bowiem charakteru hipokryzji albo samooszukiwania się, gdy w imię obrony jakichś instytucji, jakichś form społecznego działania i placówek, dopuszcza się do takiej zmiany treści, celów, atmosfery ich działania, że społeczne racje ich istnienia zostają poderwane, a ich „niezakłócone" funkcjonowanie tudzież ich „firmowanie" przez osoby, których imiona budzą szacunek, staje się eksponowanym elementem fasady komunistycznego państwa.

W moim pojęciu, postawa pracy organicznej oznaczać powinna określony typ *postawy opozycyjnej*. Jest to postawa, na której gruncie rozumie się konieczność obsługiwania materialnych i kulturalnych potrzeb kraju w tych warunkach, jakie istnieją; na której gruncie nie ceni się wszelkiego straceńczego gestu za to tylko, że jest bezkompromisowy, na której gruncie rozumie się, że powstrzymanie się od bezpośredniego starcia z komunistami w takiej czy innej sprawie, w takim czy innym czasie może być jak najbardziej usprawiedliwione taktycznie. Zarazem jednak jest to postawa, na której gruncie jest się też w pełni świadomym tego, że nie wolno pod pozorem pomnażania czy ratowania jakichś dóbr materialnych czy działań kulturalnych dawać się wciągać w akcje, czy potakiwać akcjom, których dominującym skutkiem jest ich terroryzujący czy demoralizujący wpływ na społeczeństwo, moralne rozbrajanie go, przykręcanie śruby komunistycznej kontroli, itd. Ideologia pracy organicznej musi być idelogią samodzielną, zawierać własną miarę tego, co dla dobra społecznego w danych warunkach czynić należy, a

czego nawet w imię przyspieszania jakichś okruchów tego dobra czynić jednak nie wolno.

Innymi słowy, kto w obecnych warunkach zasadniczo wyłącza akty bojkotu i sprzeciwu wobec tego, czego się komuniści domagają, jest w mym pojęciu łzawym towarzyszem podróży komunistów, łzawym kolaboracjonistą, a nie przedstawicielem koncepcji pracy organicznej.

Przedstawiciel tej koncepcji nie przybiera wobec zagadnień taktyki walki ani postawy romantycznej ani postawy kapitulanckiej, ale dokonuje w miarę możności trzeźwego i społecznie odpowiedzialnego rachunku społecznych, doraźnych i dalekosiężnych, dodatnich i ujemnych skutków takiego czy innego uniku w walce, kompromisu, oraz takiego czy innego przejawu pryncypialnej bezkompromisowości.

W naszych obecnych warunkach, gdy zarówno społeczne koszta kompulsywnej, nierozważnej kompromisowości, jak i społeczne koszta pseudoorganicznikowskiego kolaboracjonizmu są ogromnie wysokie, wypracowanie właściwych mierników tego, co wskazane, a co niedopuszczalne, z punktu widzenia koncepcji pracy organicznej, jest zadaniem nader trudnym, a zarazem niezbędnym. Bardzo potrzebna jest moim zdaniem, dyskusja o pracy organicznej i kolaboracji na łamach *Kultury*. Moją wypowiedź widzę jako głos w tej dyskusji.

Współczesne warunki pracy organicznej

Zastanowić się warto nad podobieństwami i różnicami pomiędzy epoką współczesną, a tą, w której hasło pracy organicznej zostało rzucone przez pozytywistów.

Podobieństwo podstawowe polega na tragicznej sytuacji obu wchodzących w grę pokoleń. Na nieistnieniu aktualnych warunków walki o suwerenną i demokratyczną Polskę. Na konieczności zdania sobie sprawy z tego, że cena społeczna postaw kompulsywnie bezkompromisowych, nie liczących się z wymogami życia narodu i z realiami walki o jego doraźne i dalekosiężne interesy, przekracza miarę na którą ludzie mający poczucie odpowiedzialności mogą przystać. Na konieczności czynienia w warunkach panujących wszystkiego, co możliwe, celem przygotowania podstaw pod przyszłą silną, demokratyczną i zasobną Polskę. Na konieczności przeciwstawiania się usiłowaniom wroga, aby cel, w warunkach panujących niemożliwy do zrealizowania, przestał być przez społeczeństwo traktowany jako cel przyszły, któremu rzeczywistość panująca urąga.

Co do różnic, to podstawowa polega na tym, co obecna Polska ma do stracenia. Teoretycznie zawsze grozi jej zmiana sytuacji na sytuację Litwy, i tylko obłąkaniec mógłby szczerze utrzymywać, że to już wszystko jedno. Z drugiej strony, tylko obłąkaniec mógłby jeszcze szczerze utrzymywać, że „tego by już komuniści nie mogli uczynić", że na to by już im nie pozwoliła

międzynarodowa opinia publiczna. Że by ich nie obsypano kwiatami, to rzecz pewna. Z pewnością nie obeszłoby się bez protestów tego samego, co zawsze, międzynarodowego grona szlachetnych osobistości i bez zawstydzeń w prasie. Chyba też trzeba by odłożyć na parę miesięcy wizytę Breżniewa w jakiejś metropolii. I to zapewne już wszystko. Słowem, „pozwolono by".

Inna różnica, jak się zdaje, polega na tym, w jakim stopniu niezaspokojone są podstawowe potrzeby społeczeństwa w zakresie dóbr materialnych i kultury. Nasza przynależność do świata, w którym dominującą rolę odgrywają kraje wysoko uprzemysłowione, wyznacza obiektywny pułap tych potrzeb i obiektywne kryteria zacofania w ich zaspokojeniu, niezależnie od tego, w jakim stopniu ta czy inna aktualna ekipa komunistyczna zdaje sobie sprawę ze skutków ich niezaspokojenia dla wytwórczości. Rozziew pomiędzy stanem gospodarki w Polsce z jednej strony, a w krajach wysoko uprzemysłowionych z drugiej, będzie w roku 1980 zapewne większy niż w czasach pozytywizmu warszawskiego.

Po trzecie, dopóki los Litwy jest możliwością jedynie teoretyczną, społeczeństwu polskiemu nie zagraża rusyfikacja czy germanizacja. Natomiast społeczeństwo nasze jest już obecnie w nie dającym się zlekceważyć stopniu dotknięte chorobą inną, mianowicie *rakiem sowietyzmu*. Wszelkie zatarcie granicy pomiędzy pracą organiczną a kapitulanctwem chorobę tę wzmaga.

Przez sowietyzm mam na myśli mentalność zaszczepianą przez bolszewików. Że mentalność „socjalistyczna w treści a narodowa w formie" potrafi przybierać postaci łudząco przypominające ideologię „Lewicy" NSDAP, to już wiemy z niedawnych doświadczeń.

Podstawowym zaburzeniem organizmu społecznego w stanie, który określiłam jako chorobę sowietyzmu, jest szerzące się otępienie polityczne i moralne, przyzwyczajenie do znoszenia rzeczy, które w krajach naszej kultury, w normalnych warunkach ich bytowania, uważa się za niemożliwe do tolerowania przez społeczeństwo. Szerząca się skłonność do mierzenia aktualnych warunków nie miarą tego, co godziwe i rozsądne, tego co społeczeństwo wolne mogłoby sobie wypracować, ale miarą tego, o ile jest „lepiej" w chwili bieżącej niż w okresach wzmożenia „błędów i wypaczeń" czy też kolejnego ostrego kryzysu gospodarczego.

Ostatnia z różnic, o których pragnę tu wspomnieć, polega na tym, że mamy bogatszy zasób doświadczeń niż dziewiętnastowieczni organicznicy. Doświadczenia te pouczają nas o niebezpieczeństwach postawy organicznikowskiej, tzn. o tym, że może się ona wyradzać w ideologiczną przykrywkę groszoróbstwa, sobkostwa, a na forum działalności publicznej — w kapitulanctwo. Z drugiej strony, pouczają nas one, że zło nie musi być tak trwałe, jak się to w jakimś okresie wydaje.

Mamy doświadczenie dotyczące polskich „mrzonek" niepodległościowych w okresie rozbiorów. Dążenie narodu polskiego do niepodległości w istocie urzeczywistniło się w roku 1918 wskutek nieprzewidzianego zbiegu okoliczności. W tym nieprzewidzianym zbiegu, jedna okoliczność nie była przypadkowa i nieprzewidziana, a zarazem była to okoliczność niezbędna dla wyniku całości. Była nią *wola* narodu, aby być niepodległym. Wnioski dotyczące znaczenia przeciwstawiania się chorobie sowietyzmu współcześnie nasuwają się same.

Koncepcja pracy organicznej a opór

Właśnie w naszym kraju, gdzie wszelka działalność jawna przebiega w ramach wyznaczanych lub zatwierdzanych przez komunistów i podlega ich naciskowi zmierzającemu do uczynienia z niej środka służącego *ich* celom, koncepcja pracy organicznej zawierać musi postulat stawiania oporu lub przynajmniej bojkotu, dystansowania się od poczynań komunistów, kiedy warunki pracy organicznej zostają przez nich na tym czy innym polu poderwane. O formach oporu, jak i o konieczności zaniechania oporu bezpośredniego w tym czy innym wypadku, decydować musi poczucie odpowiedzialności społecznej, jednakże poczucie odpowiedzialności społecznej nie jest tym samym co oportunizm, który się na nie tak często powołuje.

Jest rzeczą jasną, że żadne „wymogi pracy organicznej" nie tłumaczą niczyjego angażowania się w takie poczynania komunistów jak nagonka na episkopat w związku z listem do biskupów niemieckich, jak akcja antysemicka i antyinteligencka w latach 1968/9, jak tłumienie strajku na Wybrzeżu. Przeciwstawianie się tym akcjom zgodnie z posiadanymi możliwościami, a co najmniej separowanie się od nich w niedwuznaczny sposób, jest jedyną postawą możliwą do przyjęcia właśnie z punktu widzenia obrony tych dóbr, o których doniosłości mówi ideologia pracy organicznej.

Podobnie, nie można z pozycji „pracy organicznej" usprawiedliwiać, np., dyrektora szpitala (albo kierownika jakiejś innej równie użytecznej placówki), jeśli w imię „niezakłóconej działalności" tej placówki, w celu uzyskania dla niej „przychylności władz" itd., godzi się na usuwanie z pracy lekarzy przeznaczonych na kolejną ofiarę niewygasającej potrzeby komunistów, żeby mieć do zwalczania jakiegoś „wroga ludu". Dyrektor nie walczący o zachowanie przez szpital dobrych lekarzy i skrzywdzonych kolegów, może znać się na szpitalnictwie, ale nie jest dobrym dyrektorem szpitala, gdyż godzi się na to, by leczenie chorych doznało uszczerbku. Nie jest też dobrym obywatelem, gdyż przyczynia się do niszczenia nader „organicznych" moralnych dóbr społecznych.

Postawa pracy organicznej i społecznego realizmu, jako postawa opozycji, a nie jako uprawianie kolaboracji pod szczytnymi hasłami, jest postawą trudną. Nie można za pomocą abstrakcyjnych formuł wyznaczyć raz na zawsze granicy pomiędzy tym,

co wskazane, co dopuszczalne w dziedzinie kompromisu z władzą komunistyczną, a tym, co jest oportunizmem i kolaboracją. Kierować się wypada nie jakimiś ogólnymi przepisami, ale głosem własnego rozsądku i sumienia, jak również wskazaniami tej pozbawionej oficjalnych środków wyrazu, a przecież żywotnej w Kraju opinii publicznej, która pomimo takich czy innych potknięć na ogół reprezentuje trafne rozpoznanie rzeczy.

Koncepcja pracy organicznej a hasło dobrej roboty

Trudności rozstrzygania zagadnień moralnych i politycznych ze stanowiska koncepcji pracy organicznej zilustrować można przykładem stosunku rzecznika tej koncepcji do hasła dobrej roboty. Jest rzeczą oczywistą, że uczciwy stosunek do pracy zawodowej należy do naczelnych postulatów tej koncepcji i że jej rzecznik nigdy nie czuje się zwolniony od wymogów tego uczciwego stosunku. Idzie jednak o jego stosunek do tak masowego obecnie w Polsce zjawiska pracy złej, niedbałej, nieuczciwej. Ma się rozumieć, nie w skażeniu natury ludzkiej przez grzech pieroworodny i nie w „charakterze narodowym Polaków", ale w określonych cechach socjalistycznej gospodarki, w określonych cechach uwarstwienia społecznego w Polsce, w określonych warunkach, w których w Polsce ludzie muszą pracować i zabiegać o zaspokojenie swych życiowych interesów, leżą przyczyny masowości tego zjawiska. Tzw. bumelanctwo bywa najbardziej prymitywnym sposobem protestu i obrony przeciwko socjalistycznemu wyzyskowi, bałaganiarstwu, niesprawiedliwości. Ustosunkowanie się do tych zjawisk wcale nie jest więc dla przedstawiciela koncepcji pracy organicznej sprawą prostą. To jasne, że nie może on odnosić się z aprobatą lub z pobłażaniem do zwykłego cwaniackiego bumelanctwa, a tym bardziej do kradzieży. Z drugiej strony, nie może się on utożsamić z partyjnymi naganiaczami, którzy skutki wad strukturalnych ustroju, pomnożonych przez własne nieuctwo, usiłują zrekompensować za pomocą „czynów", bezpłatnych godzin nadliczbowych, itd.

Jednakże życie w Polsce obfituje w sytuacje, w których tego rodzaju proste rozważania moralne wcale nie prowadzą do jednoznacznych rozstrzygnięć. Co ma zrobić inżynier, na którego budowie bumelanctwo robotników jest rzeczą nagminną, ale który jednocześnie wie, że 70 % zatrudnionych to chłopo-robotnicy, dojeżdżający codziennie do pracy dłużej niż dwie godziny, nie mogący z niej zrezygnować i nie mogący również zrezygnować w okresie żniw z całonocnej pracy na „swoim"?

Hołdowanie hasłu „dobrej roboty" nabiera charakteru obłudy, kiedy nie wiąże się go z ujawnianiem i zwalczaniem warunków, które ludzi najbardziej bezbronnych do złej roboty zmuszają i które leżą u podłoża tolerancyjnych postaw w naszym społeczeństwie wobec nierzetelności w pracy.

Praca organiczna a inne formy działalności opozycyjnej

Dawni pozytywiści odrzucali wszelkie gwałtowne formy walki z racji swego zasadniczego stanowiska. Również strajk był dla nich czymś niedopuszczalnym zasadniczo. Z punktu widzenia koncepcji tu przedstawianej, formy oporu czy nacisku są sprawą zmiennych postaci społecznego działania w zmiennych warunkach społecznych.

Obecnie jest rzeczą nieodpowiedzialną prowokowanie komunistów do masowych represji. Jednakże zwolennik koncepcji pracy organicznej liczyć się musi z tym, że komuniści sami, czy to przez głupotę, czy też stosując świadomą prowokację, niejednokrotnie, jak wiemy, doprowadzają do zajść gwałtownych. W pewnych warunkach niewątpliwie poczytuje on za swój obowiązek przeciwdziałanie narastaniu gwałtownego wybuchu — demonstracji, strajku, zaburzeń — skoro widzi, że jedynym ich skutkiem mogą być masowe represje. O ile jednak do tego rodzaju zajść dochodzi, to najrozsądniejsza tendencja przeciwdziałania rozszerzeniu się beznadziejnego buntu nie usprawiedliwia brania udziału w akcjach represyjnych czy też wynajdywania dla nich usprawiedliwień albo po prostu udawania, że się nie widzi, co się odbywa w kraju.

Rzecznik koncepcji pracy organicznej nie może przymykać oczu na to, że nie w każdych warunkach można uprawiać „pracę u podstaw". Kiedy komuniści strzelają do robotników, kiedy wszczynają kolejny cykl procesów czarownic, nie może być mowy o „pracy organicznej" i o uchylaniu się pod tym pozorem od protestu.

Rzecznik koncepcji pracy organicznej nie może też zakładać, że ustrój sowiecki jest czymś wiecznym, że imperium rosyjskie nigdy nie upadnie, że haniebny układ Jałtański będzie w mocy do dnia Sądu Ostatecznego.

Kiedy zmieniony układ sytuacji pozwoli na podjęcie nowych zadań, „organicznik" musi umieć przestać być organicznikiem.

Koncepcja pracy organicznej a emigracja

Szereg przedstawicieli koncepcji pracy organicznej w Kraju, włączając w to ludzi nie żywiących ani krzty sympatii do komunistów traktuje emigrację jako rzecz zasadniczo niedopuszczalną, wychodząc z założenia, że dla życia kraju istotne znaczenie może mieć to jedynie, co się robi w Kraju. Zwłaszcza aktywność polityczna emigrantów, ich wystąpienia publiczne, budzą w tych ludziach takie czy inne, moralne, polityczne opory. Z drugiej strony, pewni przedstawiciele emigracji żywią zasadniczą niechęć do koncepcji pracy organicznej. Taką nutę wyczułam, może niezupełnie słusznie, w artykule Herlinga-Grudzińskiego. Moim zda-

niem oba te stanowiska są niewłaściwe. Zarówno praca organiczna jak publicystyka emigracyjna są dziś niezbędne dla Kraju.

Emigracja jest dziś potrzebna Krajowi bardziej niż kiedykolwiek. Potrzebna jest nam emigracyjna prasa. W czasach pozytywizmu warszawskiego można było przy odpowiedniej zręczności wyprowadzić w pole cenzurę i przekazać czytelnikowi istotną treść tego, co się chciało powiedzieć. Sam program pracy organicznej, jako szczególnej formy walki z zaborcą, można było przedstawić w z lekka zakamuflowanej postaci w prasie wychodzącej w Kraju. W krajach rządzonych przez komunistów takich możliwości nie ma. Jedyne możliwe forum niezależnej myśli polskiej, to właśnie praca emigracyjna, i to jest wystarczający, choć moim zdaniem nie jedyny, argument na to że emigracja ma moralną i polityczną rację bytu.

Poza tym, zagadnienie, czy emigracja „powinna" istnieć, jest w gruncie rzeczy jałowe. Skutkiem polityki uprawianej przez komunistów jest nieustanne zasilanie szeregów emigracji. A więc nie problem, czy mają istnieć emigranci, ale problem, czy emigracja może być uczestnikiem życia i wysiłków narodu, jest problemem realnym. Moim zdaniem, działalność Emigracji jest nieodzownym uzupełnieniem pracy organicznej w Kraju.

(Artykuł nadesłany z kraju)

Eliza PRUSIŃSKA

Dwutomowa powieść Aleksandra Sołżenicyna

KRĄG PIERWSZY

wzbudziła wyjątkowe zainteresowanie wśród naszych Czytelników. Nakład książki został szybko wyczerpany — a stale otrzymujemy dalsze zapytania o tę książkę.

W związku z tym zdecydowaliśmy się na jej wznowienie. Zawiadamiając o tym prosimy o nadsyłanie konkretnych zamówień.

INSTYTUT LITERACKI

Historia

Ostatni Marszałek Senatu Rzplitej Polskiej

Dnia 8 maja br. zmarł w Londynie Bogusław Miedziński — ostatni Marszałek Senatu Rzeczypospolitej, ostatni z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego i — po zgonie Kazimierza Sosnkowskiego — ostatni z tych, co najwięcej wiedzieli, najwięcej pamiętali i najlepiej rozumieli nie tylko decyzje Komendanta, ale i ich motywy.

Miedziński nie był, tak jak Sosnkowski, tym, który dzielił kilkakrotnie losy Komendanta i spędził z Nim wspólne miesiące więzienia magdeburskiego. Ale był on sam na sam z Komendantem w dniach lipcowych 1917 roku w Lubelszczyźnie, gdy Komendant ważył decyzję czy udać się do wojska formującego się w rewolucyjnej Rosji czy też dać się uwięzić Niemcom. I był też bezpośrednio przy nim w tragicznych dniach maja 1926 roku.

W grupie kierowniczej obozu Piłsudskiego był Miedziński — obok Janusza Jędrzejewicza, Józefa Becka i Bronisława Pierackiego — jedną z najwybitniejszych indywidualności. Był znakomitym mówcą parlamentarnym — słynne były jego polemiki ze Stanisławem Strońskim.

Jako pisarz polityczny na łamach *Gazety Polskiej* okazał się równie znakomitym publicystą jak Ignacy Matuszewski.

W czasie wojny rząd gen. Sikorskiego wyznaczył Miedzińskiemu na miejsce pobytu Afrykę Południową. Gdy pod koniec wojny wrócił do Europy, do Londynu — stanął na uboczu od emigracyjnego życia politycznego. Kiedy jednak na łamach prasy polskiej ukazywały się artykuły zniekształcające działalność czy postać Komendanta — londyńscy Piłsudczycy biegli do jego skromnego pokoiku na Ealingu żądając, by zabrał głos: „bo tylko ty będziesz umiał na to odpowiedzieć, bo tylko ty znasz te sprawy" — mówili. I wtedy brał za pióro aby dać do *Wiadomości*, do *Kultury* czy do *Tygodnia* jakiś rewelacyjny artykuł.

Ostatni Marszałek Senatu nie pretendował do żadnej kierow-

niczej roli w życiu emigracji. Od chwili katastrofy Niepodległej Rzeczpospolitej uważał kartę swej działalności politycznej za zamkniętą. Pracował nad spisywaniem swoich wspomnień.

Tadeusz ŚWIĘCICKI

ŻYCIORYS BOGUSŁAWA MIEDZIŃSKIEGO

Bogusław Miedziński urodził się w Miastkowie, powiat Garwoliński, dnia 22 marca 1891 roku. Strajk szkolny zastał go w klasie 4-ej gimnazjum rządowego w Siedlcach. Otrzymał maturę w roku 1909. Studia wyższe odbył we Lwowie i w Krakowie (1909-1913 Politechnika Lwowska, 1913-1914 Uniwersytet Jagielloński). Brał czynny udział w życiu politycznym młodzieży akademickiej; we Lwowie w stowarzyszeniu „Życie", w Krakowie — „Promień", należąc do zarządu obu tych stowarzyszeń.

W r. 1910 wstąpił do ZWC, w tymże roku do Związku Strzeleckiego we Lwowie. W r. 1913-1914 w „Strzelcu" w Krakowie.

Już w czasach gimnazjum w r. 1906 pozostawał w bliskim kontakcie z PPS i — dzięki swoim osobistym stosunkom ze starszymi o kilka lat przyjaciółmi — używany był do posług pomocniczych przez miejscową organizację bojową partii. W r. 1907, po ukończeniu lat 16, został do partii przyjęty. I pozostał w szeregach frakcji rewolucyjnej aż do wybuchu 1-ej wojny światowej, początkowo w Siedlcach, a następnie w tzw. „Sekcji Zakordonowej" we Lwowie.

W r. 1914 pracował w POW, początkowo jako Komendant Okręgu Siedleckiego; w grudniu tegoż roku został przez Żulińskiego powołany do Sztabu Komendy Naczelnej POW; w styczniu r. 1915 wysłany został na inspekcję organizacyjną oraz dla pewnych zadań specjalnych z ramienia Komendy Naczelnej do Petrogradu, zaś po powrocie stamtąd mianowany Komendantem Okręgu Warszawa, pozostając jednocześnie w składzie Komendy Naczelnej aż do odwrotu Rosjan w sierpniu 1915 r. Zatrzymany w Warszawie dla przekazania Komendy Naczelnej POW Żymierskiemu — w końcu września, po ostrym konflikcie z tym ostatnim, Komendant uwzględnił jego prośbę o odwołanie na front. Jako jeden z pięciu oficerów POW na tyłach armii rosyjskiej został przez Komendanta mianowany podporucznikiem 1 Brygady z datą 1 lutego 1915 roku. Brał udział we wszystkich bitwach 6-go batalionu I Brygady w czasie kampanii wołyńskiej. Mimochodem, stoczył osobistą bitwę z pogotowiem garnizonowym austriackim w obronie terenu kwaterunkowego 6 batalionu i wprawdzie odniósł w tej bitwie zwycięstwo, ale został oddany pod sąd polowy austriacki i — wobec niewesołych perspektyw tej sprawy — w czerwcu 1916 r. został przez Komendanta odesłany z pozycji na „Reducie Piłsudskiego" z powrotem do POW.

W Komendzie Naczelnej POW w Warszawie pracował w roku 1916 na stanowisku adiutanta Komendy Naczelnej, mając sobie powierzone sprawy organizacyjne oraz polityczne. Jednocześnie brał żywy udział w pracach politycznych lewicy niepodległościowej zarówno w Warszawie jak i poza stolicą. Należał do CKN (Centralny Komitet Narodowy), w skład którego wchodzili przedstawiciele wszystkich stronnictw i grup spod znaku J. Piłsudskiego. W czasie reorganizacji POW na wiosnę roku 1917 mianowany został drugim zastępcą naczelnego komendanta w Warszawie, następnie zaś — po decentralizacji POW — na 4 Komendy Naczelne, został komendantem naczelnym POW na okupację austriacką w Lublinie. W czasie więzienia Komendanta i Szefa należał do Konwentu, w którym pozostawał aż

do listopada 1918 r. W lutym 1918 r. objął Komendę naczelną POW w Kijowie (KN 3), mając jednocześnie powierzone sobie zadania polityczne, jako przedstawiciel Konwentu na tym terenie. W czerwcu 1918 r. został odwołany z powrotem do Warszawy i objął stanowisko zastępcy komendanta naczelnego (Adama Koca), w czasie gdy wobec kilkomiesięcznej nieobecności komendanta głównego, Śmigłego, kierownictwo prac całości POW wróciło do Warszawy i spoczywało w rękach Koca. Wrócił jednocześnie na swoje stanowisko w CKN. Po powrocie Śmigłego ze wschodu i po jego przyjeździe do Warszawy w październiku 1918 przeszedł do bezpośredniej dyspozycji Śmigłego jako *sui generis* referent polityczny. Drugiego listopada, w momencie katastrofy Austrii, towarzyszył Śmigłemu do Lublina, gdzie pozostawał do 10 listopada, pracując w sztabie Śmigłego i biorąc udział w likwidacji okupacji austriackiej, mobilizacji POW i organizacji jednostek wojska na terenie okupacji austriackiej. W nocy z 10 na 11 listopada został wysłany przez Śmigłego z raportem do Komendanta do Warszawy; do Lublina nie wrócił zatrzymany przez Komendanta do jego dyspozycji. Po kilkumiesięcznej pracy w sztabie „DOGEN" w Kielcach, mianowany został szefem „Sekcji Politycznej Sztabu Generalnego" na miejsce W. Sławka. Po objęciu przez Sosnkowskiego wiceministerstwa spraw wojskowych został wraz z całą sekcją polityczną przeniesiony do Ministerstwa Spraw Wojskowych na stanowisko szefa Departamentu 2-go, który to departament stał się potem, po reorganizacji ministerstwa przez Sosnkowskiego, Oddziałem II Sztabu Ministerstwa Spraw Wojskowych. Na tym stanowisku pozostawał aż do jesieni r. 1921, gdy Ministerstwo Spraw Wojskowych i Sztab Generalny zostały zreorganizowane na stopę pokojową. Wówczas przeniesiony został do adiutantury Naczelnika Państwa jako zastępca Adiutanta generalnego gen. Jacyny. Na tym stanowisku pozostał do grudnia 1922 r., kiedy wszedł do Sejmu z listy państwowej Stronnictwa Ludowego „Piast". W okresie od podpisania pokoju Ryskiego do wyborów do Sejmu jego służba wojskowa była już raczej tytularną i używany był w tym czasie przez Komendanta do zadań natury politycznej.

Po zmianie frontu przez Witosa, obaleniu rządu Sikorskiego i utworzeniu rządu tzw. Chieno-Piasta, wystąpił z klubu parlamentarnego Witosa wraz z grupą Jana Dębskiego, która po krótkotrwałym odrębnym istnieniu połączyła się z klubem Wyzwolenia. W okresie następnym, aż do przewrotu majowego, pracował w Komisji Wojskowej Sejmu, prowadząc w myśl instrukcji Komendanta Piłsudskiego akcję przeciwko wniesionej przez Sikorskiego ustawie o organizacji władz wojskowych. Jednocześnie rozpoczął pracę publicystyczną, pisząc w *Kurierze Porannym* oraz w tygodniku *Głos Pracy*. Po przewrocie majowym objął stanowisko współredaktora dziennika *Głos Prawdy* wraz z W. Stpiczyńskim. W końcu grudnia 1926 r. został mianowany ministrem Poczt i Telegrafów i na tym stanowisku pozostawał w rządach: J. Piłsudskiego i K. Bartla. W kwietniu 1929 r., po ustąpieniu rządu Bartla, do rządu K. Świtalskiego powołany nie został.

Powróciwszy na ławy Sejmu objął redakcję *Gazety Polskiej*. Wybierany był przez 3 lata z kolei (1931-1934) na referenta generalnego budżetu — rekord w Sejmie polskim. Na stanowisku redaktora *Gazety Polskiej* pozostał do jesieni 1938 r., to jest do chwili wyboru na Marszałka Senatu.

W tym czasie praca parlamentarna Miedzińskiego rozszerzyła się z Komisji Wojskowej, w której przez kilka lat przewodniczył, na Komisję Budżetową, a następnie Konstytucyjną. W tej ostatniej, gdy wniesiony został projekt nowej konstytucji, wybrany został na referenta Działu 7 Konstytucji — postanowień budżetowych i finansowych. *Gazeta Polska* stała się nie tylko organem obozu rządzącego (organem rządu nigdy nie była), ale i nieoficjalnym organem ministerstwa spraw zagranicznych. Wobec tego redagowanie jej stało się zadaniem dość poważnej wagi.

B. Miedziński w okresie opracowywania nowej konstytucji, w latach 1930-1935, był nie tylko referentem jednego z jej działów w Sejmie, ale brał wraz z W. Sławkiem, St. Carem i Janem Piłsudskim udział w opracowaniu jej zasadniczych podstaw i postanowień. W roku 1935 został wybrany wicemarszałkiem Sejmu. W roku 1938 do Sejmu nie kandydował, wszedł do Senatu z wyboru Prezydenta Rzeczpospolitej i wybrany został na marszałka Senatu.

Po wybuchu wojny 1939 i po przejściu granicy przez najwyższe władze Rzeczpospolitej przedostał się przez Rumunię i Włochy do Francji, zaś w momencie kapitulacji Francji — przez Hiszpanię do Portugalii. W początkach roku 1941 przyjęty został do wojska i zaliczony do tzw. 2-ej grupy oficerów, rozkazem Naczelnego Wodza został skierowany do Afryki Południowej, gdzie przebywał do września 1946 roku. Następnie, po półrocznym pobycie w obozie wojskowym WP w Quassasinie, przybył w roku 1947 do Anglii i został zdemobilizowany.

W ostatnich latach życia pisywał sporadycznie artykuły treści historycznej dotyczące najnowszej historii Polski oraz fragmentaryczne wspomnienia.

Daty dotyczące służby wojskowej: 1 lutego 1915 — pporucznik I Brygady LP; listopad 1918 — kapitan WP; na wniosek Głównej Komisji Weryfikacyjnej WP — mianowany ppułkownikiem, ze starszeństwem z czerwca 1919 r.

Odznaczenia bojowe: Virtuti Militari V klasy, poczwórny Krzyż Walecznych oraz Krzyż Niepodległości z Mieczami.

Polacy w Anglii w czasie I-szej wojny

Styczniowy zeszyt *The Slavonic and East European Review* (Nr 118) przynosi obszerny a w wielu szczegółach rewelacyjny artykuł prof. Normana Davies'a pt. „The Poles in Great Britain, 1914-1919" oparty na udostępnionych niedawno aktach urzędowych Foreign Office'u w Public Record Office, archiwum prywatnym prof. Roberta Seton-Watson'a i aktach Polskiego Komitetu Narodowego znajdujących się w Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Autor jest wykładowcą w Szkole Studiów Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego i Senior Associate Member oksfordzkiego St. Antony's College.

Tematem artykułu są rozgrywki polityczne w łonie Emigracji polskiej w Anglii w okresie I Wojny Światowej, gdy zainteresowanie sprawą polską było, zdaniem prof. Davies'a, znikome. Jak dziś np. Macedonia, Polska przywoływała na myśl widma dawnej świetności a dla polityków oznaczała trzy prowincje trzech państw związane wspólnotą językową. Interesowało się

jej dziejami grono „starych panien", których klasyczną przedstawicielką była Miss Alma Tadema, w okresie wojny bliska współpracowniczka Dmowskiego; opinie jej na temat Żydów polskich wpłynęły w roku 1916 na wprowadzenie przez Home Office określenia *by race a Pole,* które było źródłem poważnych trudności w roku 1919 przy ustalaniu narodowości byłych obywateli państw zaborczych.

Fakt, że Polacy w Anglii legitymować się musieli paszportami rosyjskimi, austriackimi i niemieckimi utrudnia ustalenie ich liczby. Prof. Davies ocenia ją jednak na zbliżoną do 60.000, to znaczy wielokrotnie wyższą od ok. 1.000 Czechów. Większość stanowili robotnicy. Skupiające ich organizacje miały zabarwienie katolickie lub socjalistyczne. Te ostatnie nawiązywały do żywych jeszcze tradycji *Robotnika* drukowanego w Londynie w 1893 i Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich, po którym została pokaźna biblioteczka „bibuły" szmuglowanej do Kraju. (Spora kolekcja tych rzadkich już dziś broszur znajduje się w Bibliotece Polskiej w Londynie). Trzecią, dość dobrze zorganizowaną grupą byli Żydzi, a wśród nich, bardzo aktywna grupa syjonistów. Wielu z nich np. prof. Chaim Weizmann czy Sir Louis Namier zerwało z polskością, — działalność ich polityczna w okresie I Wojny Światowej zahaczała jednak stale o sprawy polskie.

Za przywódcę społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii uważa prof. Davies Augusta Zaleskiego, kwalifikując go jako niemal trybuna ludu, cieszącego się popularnością wśród robotników polskich w dzielnicy East End. Z raportów detektywów Special Branch wynika, iż przemawiał na wiecach ulicznych i był dobrym mówcą. Prof. Davies przypisuje mu pochodzenie z rodziny utytułowanej, — przypomina, iż w roku 1906 pracował na Shaftesbury Avenue u księgarza nazwiskiem „Voydich" (tj. Wojnicz) i utrzymywał bliskie stosunki z kołami syjonistycznymi. Przypomina także, iż studiował na Uniwersytecie Londyńskim i był pierwszym wykładowcą przedmiotów polskich w King's College w Londynie.

Wybuch wojny postawił w trudnej sytuacji Polaków z zaboru austriackiego i pruskiego. Formalnie klasyfikowani byli jako jeńcy cywilni i cudzoziemcy z krajów nieprzyjacielskich. Komitet Polski zdołał przeprowadzić zmianę tych określeń na „cudzoziemcy z krajów nieprzyjacielskich usposobieni przyjaźnie do Wielkiej Brytanii". W latach 1914-15 wydano ok. 3.000 zaświadczeń tego typu. Polacy z zaboru rosyjskiego stanęli dla odmiany wobec perspektywy poboru związanego z deportacją z Anglii, co jednak praktycznie nie weszło w życie.

Głównym tematem artykułu są rozgrywki między dwoma głównymi ugrupowaniami polskimi skupionymi wokół a) Augusta Zaleskiego, „reprezentującego osiadłą w Anglii w większości socjalistyczną społeczność" i b) Romana Dmowskiego, który miał za sobą „konserwatywnie nastrojonych jegomościów przybyłych podczas wojny z Rosji". Zaleski miał za sobą Polish

Information Committee, zwalczany przez Dmowskiego; organem Komitetu było pismo *The Polish Review*, redagowane przez J. H. Harley'a.

Zaleski reprezentował tzw. *activist line*, wychodzącą z założenia, że sprawa polska winna być rozstrzygnięta pomiędzy Rosją a Niemcami a pomoc udzielana Niemcom *do czasu* ma znaczenie taktyczne i przyczynić się może do szybszej klęski Rosji. Ta pozornie proniemiecka linia rozumowania była, jak ujmuje to prof. Davies oceniana przychylnie *(respected)* w Foreign Office'ie, z którego ramienia Zaleski udał się w roku 1916 do Szwajcarii w celu nawiązania kontaktów z Polakami przybywającymi z Austrii i Niemiec. Zaleski odbył szereg konferencji z przedstawicielami Agencji Lozańskiej, z Erazmem Piltzem i z Janem Kucharzewskim. Ze zdziwieniem stwierdził na wyjezdnym, iż konsulat brytyjski w Bernie przyłożył mu w paszporcie pieczątkę zabraniającą wjazdu do Szwajcarii do końca wojny. Dalszy ciąg był jeszcze bardziej nieoczekiwany: aresztowano go po przybyciu do portu w Southampton. „Choć o tym nie wiedział — pisze prof. Davies — stało się to za sprawą Romana Dmowskiego".

Prof. Davies charakteryzuje tego ostatniego jako polityka o większych od Zaleskiego wpływach, przywódcę Koła Polskiego w Dumie, pretendenta do władzy w autonomicznej administracji ziem polskich. Uważa, iż jako „organizator osławionego bojkotu przedsiębiorstw żydowskich w roku 1912" „ujawnił uzdolnienia w kierunku stosowania niesmacznych technik postępowania politycznego" a w Zaleskim „pragnął zniszczyć rywala metodami wypracowanymi w carskiej szkole polityki spod znaku Ochrany".

Jak wynika z *memo* Intelligence Department Foreign Office'u (FO 371 3279/169678) w roku 1916 Dmowski wręczył w Scotland Yardzie listę „osób niebezpiecznych", rozpoczynającą się nazwiskiem Augusta Zaleskiego. Konsekwencją tego postępku był ów krótkotrwały zresztą areszt Zaleskiego. Zwolniono go na skutek interwencji G. M. Trevelyan'a i Sir Louis Namier'a[1].

Dwoistość działania cechowała nie tylko Polaków ale i władze brytyjskie. Zaleski miał przez dłuższy czas poważne wpływy w Foreign Office'ie, Dmowskiego popierał Home Office, któremu — szczegół to bardzo istotny — podlegały obozy internowanych, akcja pomocy i sprawy dokumentów osobistych.

Od Zaleskiego wyszło pierwsze sformułowanie żądania niepodległości Polski w ramach akcji Polish Information Committee (20. XI. 1916). Anglicy uznali to za wystąpienie przedwczesne ze względu na trwające nadal formalnie przymierze z Rosją. Deklaracja wywołała popłoch i dezercję w szeregach angielskich członków Polish Information Committee. Po dwu tygodniach

1. Podobną taktykę zastosował Dmowski do „Żydka galicyjskiego" Namier'a, reprezentującego jego zdaniem stanowisko proaustriackie, defetystyczne i „żydowsko-masońskie". W sprawie tej Foreign Office zażądał od Dmowskiego odwołania zarzutów (FO 371 4363/137).

wahań ustąpił nawet szczególnie bliski Zaleskiemu Seton-Watson, zrażony na zawsze do spraw polskich. W karierze politycznej Zaleskiego był to moment zwrotny — utracił z trudem zdobyte stanowisko w kołach angielskich. Nie odzyskał go do końca wojny, mimo wielokrotnie podejmowanych prób (świadczy o tym m.in. korespondencja z Balfourem) i mimo „rehabilitacji" w roku 1918.

Niełaska Zaleskiego wzmocniła na pewien czas stanowisko Dmowskiego. W oczach większości Anglików był on „proaliancki" w przeciwieństwie do zwolenników Zaleskiego, związanych pozornie z Mocarstwami Centralnymi. Przewrót w Rosji zasilił szeregi Narodowej Demokracji w Anglii licznymi uciekinierami — jeszcze bardziej dało się to odczuć we Francji, która wyprzedziła Anglię, opowiadając się za niepodległością Polski. Tam też, do Paryża, przeniósł Dmowski swą kwaterę główną.

Na terenie Londynu wypłynął wtedy, jako doradca Foreign Office'u w sprawach polskich hr. Jan Horodyski, lansujący koncepcję oddzielnego traktatu pokojowego z Austrią i opowiadający się za akcją zmierzającą do wywołania powstania przeciw Habsburgom w krajach monarchii austro-węgierskiej. W memorandum z 31 sierpnia 1917 opowiedział się on zdecydowanie przeciw „aktywistom" Zaleskiego. Akcja jego znalazła praktyczny wyraz w uznaniu komitetu paryskiego Dmowskiego za oficjalne przedstawicielstwo Polski i nawiązaniu współpracy z hr. Wład. Sobańskim, jako przedstawicielem tego ugrupowania. Wywołało to protesty ze strony „starej" emigracji — a co więcej, znalazło wyraz w ostrym artykule *Manchester Guardian*'a z 22 października 1917. Zbiegło się to z dostarczeniem władzom brytyjskim nowego wykazu „osób uczciwych w życiu prywatnym" ale sprzyjających Mocarstwom Centralnym i pacyfistów (Zaleski i Reichel), „zbolszewizowanych Żydów" (L. Rajchman i Witenberg) itp. Prof. Davies uważa, iż wykaz ten sporządziła policja brytyjska na podstawie informacji otrzymanych od Komitetu Dmowskiego. Odpowiedzią z kół Zaleskiego był niezręczny raport „hr. Rosco de Bogdanowicza", uznanego przez Foreign Office po prostu za nieszkodliwego „maniaka". Rozgrywki w obozie polskim przybierały na sile. 17 maja 1918 biura Komitetu Dmowskiego zniszczył wybuch bomby.

Plany Horodyskiego były w międzyczasie przedmiotem dyskusji na najwyższym szczeblu — rozważano je np. na posiedzeniach gabinetu brytyjskiego w czerwcu 1918 roku. Obalili je Lord Derby i Lord Curzon, którzy odnieśli się do osoby Horodyskiego bardzo krytycznie i wiązali jego przeszłość z pogłoskami o skandalach finansowych w Stanach Zjednoczonych, w które miał być wmieszany. Uznano go za *risk*.

Na widownię wrócił wtedy przywrócony do łask August Zaleski. W kołach Foreign Office'u wytworzyła się opinia, że popierając Dmowskiego „stawiano na złego konia". Wyprawiono wówczas Zaleskiego do Szwajcarii, którą opuścił w roku 1916 z „wilczym biletem", a do której powrócił witany oficjalnie

przez posła brytyjskiego w Bernie. W drodze powrotnej utknął jednak na długo na granicy, gdyż władze francuskie odmówiły mu wizy tranzytowej. Po listopadzie 1918 roku znalazł się na nowo w Bernie — w charakterze pierwszego przedstawiciela dyplomatycznego Rzeczypospolitej Polskiej. Sympatie prof. Davies'a są zdecydowanie po jego stronie, aczkolwiek dostrzega pewne wady charakteru i błędy w postępowaniu (str. 70: „Byłoby błędem scharakteryzowanie go li-tylko jako 'tajnego agenta'. Był na skromną miarę politykiem *(modest politician in his own right)*".

W konkluzji artykułu prof. Davies wypowiada pogląd, że perypetie lat wojennych nie stworzyły przychylnego klimatu dla sprawy polskiej i odbiły się fatalnie na stanowisku Anglików na Konferencji Wersalskiej. Stosunki angielsko-polskie nacechowane były nieufnością i niechęcią wtedy nawet, gdy „anglofil" Zaleski był polskim ministrem spraw zagranicznych a ambasadorami ludzie „o ogromnym czarze osobistym" uznawani jednak jedynie za „dobrych podwładnych złych panów".

Prof. Davies sądzi, że u podłoża tych uprzedzeń było rozbicie i wielokierunkowość dążeń polskich w Anglii w czasie wojny i antysemityzm kół Dmowskiego. Nie ukrywa jednak, iż omyłki popełniane były przez obie strony: angielską i polską.

Artykuł prof. Davies'a wywołał ogromne zainteresowanie w polskich kołach politycznych Londynu, także skłóconych i także traktowanych zmiennie przez przyjaciół brytyjskich. Punktem wyjścia wszelkich przyszłych dyskusji będzie analiza cytowanych przez prof. Davies'a dokumentów. Ułatwi ją fakt, iż profesor podaje dokładnie sygnatury cytowanych przez siebie aktów.

M. DANILEWICZOWA

Uwagi Czytelnika

Pierwsza wiadomość o książce Roya Miedwiediewa ukazała się na cztery lata przed jej opublikowaniem. W swoich „Rozmyślaniach o postępie, pokojowym współistnieniu i wolności intelektualnej" akademik Sacharow napisał: „Głęboka analiza genezy i przejawów stalinizmu zawarta jest w podstawowej (tysiąc stron) monografii R. Miedwiediewa. To wybitne opracowanie, napisane z pozycji socjalistycznych, marksistowskich, niestety do tej pory się nie ukazało".

W grudniu 1971 roku książka Miedwiediewa ukazała się w

języku angielskim[1]. Redaktorzy skrócili nieco rękopis, wykreślając wiele interesujących fragmentów wspomnień więźniów stalinowskich łagrów. Ale i w skróconej formie monografia liczy przeszło 600 stron dużego formatu. Początkowo Miedwiediew zatytułował swoją książkę „Przed sądem historii", później jednak, za namową przyjaciół, zmienił tytuł na bardziej skromny „Niech historia osądzi. Pochodzenie i następstwa stalinizmu".

Nim zaczniemy mówić o książce, warto powiedzieć kilka słów o autorze. Roy Miedwiediew i jego brat — bliźniak, Jaurès, są niezwykłym fenomenem w historii sowieckiej myśli społecznej. Synowie starego bolszewika, profesora marksizmu-leninizmu, który zginął w 1937 roku, już przeszło dziesięć lat bracia Miedwiediew zaopatrują *Samizdat* w niezwykle interesujące teksty. Dobrze znana jest książka Jaurèsa Miedwiediewa, z zawodu biologa, pt. „Wielkość i upadek T. D. Łysenki", poświęcona nieprawdopodobnej historii triumfu pseudo-nauki w XX wieku; w ostatnich latach Jaurès przekazał *Samizdatowi* dowcipną analizę działalności sowieckiej cenzury pocztowej, zatytułowaną „Tajemnica korespondencji korzysta z ochrony prawa", oraz pracę o międzynarodowej współpracy uczonych i przeszkodach stawianych jej przez rząd sowiecki. W końcu 1970 roku obaj bracia opowiedzieli w książce pt. „Kto zwariował?" historię internowania Jaurèsa w klinice psychiatrycznej i walki o jego uwolnienie (prowadził tę walkę, która zakończyła się zwycięstwem, Roy z pomocą poważniejszych sowieckich uczonych). Roy Miedwiediew — z zawodu historyk i pedagog — od 1962 do 1968 roku pracował nad książką o stalinizmie.

Działalność publicystyczna braci Miedwiediew jest interesująca nie tylko dzięki bogactwu dostarczanych przez nich informacji, lecz również jako najpełniejsza wykładnia poglądów sowieckich reformatorów, stojących twardo na gruncie obrony interesów partii komunistycznej i sowieckiego socjalizmu. Obrony przede wszystkim przed stalinowską deformacją. Książki Miedwiediewych, a w pierwszym rzędzie „Niech historia osądzi", są ciekawe i mają duże znaczenie, ponieważ wyrażają poglądy określonej grupy sowieckiej elity rządzącej. W opublikowanej w *New York Times* recenzji z książki Roya Miedwiediewa zapewniano, że co najmniej jeden członek Politbiura popierał sowieckiego historyka. Wiadomo, że przedłożył on swoją książkę Komitetowi Centralnemu, który wprawdzie nie dał zezwolenia na jej publikację, ale jej nie potępił. W przedmowie Roy Miedwiediew pisze: „Choć w czasie ostatnich sześciu lat wielokrotnie informowałem przeróżne oficjalne czynniki o charakterze i treści tej pracy, nie otrzymałem ani pomocy, ani dyrektyw, ani od nich, ani też od innych organizacji, ale i nie spotkałem się w czasie mojej pracy nad książką z żadnymi trudnościami, czy przeszkodami ze strony czynników oficjalnych".

1. Roy A. Miedwiediew: *Let History Judge.* The Origins and Consequences of Stalinism. Alfred A. Knopf, New York, 1971.

Jeśli przypomnimy sobie, że w wywiadzie udzielonym niedawno dziennikarzowi zagranicznemu, Sołżenicyn skarżył się, że nie ma dostępu do archiwów dotyczących roku 1916-go, że uczestnikom wypadków sprzed lat prawie sześćdziesięciu zakazano z nim rozmawiać, zrozumiemy znaczenie „neutralnego" stosunku czynników oficjalnych do pracy Miedwiediewa.

W książce zużytkowane zostały materiały pochodzące z archiwów niedostępnych dla historyków, w tym teksty nigdy dotąd niepublikowane, jak również wspomnienia starych bolszewików, też w większej części niepublikowane. Nie znaczy to, że Miedwiediew pisze o wypadkach nikomu przedtem nieznanych. Jeśli nie liczyć nowych szczegółów o zorganizowanym przez Stalina zabójstwie Kirowa, szczegółów związanych ze stłumionym buntem delegatów na XVII zjazd partii przeciw Stalinowi, oraz wielu drobnych cech charakteru Stalina, przekazanych przez ludzi, którzy blisko znali „wodza całej postępowej ludzkości", to Roy Miedwiediew niewiele dodaje do tego, co o latach „wielkiego terroru" napisali: Robert Conquest, Borys Nikołajewski i Abdurachman Awtorchanow. Nie można jednak zapominać, że Miedwiediew napisał swoją książkę dla czytelników sowieckich, odgrodzonych od prawdziwej historii swojego kraju gigantyczną, papierową kurtyną kłamstwa i falsyfikacji.

Książka „Przed sądem historii" jest niezwykle ciekawa i z innego względu. Miedwiediew twierdzi, że „zagraniczna burżuazyjna literatura o Stalinie i historii KPZS ma niewielką wartość historyczną, gdyż, mimo pozorów obiektywizmu, burżuazyjni historycy analizują zbrodnie Stalina z pozycji jawnie antysowieckich". Książka historyka, stojącego na „pozycjach jawnie prosowieckich", w pełni potwierdza wszystko to, co o zbrodniach Stalina napisali „burżuazyjni historycy", dodając często fakty i szczegóły, o których nikt z nich nie zdecydował się wspomnieć z uwagi na ich potworne okrucieństwo. Nie od razu uwierzono w hitlerowskie bestialstwo. Trzeba było nie tylko zeznań naocznych świadków i widoku gór trupów w uwolnionych obozach koncentracyjnych, lecz również dokumentów. Z jeszcze mniejszą chęcią „opinia społeczna" przyjęła informacje o bestialstwach stalinizmu. Do zeznań naocznych świadków odnoszono się z nieukrywanym niedowierzaniem, podejrzewając ich o „antysowieckie poglądy". Roy Miedwiediew daje jeśli nie oficjalne, to półoficjalne *imprimatur* wszystkiemu, co pisano o okresie stalinizmu. Wszystko, co napisano — jest prawdą. Więcej — cała prawda jest jeszcze straszniejsza. Zachodni historycy zwykle uważają, że tortury były oficjalnie dozwolone od lata 1937 roku. Miedwiediew przedstawia materiały o torturach, którym poddawano więźniów w 1931 roku. W czasie przygotowań do procesu tzw. Wszechzwiązkowego Biura Mienszewików został aresztowany profesor ekonomii politycznej Rubin, już od dawna nie prowadzący działalności politycznej, ale dobrze znający dyrektora instytutu Marksa-Engelsa, starego bolszewika Riazanowa, osobistego wroga Stalina. Mimo tortur, Rubin odmawiał złożenia zeznań

przeciwko Riazanowowi. W nocy 28 stycznia 1931 roku zaprowadzono go do piwnicy, w której znajdowali się funkcjonariusze więzienni i inny aresztowany, znajomy Rubina. Aresztowanemu oświadczono, że jeżeli Rubin się nie przyzna, to on zostanie rozstrzelany. Rubin nie „przyznał się" i aresztowanego rozstrzelano na jego oczach. Następnej nocy historia się powtórzyła. W obecności Rubina zabito drugiego aresztanta — dwudziestokilkoletniego człowieka. Ta „metoda" była widocznie rozpowszechniona, ponieważ Miedwiediew opowiada, o drugim podobnym wypadku. Żona otrutego przez Berię sekretarza abchazkiego obwodowego komitetu partii, Lakoba, została aresztowana: wymagano od niej potwierdzenia, że jej mąż zamierzał sprzedać Abchazję Turkom. Dumna Gruzinka (mówiono o niej, że pochodzi z książęcego rodu) odmówiła zniesławienia męża nawet wówczas, gdy zagrożono jej zabiciem 14-letniego syna. Chłopiec został zabity. W sybirskim mieście Leninsk-Kuznieck NKWD zaaresztowało 60-ciu chłopców w wieku od 10-ciu do 12-tu lat, oskarżając ich o zorganizowanie „terrorystycznej grupy kontrrewolucyjnej". Po ośmiu miesiącach więzienia i przesłuchań z torturami, dzieci zwolniono i „rehabilitowano". Zastępca naczelnika dalekowschodnich łagrów, Garanin, ustawiał w szeregu chorych i osobiście ich rozstrzeliwał. Za nim szło dwóch żołnierzy, którzy ładowali mu pistolety. Grupa kołymskich działaczy partyjnych, uważając że Garanin i jego szef, Pawłow, przekraczają granicę dozwoloną nawet funkcjonariuszom NKWD, poskarżyła się Stalinowi. Miedwiediew podaje odpowiedź Stalina: „Nie bierzecie pod uwagę trudności w pracy na dalekich budowach i specyfiki pracy Pawłowa. Uważam waszą depeszę za demagogiczną i bezpodstawną. Trzeba Pawłowowi pomagać, a nie przeszkadzać".

Sowiecki historyk pisze: „W latach 1936-1938 Stalin pobił wszelkie rekordy terroru politycznego w historii ludzkości". Miedwiediew twierdzi, że terror stalinowski był straszniejszy od hitlerowskiego. Historycy zachodni, dążąc do „burżuazyjnego" obiektywizmu, niezwykle ostrożnie obliczali ofiary „wielkiego terroru". Miedwiediew potwierdza znane cyfry: od 4-ch do 5-ciu milionów aresztowanych w latach 1936-1939, od 400 do 500 tysięcy rozstrzelanych, zaznaczając że przyjmuje cyfry minimalne. Były dni — mówi historyk — gdy w samej tylko Moskwie rozstrzeliwano do tysiąca ludzi. „Płynęły nie strumienie, a rzeki krwi". Miedwiediew wymienia z nazwiska przeszło siedmiuset przywódców partyjnych, rządowych, przemysłowych, ważniejszych działaczy na polu nauki i kultury, których w tych latach wymordowano.

W książce tej, w oparciu o fakty, z dokumentarną skrupulatnością, pokazano potworny obraz państwa, które dostało się w ręce oszalałego mordercy. Wystarczałoby tego już, by książce Roya Miedwiediewa zapewnić miejsce wśród bardziej znaczących prac historycznych naszych czasów. Ale historyk idzie dalej, stawia zasadnicze pytanie: „Jak to się stało i dlaczego tak się stało?". Zadaje szereg jeszcze innych pytań. Zna wszystkie

pytania. Niestety nie można powiedzieć, aby znał wszystkie odpowiedzi.

Zasadnicza odpowiedź: winien jest Stalin. To Stalin posłużył się niektórymi właściwościami rosyjskiej rewolucji, aby ją wypaczyć, zmienić jej oblicze i charakter, i w wielu rzeczach ją zdradzić. W książce przytoczona jest więzienna rozmowa starego bolszewika i monarchisty. Monarchista, oglądając się wokoło, radośnie zauważa: spełniło się marzenie cara — więzienia nabite są Żydami i bolszewikami. W ciągu dwóch lat — pisze Miedwiediew — NKWD wyniszczyło więcej komunistów, niż w latach podziemia, trzech rewolucji i wojny domowej.

Wszystko to jest dziełem Stalina. Roy Miedwiediew daje niezwykle interesujący wizerunek Stalina, posługując się nieznanymi dokumentami i wspomnieniami. Portret człowieka, opanowanego żądzą władzy, dla której nie powstrzymuje się przed niczym, ale jednocześnie doskonale rozumiejącego z kim ma do czynienia. W 1926 roku, podczas bankietu wydanego z okazji wyznaczenia Kirowa na stanowisko sekretarza leningradzkiej organizacji partyjnej, wszczęto rozmowę o tym, jak kierować partią po śmierci Lenina. Stalin, nie biorący z początku w rozmowie udziału, nagle wstał i przechadzając się wokół stołu, powiedział: „Nie zapominajcie, że żyjemy w Rosji, w kraju carów. Naród rosyjski lubi, aby jeden człowiek stał na czele państwa". „Znamienne — wspomina uczestnik tej rozmowy — że nikomu z obecnych nie przyszło do głowy, że Stalin siebie samego ma na myśli mówiąc o „człowieku stającym na czele Rosji".

Miedwiediew rozumie prymitywizm i jednostronność zwalania całej winy na Stalina. Stara się złagodzić ten pogląd, przyznając, że i partia była w jakimś stopniu winna, skoro przejrzawszy ambicje Stalina, nie zrozumiała że to nie „prawdziwy rewolucjonista". Wspomina również o właściwościach rosyjskiej historii, i stale twierdzi, że Stalin był historycznym przypadkiem który mógł się był i nie zdarzyć, przypadkiem uwarunkowanym istnieniem wielu wrogów rewolucji.

Nadieżda Mandelsztam opowiada w drugim tomie swoich wspomnień, że Osip Mandelsztam, patrząc na tłumy które w styczniu 1924 roku żegnały Lenina, powiedział: „Popatrz, ludzie przyszli poskarżyć się Leninowi na bolszewików". Książka Miedwiedewa skarży się Leninowi na Stalina.

Ale jest to skarżenie się na autentycznego Stalina mitycznemu Leninowi.

◆

W rozdziałach poświęconych pierwszemu okresowi władzy sowieckiej, latom władzy Lenina, można wykryć opuszczenia lub przemilczenia, niekiedy fałszowanie faktów, często twierdzenia w pełni zbiegające się z oficjalnym punktem widzenia. Na przykład powstanie kronsztadzkie w 1921 roku określono jako „Kontrrewolucyjne wystąpienie". Mówiąc o procesie eserów z 1922 roku, Miedwiediew cytuje nieznany dotąd dokument, potwierdzający rolę prowokatorów, ale jednocześnie twierdzi, że Lenin nie miał nic wspólnego z przygotowaniem procesu, że zajmował się tym jakoby Stalin. Znany jest jednak dobrze list Lenina, związany z tym procesem: „Zapłaciliśmy zbyt drogo" — świadczący, że przewodniczący *sownarkomu* uważnie śledził sprawę.

Miedwiediew skarży się ubóstwianemu Leninowi, że Stalin, pracując w ciężkich warunkach, źle wykonywał powierzone mu obowiązki. Bez Stalina Związek Sowiecki rozwijałby się szybciej i lepiej. Mimo to — dowodzi Miedwiediew — „kult osoby Stalina mógł opóźnić, ale nie mógł całkowicie zahamować szybkiego rozwoju społeczeństwa sowieckiego w wielu dziedzinach". I czytamy litanię „sukcesów narodu sowieckiego", która robi wrażenie napisanej przez kogoś innego, ale niewątpliwie została napisana przez autora: „Sowieccy przywódcy partyjni byli aresztowani jako „wrogowie ludu", lecz jednocześnie wszędzie powstawały nowe szkoły, fabryki, pałace kultury. Dowódców wojskowych aresztowano jako szpiegów, ale partia budowała silną, nowoczesną armię. Aresztowano uczonych jako szkodników, ale nauka sowiecka rozwijała się szybko z pomocą partii... W republikach związkowych aresztowano kierownictwo za nacjonalizm, a jednocześnie uciśnione dawniej narody poprawiały swoją sytuację i rosła przyjaźń między narodami Związku Sowieckiego..." A w podsumowaniu: „Naród stawał się coraz bardziej kulturalny i wykształcony. Idee leninowskie przenikały wszędzie; wpływy proletariackie przeniknęły do mas drobnomieszczańskich; autorytet partii komunistycznej zdecydowanie wzrósł".

Ten tekst czytałoby się jak parodię francuskiej piosenki o markizie, gdyby nie był napisany z tak śmiertelną powagą. Miedwiediew w ostatecznym rozrachunku zarzuca Stalinowi radykalizm. Stalin szedł słuszną drogą, ale szedł zbyt szybko, niszcząc wszystkich tych, którzy mogli mu przeszkodzić w przechwyceniu (a potem utrzymaniu) absolutnej władzy.

I tylko w jednej dziedzinie Miedwiediew wyrzuca Stalinowi umiarkowanie — w dziedzinie polityki zagranicznej. Ta część książki posiada, jak mi się wydaje, niewątpliwą aktualność. Wini się Stalina o to, że jego polityka przed wojną światową utrudniła rozszerzenie się komunizmu na inne kraje. Nieprzygotowanie Stalina w początkach wojny i klęski pierwszych lat przyniosły nie tylko nieobliczalne straty narodowi sowieckiemu ale były również przyczyną, że koniec wojny zastał armię sowiecką na Elbie, a nie nad La Manche. Miedwiediew zarzuca Stalinowi, że w 1944 roku nie dał francuskiej partii komunistycznej rozkazu wzięcia władzy w swoje ręce. Jak również, że Stalin „z przesadną uczciwością dotrzymał ustnej obietnicy danej Churchillowi niemieszania się w sprawy greckie", a potem nie pomógł greckim komunistom wziąć władzę w roku 1944. Kryzys berliński i wojnę koreańską Miedwiediew określa jako „rozpoznanie bojem przeprowadzone przez Stalina" i dodaje, że w obu

wypadkach rozpoznanie to „było potrzebne i pożyteczne". Wolno tylko dyskutować, pisze on, czy nie można było przeprowadzić tego rozpoznania kosztem mniejszej ilości ofiar. Za specjalnie poważną pomyłkę Stalina Miedwiediew uważa fakt, że w Azji i w Afryce opierał się on tylko na partiach komunistycznych, nie wykorzystując burżuazji nacjonalistycznej.

Rozdziały poświęcone zagranicznej polityce Stalina można by nazwać programem polityki międzynarodowej tej części „konstruktywnej opozycji", którą reprezentuje Miedwiediew.

Jest również interesujące, że sowiecko-niemiecki układ z 1939 roku Miedwiediew uznaje za konieczny, a jego podpisanie za zasługę Stalina. Mówiąc o tym porozumieniu, historyk sowiecki nie wspomina ani słowem o rozbiorze Polski, chociaż cytuje tajne paragrafy porozumienia (ale tylko odnośnie przerwania antyhitlerowskiej propagandy w Związku Sowieckim).

Akademik Sacharow, określając książkę Roya Miedwiediewa jako wybitną dodaje, że prawdopodobnie on sam „nie doczeka się takich samych komplementów od tow. R. Miedwiediewa, który znajdzie w jego poglądach elementy 'zachodnictwa' ". Porównując poglądy dwóch przedstawicieli opozycji możemy stwierdzić, że godzą się oni w odrzuceniu stalinizmu, różnią się jednak poważnie swym konkretnym programem. „Zachodnik" Sacharow wzywa by iść od stalinizmu *naprzód* w kierunku pokojowego współżycia narodów — demokracji. Rosyjski komunista Miedwiediew wzywa by iść od stalinizmu *w tył* do leninowskiej polityki dyktatury partii i rozpowszechnienia komunizmu w całym świecie.

Praca Roya Miedwiediewa jest niezmiernie interesująca w części poświęconej zdemaskowaniu zbrodni Stalina i niezmiernie pouczająca w tej części, gdzie wyłożony został konkretny program autora. Jest to program „oświeconej" dyktatury komunistycznej, oczyszczonej ze stalinowskiego radykalizmu.

Twórca sowieckiej marksistowskiej szkoły historycznej, M. N. Pokrowski, mówił że historia to polityka rzutująca w przeszłość. Książka Roya Miedwiediewa jest politycznym dokumentem przeprowadzającym rozrachunki z przeszłością z pozycji dnia dzisiejszego i budującym plany na przyszłość.

Adam KRUCZEK

Kronika kulturalna

Introductory Polish

Klemensiewicza i Szobera należało znać omal na pamięć w owych czasach liceum humanistycznego. Potem przyszedł staro-cerkiewny, gramatyka, historyczna i porównawcza, fonetyka z jej wielkimi odchyleniami i studium samego słowa. Nie przypuszczałam, że notatki czynione na wykładach prof. Doroszewskiego staną się dla mnie materiałem najbardziej źródłowym. Wiadomości klasyfikowałam i rejestrowałam w sposób podobny do dzisiejszej metody przechowywania informacji w mózgach elektronowych skąd można je wydobyć wówczas, gdy mają być zastosowane.

Polskiego uczyłam od dawna. Podczas wojny moja najmłodsza siostra, zdolna ponad miarę, posiadająca ten rzadki dar postępowania wedle wskazań wynikających w równej mierze z rozumu jak i z serca, a wówczas mała, niedożywiona, słaba dziewczynka, miała przerwać szkołę. Niesposób było pozwolić sobie na prywatne lekcje. Zaczęłam przekazywać jej wszystkie wiadomości jakie miałam. Nie wiem czy można to nazwać uczeniem, sama bowiem byłam niewiele starsza, a wszystkie problemy narastające piorunująco „udoroślały" mnie absorbując zarazem dużo czasu. Moja pierwsza uczennica czekała na mnie godzinami. Wpadałam do domu po godzinie policyjnej, porządkowałam materiał, który trzeba było jeszcze dostarczyć przechodząc przez przecięcia w siatkach ogródków. Wracałam i siadałam przy piecu natychmiast usuwając się w błogą nirwanę. Rączka dziewczynki delikatnie dotykała mojego ramienia. Zaczynałyśmy pisać i czytać i... znowu zasypiałam. W niedzielę starałam się nadrobić to wszystko. Nigdy nie miałam tak wdzięcznej uczennicy. W upalny lipcowy ranek pojechała do Pani Przełożonej. Zdała. Zdała bardzo dobrze.

Wiele lat minęło od tego okresu. Uczniowie zmieniali się: korpus dyplomatyczny, ambasador, konsul, żona attaché kulturalnego, profesorowie, lekarze, inżynierowie, aż wreszcie zagranica i *college*. Jane, moja pierwsza amerykańska studentka pisze dzisiaj pracę doktorską na Columbia University.

Obecną pozycję uzyskałam zupełnie przypadkowo. „Siadaj pani" zachęciła mnie dotychczasowa instruktorka języka polskiego na tutejszym uniwersytecie; odchodziła właśnie na urlop akademicki i szukała zastępstwa; wręczyła mi dwie listy studentów zarejestrowanych na Polish 101 i 201; dała mi swój egzemplarz podręcznika.

Wykłady dla początkujących zlecono mi codzienne. Zabrałam się do ich przygotowania. Wychodzę z założenia, że bez względu na to ile lat uczę, każdy wykład musi być niepowtarzalny, oryginalny w swoim założeniu i co najistotniejsze, należy go doskonale przygotować. Czym bardziej początkujący poziom, tym wymagający więcej wysiłku, opracowania i skupienia.

Sala mieści się w Centrum Wykładowym; ciemna klasa bez okien. Niezliczone lampy fluoryzujące rozjaśniają ją do białości za jednym naciśnięciem kontaktu. Tablice przedstawiają powierzchnię tak olbrzymią, że oko profesorskie z lubością na nich spoczywa. Wszyscy znamy to specyficzne, jedyne uczucie, gdy wykładowca po raz pierwszy staje wobec studentów, których oczy bardzo badawczo, na pozór spokojnie i zimno patrzą — „więc to jest osoba, która wykoncypowała sobie, że ich, właśnie ICH może czegoś nauczyć. Naiwna". To pierwsze wzajemne lustrowanie staje się zalążkiem obopólnego stosunku. W takich sytuacjach przedłużam ów moment lustracji, po czym bardzo wolno zaczynam mówić po angielsku. Proszę, by zamknęli książki i siedli wygodnie. Opowiadam o swoich studenckich czasach, gdy tak samo, uważnie patrzyłam na profesorów; jednych lubiłam bardziej, drugich mniej; jedne wykłady były wielkim wyżyciem intelektu, inne były nudne, potwornie nużące; że w końcu rozumiem ich doskonale, bo syn mój jest studentem trzeciego roku i prawdopodobnie w tej chwili siedzi w sali wykładowej.

Powiedziałam im o sobie kilka zdawkowych faktów, potem mówiłam o żywotności języka, łatwości przyswajania obcych słów, bogactwie wyrażeń, aż wreszcie dodałam, że polskiego uczę ponieważ kocham ten trudny język.

Krystyna rozumie wiele, trochę mówi, ale chce nauczyć się języka od podstaw; była na krótkiej wycieczce w Krakowie, o który „zawadziła" wracając z Pragi. Krysia jest bardzo ładna, wygląda jak cepeliowska laleczka: jasne włosy, jasna cera, duże niebieskie oczy. Studiuje socjologię. Pozostały jej jeszcze dwa

lata do dyplomu. Rodzice urodzili się w Connecticut — ich rodzice byli Polakami.

Cathy nosi polskie nazwisko. Dziadek urodzony w Polsce; babcia natomiast nigdy w „Starym Kraju" nie była. Cathy nie mówi, nie pisze i nie czyta po polsku, ale bardzo kocha dziadka i chce mu zrobić przyjemność. „Dżadek" nazywa ją „Kaszia"; prosi, by ją tak nazywać. Została po wykładzie. Ćwiczyłyśmy wymowę „Kasia" i „kasza" — rozumie znaczenie słów, ale fonetycznie rozróżnić ich nie potrafi.

Sharon, ciemna blondynka o zielonych oczach nie zna języka wcale. W gimnazjum uczyła się francuskiego, teraz na uniwersytecie musi dopełnić jeszcze rok czy dwa francuskiego i dwa lata innego języka. Polski — świetnie; pasuje do planu; tatuś będzie mógł pomóc; ojciec Sharon jest adwokatem ożenionym z Irlandką; oboje ukończyli uniwersytet i pracują zawodowo. Sharon często jeździ do dziadków w Stanie Vermont gdzie jest portret człowieka, o którym tyle tylko wie, że to antenat, jakiś powstaniec, ale gdzie walczył, kiedy i o co tego nie wie; wątpi w stuprocentowość polskości antenata, bo na imię mu było Klemens a nie Joe czy Stanley czy Walter. Sharon jest doskonałą studentką: inteligentna, obowiązkowa i akademicko dojrzała — zda wszystkie wymagane egzaminy a potem skoncentruje się na historii sztuki.

Zosia i Józio siedzą w środkowym rzędzie. Zosia przyszła do mnie przedstawiając się — dumna swej polszczyzny — „ja sie zwie Zosia a to je mój kuzyn Józio". Zosia rozumie prawie wszystko. Józio nie. Wychowywał się w internacie a potem był w wojsku. Zapomniał języka, ale zapytany „kto w domu mówi najlepiej po polsku?" odparł bez wahania „moje tato" — to było tego dnia, gdy stosowaliśmy zaimki i przymiotniki do rzeczowników rodzaju nijakiego kończących się na „o" lub „e".

Basia piękna, wysoka szatynka, dobrze ubrana, wymawia poprawnie, rozumie wiele i często zgłasza się do odpowiedzi. Przyszła kiedyś do gabinetu, aby porozmawiać. Usiłowała mówić po polsku, ale brakowało jej słów a chciała dużo powiedzieć więc zaczęła mówić po angielsku. Dzieliła ze mną swoje myśli i uczucia. Miała dziesięć lat, gdy przyjechała spod Rzeszowa, z zabitej, biednej wsi, do dużego Buffalo. Jeszcze dzisiaj pamięta wyprawę do odległej Warszawy na *interview* z konsulem; tak — pamięta dobrze, gdy wzięto odciski palców rodzicom i kazano potem umyć ręce; ojciec zebrał całą rodzinę i poszli myć ręce... nad Wisłę. Pani tłumacz bardzo denerwowała się na tatusia, nikt bowiem nie mógł wskazać co się z nimi stało: sprawdzono bezskutecznie wszystkie pomieszczenia z umywalniami.

Ojciec pracował w tartaku prawie od dziecka. Skończył zaledwie dwie klasy szkoły powszechnej; jakaś ciotka zarejestrowała go na wyjazd w 46 roku i właśnie ta rejestracja pozwoliła im po latach wyjechać. Duży świat okazał się zimny i jakby nieprzejednany. Polonia ignorowała biedaka obarczonego liczną rodziną — on też z biegiem czasu przestał „do swoich" lgnąć. Zaczęło mu imponować wszystko co amerykańskie. Pracował na budowie a żona „klinowała i waksowała flory". Kaleczyli język, ale dorabiali się majątku: dom, jeden samochód, drugi samochód, mała farma za miastem dokąd wyjeżdża się w upalne a lepkie dni parnego lata. Rodzice postanowili dać dzieciom to, czego sami nigdy nie mieli: wykształcenie. Basia jest na historii. Frapowało ją Średniowiecze, ale na wykładach Historii Nowożytnej dochodziło do „krótkich spięć", kwestionowała interpretację faktów, aż w rezultacie ze Średniowiecza przerzuciła się na Europę Wschodnią. Polski jest jej potrzebny. Basia bardzo kocha swoich rodziców, Język polski, którego, *nota-bene,* nigdy poprawnie nie znali, zdążyli złożyć w niepamięć a znajomości angielskiego nigdy nie posiedli. Basia ma żal do rodziców o zaniedbanie języka; wstydzi się ich spolszczonego angielskiego; oni porozumiewają się między sobą jakimś im tylko zrozumiałym żargonem. Znany nam jest wszystkim „galimatias" etniczny Ameryki, przeto napotkać można, u osób przejawiających indywidualność, ciągłą dążność do wyodrębnienia się z tej gigantycznej grupy ras, klas społecznych, wierzeń religijnych i politycznych, i odnalezienia własnej przynależności. Basia chce, aby w jej akademickim środowisku wiedziano, że jest Polką. Pracę będzie pisała o Polsce — może o „Młodzieżowym Marcu" a może o „Grudniu na Wybrzeżu".

Joyce jest najmłodszą studentką. Robi wrażenie „zastraszonej", niepewnej a ciekawej jak to też ten polski „wygląda". Nosi piękne polskie nazwisko. Tatusia nazwisko. Myśli jej często biegną do tego szczęśliwego okresu, gdy tatuś jeszcze żył; brał ją malutką na ręce i mówił językiem, którego już dzisiaj ona nie zna wcale. Tatuś zmarł „z mrozu" — jak mówi matka, Włoszka, która wyszła powtórnie za mąż. Nowa rodzina, małe dzieci — wszystko to pozwala zapomnieć o przeszłości. Tylko dla Joyce pozostało wspomnienie nadal żywe i tak samo bolesne. Kilka starych notesów, zapisanych drobnym pismem, pilnuje, przekłada z miejsca na miejsce i czeka na chwilę, gdy będzie mogła odcyfrować to wszystko, tam zawarte. Po pierwszym wykładzie zadała mi pytanie — jedno tylko bez wstępnych rozmów — „czy pani zna Sybir?" Nie powiedziała „Syberię" — co dziwnie zabrzmiało w jej angielskim pytaniu. Na moją przeczącą odpowiedź potrząsnęła tylko główką i wyszła jakby zawiedziona.

Vicky przyszła ostatnia. Uczy się doskonale. Śmieszna jest z tym swoim zastanawianiem się nad odpowiedzią, która, *nota-bene,* zawsze jest poprawna. Ona tak jak Zosia i Józio przyjechała tutaj z Obozu dla Przesiedleńców (DP).

Robert jest już na trzecim roku języka rosyjskiego. Polski jest wymaganym, drugim słowiańskim językiem. Sam pochodzi ze starej irlandzkiej rodziny, od dawna osiadłej w USA. Od pierwszego wykładu zaznaczył, że z Polską nic go nie wiąże. Wybitnie inteligentny, o nienagannych manierach i wspaniałym poczuciu humoru, stosunkowo rzadkim u Amerykanów. Uśmiechem i urodą zdobywa sobie wielką popularność wśród studentek.

Ann, której szkoccy dziadkowie nie znosili upałów Texasu i wywędrowali do Colorado, zakochała się w studencie z Poznania, którego spotkała we Francji w lecie. Pokaźna ilość listów czeka na przeczytanie. Ann wie, że listy są czułe, prywatne, bardzo osobiste; nie będzie ich dzieliła z żadnym tłumaczem z Nadną *Polish speaking* osobą; Ann nauczy się języka i sama będzie mogła listy przeczytać i na nie odpowiedzieć. „Zbisiek" już dostał magisterium. W czerwcu mają znowu spotkać się na południu Francji.

A Arnold? Właśnie ten Arnold... Wysoki, młodziutki blondyn o wspaniałych zębach, niebieskich oczach i ujmującym sposobie bycia. Pra-pra... dziadek osiadł na Manhattanie i tak już związali się z tą dzielnicą Nowego Jorku. Na przekór wszystkim doktorom, profesorom i adwokatom rodziny, którzy otrzymali swe wysokie akademickie stopnie w najsławniejszych uczelniach świata, Arnold wstąpił na Uniwersytet Stanowy. Nie będzie ani adwokatem, ani lekarzem. Tak; skoncentruje się na naukach humanistycznych, ale na jakich? t e g o jeszcze nie wie. Zresztą uniwerek ma tyle powabów, tyle wolności... a do tej pory był pod stałą kontrolą rodziców, wychowawców i nauczycieli w owej ekskluzywnej szkole. Zawsze był wzorowym uczniem — teraz będzie czynił wszystko na przekór. Kultura, ta stara „zakorzeniona" ogłada umysłu i bycia — przebija przez tę przekorę mimo wszystko.

„A dlaczego chcecie państwo uczyć się polskiego?"

Studenci słowiańskiego pochodzenia mają zrozumiałe powody; Robert specjalizuje się w rosyjskim i musi znać drugi język słowiański; Ann jest zakochana; ale Arnold...? Chciał czymś zaimponować rodzinie, ojcu, wujkom, którzy posiedli wiedzę; chciał osiągnąć to, czego żaden z nich nie studiował. Zapytany odpowiedział: „Pragnę nauczyć się EGZOTYCZNEGO (!) języka".

Już po pierwszej lekcji Arnold był jakiś zawiedziony. Nie wiem; może wyobrażał sobie, że wpadnę do sali w krakowskim wianku i łowickich pasiakach, połykając żywiecką kiełbasę i krzesząc hołubce. Rozczarowanie doszło do punktu kulminacyjnego, gdy zobaczył polski alfabet — taki z w y c z a j n y, łaciński alfabet. Nie mógł pojąć dlaczego „ja" pisze się małą literą. Twarz jego rozchmurzyła się tylko wtedy, gdy jego imię „Arnold" napisałam tak samo po polsku i to przez duże „A". No i tak zaczął się „lementos" jak mawiała stara sprzątaczka u Fary w Łowiczu wręczając elementarz wnuczce.

Rzeczowniki rodzaju nijakiego zawierają najmniej wyjątków, podążają za regułą i w rezultacie są najbardziej przyswajalne dla początkujących elewów języka polskiego. Czas biegnie szybko; codzienne lekcje, zajęcia lingwistyczne i konferencje są częścią stałego rozkładu zajęć. A więc była już liczba mnoga rzeczowników rodzaju nijakiego, zaimki, przymiotniki — męskie i nijakie — teraz są na warsztacie rzeczowniki rodzaju męskiego; jesteśmy właśnie przy ich odmianie. Narzędnik należy do stosunkowo łatwych przypadków jeżeli chodzi o jego tworzenie, ale zastosowanie nie przemawia do logiki amerykańskich studentów. Zaczynają jednak osłuchiwać się z pytaniem zadawanym przez nauczyciela i w rezultacie usłyszawszy „kim jest pani brat?" odpowiadają poprawnie „mój brat jest doktorem, adwokatem, studentem, etc."; Józio stara się mówić poprawnie. Zapytany „kim jest pański ojciec?" odpowiedział bez wahania, powoli i bardzo wyraźnie „moje tato jest najlepszym tatem".

Joyce podeszła do tablicy śmiejąc się nerwowo; dyktowałam, przesadnie wymawiając słowa „mam", „mama", „kot", „mało", „masło", „pies", „okno", „mąka", „kasza", etc. etc. Największą trudność znajdują studenci w wymawianiu spółgłosek; „w" stanowi jedną z nich — uzmysłowiwszy sobie fakt, że alfabet polski nie ma „v" (poza słowami zapożyczonymi w ich oryginalnej pisowni) a owo „v" = „w" więc słysząc „w" wymawiane między dwiema samogłoskami — „nawa", „krowa", „kawa" — są w stanie napisać poprawnie dyktowane słowa; „w" występujące po spółgłoskach bezdźwięcznych i tym samym tracące swoją dźwięczność staje się problemem fonetycznym nie do pokonania. Studenci przyzwyczaili się do mojej wymowy, zapamiętują pewne dźwięki i są w stanie — z biegiem czasu — przełożyć je na język liter. Staram się przyprowadzać co najmniej raz na tydzień osobę mówiącą dobrze po polsku, aby dać moim studentom „osłuchanie się" z trochę inaczej wymawianą a tą samą spółgłoską.

Arnoldowi muszę poświęcać więcej czasu; ostatnio przynosi do klasy magnetofon, nagrywa cały wykład a potem prosi o dodatkowe przeczytanie słówek. Czynię to z radością, wymawiając słowa bardzo wyraźnie i bardzo wolno. Często proszę, by Zosia czy Basia powtórzyły te słowa głośno, parę razy, aby cała klasa przyzwyczaiła się do dźwięku. To daje dobre rezultaty. Wydaje mi się, że dominującym czynnikiem jest czynnik psychologiczny. A mianowicie: studenci znają się wzajemnie, są rówieśnikami, mówią wszyscy tym samym (angielskim) językiem tzn. nie mają „akcentu pochodzenia" — ja natomiast jestem cudzoziemką, starszą wiekiem i pozycją. Jestem też autorytetem przez pięćdziesiąt minut trwania wykładu, dlatego *a priori* zakładają, że sami nie będą w stanie tak wymawiać słów jak czyni to wykładowca. Pozostaje jeszcze kwestia języka: moim językiem ojczystym pozostanie język polski i jego wpływ na wymowę angielskiego, bez względu na to ile prac napisałam po angielsku i do jakiego stopnia potrafiłam ten język opanować. Studenci, słysząc koleżankę czy kolegę wymawiającego poprawnie trudne słowo słowiańskie starają się to słowo równie poprawnie powtórzyć — było ono bowiem wymówione przez „jednego z nich".

Kierownik wydziału dał mi nazwisko i adres nowej studentki, która miała przyjść jako wolny słuchacz; do mnie należała decyzja na jakie wykłady ma uczęszczać. Wolny słuchacz — świetnie! Przyszła; pani, której dzieci mają już swoje dzieci; była w Polsce we wrześniu, ale nie mogła wysłowić się ani w restauracji, ani w sklepie czy na stacji; urodzona w Ameryce, chciała poznać kraj i krewnych nieżyjącej już matki. Z Polski wróciła zakochana w Ojczyźnie matki. Uczy się — uczy się bardzo pilnie, bo musi pisać listy do nowo-odkrytych krewnych a w przyszłym roku znowu pojedzie i będzie musiała dawać sobie radę sama.

Po wykładzie podeszła do mnie, przywitała się i *stante pede* zaczęła mówić po polsku: „ino jo ni cytoć ni pisoć nie umie a to co zeście tu pani mówiła w klasie to nie znam; wicie, jo nie barzo rozumie co to so te akuzatywy i te insze słowa; no powidz pani, jo to OK mówie; wim o co chodzi ino te uczne nazwania to nie znam; jo se tak myslała co by ja chciała tak indywidziualnie uczyć sie z wami pani; macie kare no to moglibyście pani do mnie przyjechać to ino tyli maluśki kawałek od tego eksyta ćwortego; moja stryta to zaro na prawo od ty ewni a dom na lewo, taki bury i biały, moja kara taka mlekowa tam zawsze parkuje; to powidzcie pani, przyjdziecie?". Śmieszny kontrast; po angielsku wspaniale mówi; wprost można ulokować „babkę" na piedestale lingwistycznym, ale gdy tylko zaczyna mówić po polsku to wali się z tego piedestału językowego na łeb na szyję. Uczy się bardzo pilnie. Musi pisać listy do „ciotków i stryków" a w przyszłym roku znowu pojedzie i już

sama bez niczyjej pomocy, bez tłumacza, poprosi o sadzone jajka a kelnerka nie będzie musiała jej dyskretnie poprawiać, że nie „jajca" a jajka. Nareszcie przestudiuje kartę, bo tyle potraw zawierało menu a ona nic a nic nie rozumiała a taką miała ochotę spróbować wszystkich zakąsek. Do klasy przychodzi codziennie i słucha i pisze i daje mi jakieś wypracowania do poprawiania.

Powiedziałam moim studentom na początku roku, że przez jakiś czas nie będą musieli odrabiać lekcji w domu jeśli będą ze mną współpracowali na wykładzie i będą uważali na każde słowo. Rezultat doskonały.

Miałam dużo trudności z Arnoldem. Zdecydował widocznie, że egzotyka, której szukał nie sprostała jego oczekiwaniom — przestał (a może nigdy nie zaczął) uczyć się. Nie „było go w klasie" — siedział zatopiony we własnych myślach; raz czy dwa starał się coś przeczytać, *nota-bene,* dławiąc się ze śmiechu. Robiłam co mogłam; poświęciłam mu dużo czasu aż ostatecznie postarałam się przeczekać leniwy okres. Przestałam Arnolda pytać na lekcji. On przychodził, siadał z daleka od reszty studentów i bawił się piórem czy jakąś kartką papieru; tak przeszły dwa pełne tygodnie — dziesięć dni intensywnej nauki. Pokonywaliśmy właśnie „pan" i „pani" oraz „państwo", mianownik, biernik i wołacz rzeczowników rodzaju nijakiego, formę twierdzącą i przeczącą czasowników, dopełniacz przy przeczeniu itd. Przemyślawszy całą sytuację postanowiłam jednak rozmówić się z Arnoldem, tym bardziej, iż reszta zaczynała niecierpliwić się gdy jemu tłumaczyłam to, co przyswojone zostało dawno i łatwo. Tego dnia wszystko szło jakoś opornie. Piątek. Ostatni wykład tygodnia. Bardzo chciałam spędzić *week-end* z moim synem Michałem. Wykłady, przeze mnie prowadzone i te na które uczęszczam, zebrania, komitety, poprawianie ćwiczeń, godziny spędzane w bibliotece, wszystko to odsuwa mnie od niego. Stajemy się tylko użytkownikami mieszkania, które przybrało cechy hotelu — a do tego użytkownikami, którzy rzadko spotykają się w przejściu do kuchni czy łazienki. Właśnie chciałam „odbębnić" ten piątkowy wykład. „Jak brzmi mianownik liczby mnogiej rzeczownika „dziecko". Twarze pokrył specyficzny wyraz niewiedzy: Zosia schyliła się po ołówek, Robert nerwowo szukał zapałek a Józio jak patrzył na sufit tak zastygł w kontemplacji. Tyle razy już mówiłam, a klasa nie pamięta. Ciszę przerwał głos Arnolda: „dżeczi!". Nie okazując zdziwienia zadałam jeszcze jedno pytanie „oko"? — już teraz głośno i wyraźniej usłyszałam głos Arnolda „oczi", „ucho?" — „uszi". Arnold wyprostował się i jasno patrzył na mnie i na całą klasę. „Prosiłbym o rozmowę" powiedział stanąwszy w drzwiach gabinetu,

który dzielę z zasłużonym starym profesorem. „Bo widzi pani, bo ja tak pomyślałam sobie, że pani tyle z siebie daje że moje postępowanie po prostu nie jest *fair* w stosunku do pani i całej klasy, czy mogłaby mi pani pomóc, pragnąłbym nadrobić to wszystko. I tak oto Arnold stał się najbardziej obowiązkowym studentem.

„Pan" i „pani" nadal nastręczają wiele kłopotu. Moja „cepeliowska" Krysia zgłosiła się do odpowiedzi; ona też chciała pokazać klasie, że się stara, że umie, więc zaczęła powoli i głośno: „my też m ó w i *e* m y KUMIE i KUMOŚKO *for* pan i pani — *don't we?*". Wszelkie doświadczenia z dziedziny dyplomacji stają się w takich momentach cennym atrybutem pomagającym cało wyjść z nieprzewidzianych opresji lingwistycznych.

Zapał moich studentów działa cuda. CHCĄ wiedzieć, chcą mówić, chcą poznać Polskę. Interesują się polską młodzieżą; zaczęli od sondowania moich synów: czy mówią poprawnie, czy czytają, czy piszą czy... mówią, że są Polakami, czy tęsknią za Polską. Odpowiedziałam wówczas, że nasza kultura i nasza tradycja są tak stare i tak wspaniałe, iż trudno nie przyznawać się do nich. I tutaj dygresja: mamy tendencję popadania w kompleks niższości co w multum wypadków spowodowane jest kopiowaniem i dążnością do osiągnięcia modelu amerykańskiego; ten wysiłek, graniczący z zaślepieniem, jest tak wielki, tak niewspółmierny, że przy najmniejszym niepowodzeniu skłonni jesteśmy zrzucać wszystko na karb pochodzenia etnicznego; albo — oczarowani wszechmocą pieniądza rezygnujemy bardzo skwapliwie z wysiłku intelektualnego, studiów, osiągnięcia zawodu, kwalifikacji a wyposażywszy żonie kuchnię we wszystkie możliwe zdobycze techniki, spoczywamy na laurach pseudo-kultury. Moje „wąskotorowe" uwagi nie godzą w tych, którzy z tobołkami przybijali do Ellis Island a w nas, których z Polski wygnała wojna. Uważam, że naszym zadaniem winno być utrzymywanie kultury polskiej na powierzchni. Przy odrobinie wysiłku intelektualnego (ale za to z maksimum dyscypliny osobistej) człowiek jest w stanie bardzo wiele osiągnąć. Nie spotkałam się z żadnym wypadkiem traktowania mnie w taki czy inny sposób wynikający z faktu, że jestem Polką — to znaczy: moja postawa i duma, które przebijają w głosie gdy *podkreślam,* że jestem Polką, nie pozwalają ludziom na jakiekolwiek dygresje czy komentarze. Nie mam zwyczaju p ł a s z c z e n i a się. Pracowałam kiedyś w biurze gdzie nie było ani jednej osoby polskiego pochodzenia. Wszyscy byli mili i uprzejmi dla mnie — za co płaciłam tą samą monetą. Stosunki nasze nigdy nie przekraczały terenu biura. Z biegiem miesięcy przeniesiono mnie na bardzo odpowiedzialne stanowisko. Jakaś brunetka podeszła do mnie w przer-

wie na kawę i mieszając słowa polskie z angielskimi wyraziła radość wszystkich pracowników polskiego pochodzenia z awansu, który przypadł Polce — właśnie mnie. Do nas powoli dołączali się inni pracownicy, aż grupka stała się zgromadzeniem pokaźnych rozmiarów. Więc ci wszyscy Murphy, O'Brian, Mastroianni czy Cardigan kryli w sobie kawałek „rogatej" polskiej duszy. Ujawnili się tylko dlatego, że ja przekroczyłam granicę zaczarowanego Rubikonu jakim była grupa niewielu z nas posiadających wykształcenie, zawód i uznanie. Przychodzili potem do mnie po różne rady, rozmowy, pogawędki. Naprzód nieśmiało a potem coraz otwarciej przyznawali się do swojego pochodzenia. Dostaję od nich listy — dzieci ich uczą się polskiego.

Sharon znosi mi sterty prasy polonijnej — luźne kartki powielanych maszynopisów. Studenci zadają liczne pytania, a ponieważ przyrzekłam pierwszeństwo odpowiedzi na pytania zadawane po polsku więc dukając, wolno odczytują swoje pytania. W rezultacie godzina wykładowa przeciąga się do rozmów na korytarzu. Piątki przeznaczyłam na rozmowy o Polsce. Było więc „miasto i wieś", „posiłki i potrawy", „uniwersytety", „Częstochowa" — właśnie Częstochowa. W któryś tam wtorek przewodniczący naszego wydziału wszedł do sali wykładowej z Murzynem. Wiem, że są stypendyści z Afryki w Polsce, ale amerykański Murzyn? Zaskoczeni patrzyliśmy na naszych niespodziewanych gości... Murzyn postawny, przystojny młody człowiek przyniósł jakiś zrolowany pakunek, który zaczął bardzo wolno i misternie rozwijać. Moim oczom ukazała się Matka Boska Częstochowska — kopia naszego obrazu, malowana na płótnie. Studenci patrzyli na to jak na curiosum. Kupił to płótno w jakimś antykwariacie, na tzw. „dole miasta" — w dzielnicy murzyńskiej. Pomyślałam sobie, że to prawdopodobnie stanowiło największy majątek i jedyną łączność ze Starym Krajem, dla jakiegoś emigranta polskiego. Nasz Murzyn chciał wiedzieć więcej o obrazie, przeto zaprosiłam go na piątkowy wykład. Przygotowałam historię obrazu starając się unikać legendy, o której wspomniałam, ale bardzo „ostrożnie" i z naciskiem, że to legenda. Zebrałam dziesiątki reprodukcji, bardziej i mniej kolorowych. Kończąc wykład pokazałam zdjęcia obrazu Bogurodzicy, który ukazuje się oczom zgromadzonych, gdy drogimi kamieniami wykładana złota zasłona unosi się w górę. Murzyn długo patrzył na to. Po wykładzie zapytał nieśmiało: „Czy... czy pani myśli... bo... dlaczego wy Tę Matkę Bożą nazywacie „Murzyńską Madonną" — przyznam się że nie wiedziałam o co mu chodziło aż raptem... olśnienie! Ten obraz jest znany jako *Black Madonna,* a że Murzynów już nie nazywamy *negro* a *black* przeto w ten sposób powstała Murzyńska Madonna.

Rzeczowniki rodzaju męskiego nastręczają wiele trudności; dzielimy je na żywotne i nieżywotne, żywotne zaś na osobowe i nieosobowe itd., itd., dlatego więc mówimy „mam dom" i „nie mam domu" ale „mam psa" i „nie mam psa" przy czym „psa" jest biernikiem, który przy przeczeniu staje się dopełniaczem. Kazałam studentom wymyślać zdania. No więc naturalnie „mam kota i nie mam kota". Powiedziałam im o znaczeniu popularnej przenośni. Arnold, który coraz częściej buduje poprawne zdania i zaczyna „popisywać się" swoim nauczonym słownictwem spotkał mnie następnego dnia w stołówce na kawie a przedstawiając swojego kolegę powiedział „to moja kolega jest, on jest dob*rym* studen*tem,* ale on ma dużego konia" i tutaj ręka Arnolda uniosła się sugestywnym ruchem ku czołu.

Dobrnęliśmy nareszcie do czasu teraźniejszego i przeszłego czasowników. Czego ja nie wymyślam na tych lekcjach! Wszystko, aby trafić do umysłów. Ostatnio powiedziałam, że niesłusznie mówi się *„la donna e mobile",* bo właśnie rodzaj żeński czasu przeszłego zachowuje „ł" podczas gdy rodzaj męski wymienia „ł" na „l" w liczbie mnogiej. Metoda ta, bez względu na to jak niepoważna i nieakademicka, odnosi skutek i z przyjemnością, obserwuję, gdy studentka, lub student chwytają różnice, poprawiają się jeśli zrobili błąd.

Krysia nie może tego pojąć. Babcia nigdy nie zmienia czasownikowych form w zależności od rodzajów, a w jej pojęciu babcia jest ekspertem języka polskiego. Koleżeńskość niweczy moje wysiłki. Zosia, która może najlepiej rozumie język, chętnie pomaga koleżankom i kolegom. Sharon nie brała udziału w lekcji; nie potrafiła odmienić zaimków liczby mnogiej „oni i one" — Sharon, która tak bardzo solidnie pracuje nie rozumiała widocznie najprostszej deklinacji zaimków. Przed samym ukończeniem wykładu powiedziała „sama długo uczyłam się a i Zosia była taka dobra i pomagała mi wczoraj bardzo długo — ja nie mogę zrozumieć jednej rzeczy: kiedy używamy „oni", kiedy „one" a jeszcze kiedy „óne". Znowu odczekałam kilka wykładów aż wreszcie zdobyłam się na to by studentom powiedzieć, żeby z każdą kwestią zwracali się do mnie.

Wielu przychodzi do gabinetu podczas godzin biurowych. Gerry zapisała wszystkie problemy na kartce i teraz punkt po punkcie dyskutowała je ze mną. Przerywała od czasu do czasu tłumacząc, że nie może uczyć się tak szybko, ponadto bez dokładnej analizy form, reguł i prawideł językowych. Lubi języki, ale też chce znać ich teorię a nie tylko nauczyć się na pamięć zestawu wyrażeń — a tymczasem profesorowie wchodzą na wykład, „przelatują" przez słówka i koniec. Tak było z niemieckim, hiszpańskim, francuskim i rosyjskim. Studentów polskiego po-

chodzenia nie zna. Pradziadek był Polakiem. Studenci pili kawę i czekali na wykład. Gerry też tam była. Z rozmowy wywnioskowała, że chodziło o polski język. Czekała trochę zdesperowana. Jedna kawa, druga; gdy wstali, szła za nimi. Tworzenie pytań nastręcza jej najwięcej trudności. Dlaczego „kim jest twój ojciec?" a nie „kogo jest twój ojciec?"; kiedy używa się kogo? czego? a kiedy czyj? czyja? czyje?.

Gerry wraca do domu na *weekend*'y. Wykształcone środowisko. „Czego ty się uczysz?" zapytał ojciec. „P o l s k i e g o? A któż się t e g o uczy?". Nie wiem co odpowiedziała. Faktem jest, iż wyjeżdżając w niedzielę z domu nie mogła znaleźć podręcznika. Przepadł. Spóźniła się do autobusu, ale znalazła książkę wreszcie... u ojca na nocnej szafce. Wyjęła wszystkie kartki zapisane deklinacjami rodzaju nijakiego, sprawdziła je i poprawiła błędy — ah, z jakąż radością to robiła. Nie nastąpiły żadne uwagi, żadne komentarze. W piątek wieczorem, po przyjeździe do domu kładzie książkę przy łóżku ojca. Przy stole mówi się po angielsku. „Inky" duży, czarny pudel przeszkadzał wczoraj podczas posiłku. Ojciec nachylił się ku niemu i grożąc palcem powiedział cicho „dlaczego ty jesteś złego piesa?". Głos Gerry zadrżał, gdy mi to opowiadała. Mówiła szybko, po angielsku: „Czy Pani wie kim jest mój tatuś? To bardzo mądry człowiek! Wykształcony p a n". Słowo „pan" powiedziała po polsku akcentując każdą literę. Ojciec wydaje się być autorytetem najwyższym. I właśnie ten ojciec zaaprobował „jej" polski — ba, nawet sam się uczy a ona może i u m i e go poprawiać.

Nie mam żadnych pretensji do jakiegoś posłannictwa lingwistycznego, tylko miło jest słyszeć, że wysiłek mój sięga nie tylko do umysłów, ale i do serc.

Poza Zosią wszyscy studenci tak bardzo przejęli się grzecznościową formą że sami siebie podpisują „Pan Robert", „Pani Marysia", ale Arnold wręczył mi swoje ćwiczenie ciekawy mej reakcji na formę, która w jego mniemaniu przewyższała Wersal: „Twój Pan Arnold — Polish 101". Będę musiała przeczekać kilka dni a potem ująć to jakoś, aby nie byli zniechęceni, lub speszeni — to co piszą wynika przecież z ich najlepszych intencji.

I znowu mamy narzędnik na warsztacie. Poprosiłam Roberta, aby wziął mnie pod rękę i tak przeszliśmy wzdłuż sali wykładowej. „Idę z kim? — idę z Robertem, z panem, z chłopcem". Teraz Ann szła z Donaldem powtarzając „idę z Donaldem"; potem Józio i Basia usiedli przy jednym biurku i pisali. „Z kim Basia pisze? z Józiem"; Basi dałam ołówek a Józiowi pióro; „czym Basia pisze? ołówkiem a czym Józio pisze? piórem". Tłumaczyłam długo i obrazowałam czynności — nie mniej jednak następnego dnia zdania obwieściły: „lubię pisać Robertem, Józiem itp.". Należało znowu wszystko obrócić w żart. Podeszłam więc do Roberta i starałam się podnieść go za ramiona. Zwracając się do całej klasy powiedziałam, że nie jestem w stanie Robertem pisać, bo jest zbyt ciężki. Przypomniałam im film, w którym młody artysta rozprowadza farby jeżdżąc na rowerze po planszy. W takim wypadku wolno nam powiedzieć, że ów ekscentryk maluje rowerem — ale Robertem? mimo wszystko trudno by nim malować. Klasa śmiała się serdecznie. Nareszcie zrozumieli dlaczego ten przypadek nazywa się „instrumental".

Kolega wykładający rosyjski przyszedł do mnie na pogawędkę. „Słuchaj, co ty tam wyprawiasz? Ja mam dwóch twoich studentów u siebie; kazali mi dzisiaj ilustrować jakąś regułę mówiąc, że ty to robisz i tym samym utrwala im się to w pamięci; jak ty to robisz?". „Zauważono" mnie na naszym wydziale. Powiedzmy sobie szczerze, wydziały Slawistyki na terenie USA — w przeważającej liczbie — sprowadzają się do wydziału języka rosyjskiego podczas gdy języki polski, czeski czy serbski to takie dodatki, które zresztą nie wychodzą poza ramy początków języka — a jeśli literatura, no to najczęściej w tłumaczeniu angielskim.

Moje piątkowe pogawędki przekształciły się w wykłady wprowadzające do literatury polskiej; są to chronologiczno-systematyczne uwagi zaczerpnięte z historii i folkloru Polski. Biblioteka nasza jest stosunkowo dobrze zaopatrzona w historyczne materiały źródłowe świata. Godziny całe spędzam na wyszukiwaniu odnośnych danych w labiryntach indeksów, spisów treści czy bibliografii.

Maria CZYMBURA

Komunikaty

POLSKIE LICEUM W SAINT-JEAN

Polskie Liceum w Saint-Jean otwiera zapisy na rok szkolny 1972/1973. Zgodnie z programem szkół europejskich (Décret Nr 71-921 du 4 novembre 1971) szczególny nacisk kładzie się na języki.

Prócz polskiego i francuskiego, szczególnie uprzywilejowanego, naucza się angielskiego i niemieckiego.

Zaawansowanych w języku francuskim przygotowujemy też do normalnej matury państwowej.

Liceum jest koedukacyjne i posiada internaty (pokoje dwuosobowe) dla uczennic i dla uczniów.

Wiek kandydatów w zasadzie od 11 do 19 lat.

Opłaty na rok 1972/1973 nie zostały podniesione i wynoszą miesięcznie z tytułu internatu i nauki 400 franków lub równowartość w innych walutach.

Wpisowe jednorazowe 100 franków.

Przyjmujemy też do internatu młodzież pragnącą uczęszczać do liceum francuskiego w pobliskim La Ferté-sous-Jouarre za opłatą miesięczną 300 franków. Pierwszeństwo mają kandydaci pragnący ponadto studiować język polski.

Dalszych informacji udzielamy odwrotną pocztą na piśmienne zapytanie.

Adres: Lycée Polonais à Saint-Jean, 77 - Changis-sur-Marne.

Odjazd z dworca wschodniego w Paryżu, drogą na wschód, koło 50 km.

LICEUM POLSKIE SAINT JEAN

KONCERT MIŁOSZA MAGINA

8 czerwca br. w Paryżu, w sali wydziału prawa Uniwersytetu Paryskiego, 92, rue d'Assas, Paris-6e odbędzie się koncert Miłosza Magin, pianisty i kompozytora, laureata nagrody muzycznej im. Margueritte Long. Artysta część dochodu z koncertu przeznacza na akcję sekcji polskiej YMCA we Francji. Na ten cel będą przeznaczone wpływy z biletów zakupionych, lub zarezerwowanych w Polskiej YMCA. Adres YMCA: 13, Raymond Poincaré, Paris-16e.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC"

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT" — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI" — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU"

Książki

Nierealizm bez granic

Termin „myśl lewicowa" jest mętny, lecz zawiera się w nim z reguły krytyka istniejącego stanu rzeczy w imię lepszej przyszłości dla większości, dotychczas krzywdzonej. Zaś pojęcie krzywdy implikuje, że niekorzystny stan aktualny wynika nie z natury świata, lecz że został zmontowany przez jakąś mniejszość, dla której jest korzystny; sprawiedliwość wymaga zatem, by został on możliwie szybko i radykalnie (rewolucyjnie) rozmontowany, a wówczas natura świata sama zadba o ową szczęśliwą przyszłość: raz ruszona z posad bryła wpadnie mniej lub bardziej automatycznie we właściwą, przedustawną koleinę — *and here we are.* Wiara w tożsamość sprawiedliwości i historii tłumaczy zamiłowanie lewicy do pomysłów historiozoficznych à la Hegel i jej zajęcie procederem samego ruszania z posad przy ufnym lekceważeniu reszty. „A całość sama się złoży". W praktyce koncepcje lewicowe mają zawsze podobny schemat: rozbudowana krytyka tego co było i jest, *plus* nader ogólkowe uwagi na temat tego, co być *powinno* — i jak to osiągnąć. Ideologiczna wszechwiedza rodzi podobne paradoksy co teologiczna wszechmoc :„czy Pan Bóg może stworzyć tak ciężki kamień, by Sam nie mógł go podnieść?". Twórcy koncepcji generalnej reformy świata rozwiązują ten paradoks dość prosto — stwarzają kamień i zachęcają *innych* do podnoszenia go.

Kilka tygodni temu ukazała się *„Alternatywa"*[1] Rogera Garaudy, zawierająca sumę jego (obecnych) koncepcji polityczno-społecznych. Garaudy był przez ćwierć wieku czołowym intelektualistą-funkcjonaruszem Francuskiej Partii Komunistycznej, po inwazji Czechosłowacji „przejrzał", został z hukiem wyrzucony z partii — i pozostał nadal marksistowsko-zaangażowanym-intelek-

1. Roger Garaudy, *„l'Alternative" (Changer le monde et la vie);* Editions Robert Laffont, Paris 1972 *(Libertés 2000* — collection dirigé par Jean-François Revel).

tualistą. W tym układzie jego ostatnią książkę (o podtytule: „Zmienić świat i życie") uznać można za reprezentatywną dla poziomu myśli politycznej „czystej lewicy", tzn. kombinacji marksizmu z brakiem serwitutów partyjnych. Z tego też względu zasługuje na uwagę.

Według Garaudy'ego impas współczesnej cywilizacji sprowadza się do tego, że zarówno kapitalizm jak i technobiurokracja typu stalinowskiego mają wspólny mianownik — *dualizm*, czyli podział na „górę" i „dół", rządzących i rządzonych, posiadających i nieposiadających, decydujących — i „decydowanych". Żadna z dotychczasowych rewolucji społecznych nie doprowadziła do prawdziwego wyzwolenia „dolnej połowy" — w kapitalizmie *avoir, savoir et pouvoir* jest przywilejem burżuazji, w komunizmie zaś — partyjnej biurokracji. Upaństwowienie środków produkcji okazało się czymś różnym od socjalizacji; w obu ustrojach większość odsunięta jest od istotnych decyzji, wyznaczających przyszłość. To odsunięcie jest alienacją, ta zaś — właściwą monetą do obliczania rosnącej pauperyzacji mas, przewidzianej przez Marksa. W ekonomii alienacja rodzi się z prywatnej własności środków produkcji (kapitalizm) lub z centralizmu zarządzania (komunizm); w polityce mechanizmem alienacji jest zasada delegowania władzy, wspólna zarówno parlamentaryzmowi jak i systemom jednopartyjnym — w obydwu wypadkach decyzje dotyczące *wszystkich* oddane są w ręce *nielicznych*.

Alternatywa tego stanu rzeczy musi zatem obejmować zarówno prawdziwą socjalizację środków produkcji, jak i prawdziwą socjalizację zarządzania. Tym wyjściem jest według Garaudy'ego socjalizm samorządowy *(socialisme d'autogestion)*. Ma to być rodzaj organicznego kolektywu bez dualizmu, biurokracji i przedstawicielstw; społeczeństwo, w którym *„swobodny rozwój każdego z osobna zapewni swobodny rozwój wszystkim"* (formuła J. J. Rousseau, który *explicite* patronuje tym pomysłom). Funkcjonowanie tego systemu wymaga wysokiego poziomu kulturalnego całego społeczeństwa, czyli rewolucja społeczna musi być zarazem rewolucją kulturalną; praca zawodowa musi przeplatać się w sposób ciągły z kształceniem i to nie tylko technicznofachowym, lecz (przede wszystkim nawet) ogólno-informatycznym, estetycznym i „prospektywicznym" (inna nazwa futurologii). Chiny są wymieniane w tym kontekście z podkreśleniem „innych warunków" niż w Europie — lecz z rewerencją; system Mao nie podpada pod kwalifikację „technobiurokracji", przeciwnie — czytamy, że jest to *„jedyna poważna propozycja innej cywilizacji na świecie"*, a „komitety rewolucyjne" typu chińskiego, składające się całkowicie z pracowników, nie zaś partyjnych manipulatorów (ciągle Garaudy) gwarantują realizację socjalizmu *poprzez* masy, nie zaś — jak w systemie sowieckim — *dla* mas.

Strona praktyczna tego ustroju naszkicowana jest raczej impresjonistycznie: *„z natury rzeczy nie podobna dziś przewidzieć, jak będą wyglądały instytucje samorządowego socjalizmu"*, pisze Garaudy, toteż istotną rzeczą jest w tej chwili stworzenie nowego *esprit*, nie zaś nowej partii. Przełamanie *(rupture)* obecnych struktur musi dokonać się poprzez masowy nacisk tzw. *nowego bloku historycznego* (termin Gramsci'ego z lat dwudziestych), czyli koalicji warstw jednakowo wyalienowanych — robotników, „białokołnierzykowców" i studentów. Inscenizacja historyczna tej już nawet nie rewolucji, a *mutacji* określona jest dość niewyraźnie, lecz — jak się zdaje — Garaudy wyobraża ją sobie jako rodzaj spotęgowanego „maja 1968" we Francji *plus* Komuna Paryska, czyli jako sekwencję: strajk powszechny — rady na wszystkich szczeblach — kolektywizm gospodarczy i polityczny, z czynnym udziałem wszystkich we wszystkim. Tyle Garaudy. Teraz ja.

Wszystko to zaprezentowane jest poważnie, z poczuciem kompetencji oraz tzw. wylaniem. Mieszanką napędową tego surrealizmu socjalistycznego jest wydestylowana z marksizmu i chrześcijaństwa po społu (modny ostatnio alians) kombinacja trzech tzw. „momentów": *„profetycznego, utopijnego i naukowego"*, które — zdaniem Garaudy'ego — winny zastąpić dotychczasową, nieskuteczną, a nawet szkodliwą *„postawę pozytywistyczno-intelektualną"*. Czym są (i dokąd prowadzą) profetyzm i utopia, z grubsza wiadomo; dziwny w tym zestawieniu „moment naukowy" też przestaje dziwić, gdy dowiadujemy się, że Marks (a także Hegel i Fichte — brakuje tylko Schellinga!) *„pod 'nauką' rozumieją myśl ufundowaną, tzn. świadomą swych postulatów"*. To bardzo dobra definicja, tyle że nie nauki — a ideolo.

Spyta ktoś: „co to komu szkodzi?!". Szkodzi — odpowiem — ponieważ nierealizm w sprawach realnych jest szkodliwy. Znachorzy utrudniają pracę lekarzom, astrologia opóźnia rozwój astronomii, a stałe kojarzenie pojęcia „socjalizm" z utopią lub, co gorsza, totalizmem, nie sprzyja rzeczywistej poprawie ludzkiej kondycji.

Istnieją już rzeczywiście naukowe początki wiedzy o społeczeństwie — złożone głównie z tasiemcowych raportów, szczegółowych statystyk i tym podobnych nudnych rzeczy — ale obok tego uporczywie trwa i kwitnie astrologia społeczna, złożona z amatorskiej ekonomii, socjologii z urojenia i pilnej lektury niemieckich metafizyków z Heglem na czele. *(A propos* nauki jako „myśli świadomej swych postulatów" warto przypomnieć, że to właśnie Hegel wygłosił słynne zdanie *„tym gorzej dla faktów..."*; a wygłosił je, kiedy zwrócono mu uwagę, że jego predykcje na temat r u c h u p l a n e t (tak!) wysnute dedukcyjnie z jego systemu, nie zgadzają się z faktami astronomii).

„Alternatywa" Garaudy'ego jest zbiorem takich astrologicznych tautologii. Ponieważ świat *powinien* być „samorządowo-socjalistyczny", wobec tego wszystko właśnie jest do wyrzucenia. („Proszę pani, niech pani wyrzuci to brzydkie dziecko — zrobię pani inne daleko ładniejsze"). Ponieważ wszystko jest do wyrzucenia, między zjawiskami nie ma istotnych różnic: „alienacja" jest równie dotkliwa jak przymieranie głodem, jednym

tchem mówi się o *„neo-kolonializmie od Angoli po Wietnam"*, o *„wiośnie w Paryżu i Pradze"* (mowa o 1968 roku), i o wspólnym szeregu walczących *„studentów Sorbony i analfabetów w Andach"*.

Nie kwestionuję dobrej wiary Garaudy'ego, gdy „analizuje" ludzki świat przy pomocy takich uproszczeń, ale kwestionuję głębię takiego spojrzenia — i użyteczność takiej myśli. I kwestionuję — tak w ogóle — nonszalancję i *arogancką naiwność* w odniesieniu do spraw ludzkiego świata. Rzec by się tu bowiem chciało: *„Monsieur*, to gorzej niż błąd — to nietakt".

M. BROŃSKI

Rewolucja jest bardziej aktualna niż kiedykolwiek

U Sartre'a, jak wiadomo, „drogi prowadzące do wolności" są czasami dziwnie okrężne. A więc, Związek Sowiecki był długo w oczach tego filozofa „jedynym krajem gdzie słowo postęp miało jakiś sens"[1]. Potem, jak wielu innych Sartre zapałał entuzjazmem dla Trzeciego Świata i Che Guevary. Nadszedł wreszcie maj 1968 roku: Sartre udał się na Sorbonę, odbył rozmowę z Cohn-Benditem i oświadczył, iż wspólnota studencka, a nie drobnomieszczański proletariat, stała się obecnie uosobieniem wszelkich nadziei ludzkości.

By ułatwić nam zorientowanie się w jego poszukiwaniach Sartre dorzucił do imponującej serii *Sytuacji* dwa nowe tomy, liczące każdy 400 stron i będące zbiorem jego ostatnich artykułów, przedmów, odczytów itd. Te wystąpienia, w większości wypadków o charakterze okolicznościowym, zawierają także kilka tekstów bardziej zasadniczych lub dotyczących w sposób bardziej bezpośredni samego Sartre'a (szczególnie w tomie IX-ym *Sytuacji)*. Głównym tematem jest oczywiście rewolucja, która, zdaniem Sartre'a, jest bardziej aktualna niż kiedykolwiek, mimo podstępnej działalności imperializmu i jego wspólników. O żadnym z istotnych punktów — jak Brazylia, Wietnam czy Sorbona — gdzie rozgrywał się los eksploatowanej ludzkości — autor nie zapomina. Sartre wspomina nawet o Czechach, o tych nieszczęśliwych ofiarach „biurokracji stalinowskiej".

1. *Sytuacje*, Tom VII, str. 342.

Rewolucja i dnie, które po niej przychodzą to dwie odrębne rzeczy.

Dwanaście lat temu, w swej słynnej przedmowie do *Aden Arabie* Nizan'a, Sartre dał wyraz pewnemu zniechęceniu. Przyszłość, powiedział wówczas, jest bez wyjścia; istnieje jeden tylko sposób przeciwstawienia się niebezpieczeństwom, które ze wszystkich stron zagrażają człowiekowi: „Bunt, odwieczny bunt anarchiczny i pełen rozpaczy"[2]. Od owego momentu sytuacja uległa jednak zmianie. Na świecie, w różnych jego punktach, wyobraźnia chwyciła za ster władzy przywracając sens twórczej praktyce. Najpierw sprawcą tej zmiany stał się Ho Chi-minh: „Któż mógł przypuszczać, że miliony chłopów potrafią stawić czoła największej na świecie potędze przemysłowej i militarnej?"[3]. Potem przyszedł Maj. „Okazało się że obszar możliwości jest znacznie bardziej rozległy niż ten, w który kazały nam wierzyć klasy panujące"[4]. Po co więc być pesymistą? W rzeczywistości wystarczy chcieć, by móc. Mówi się, że Maj zakończył się niepowodzeniem. Tym niemniej, „rzeczą ważną jest to, że podjęto pewną akcję, która w oczach wszystkich była nie do pomyślenia. Jeżeli podjęto ją wtedy, to będzie można podjąć ją i w przyszłości"[5].

Każdy wie jednak, że rewolucja i dnie, które po niej przychodzą to dwie odrębne rzeczy. Burzy się Bastylię. I co dalej? Odbudowuje się ją w innym miejscu, bo należy zabezpieczyć się przed „wrogami ludu" i innymi niewczesnymi kontestatorami. Partia, powiedział trzeźwo dwadzieścia lat temu Sartre, „jest zakonem, który zapewnia ład porządku i wydaje rozkazy"[6]. I dodał: „Jedność odbudowuje się nieustannie na skutek likwidacji przeciwników... W oczach grupy odszczepieniec jest zbrodniarzem"[7]. Co w tych warunkach stało się z problemem następnych dni?

Wiemy wszyscy, że w 1968 roku Sartre zerwał całkowicie z ortodoksyjnym komunizmem, którego śladami szedł przez dwadzieścia lat. Dziś odrzucił zarówno sowiecki Wschód jak i kapitalistyczny Zachód. W obu wypadkach człowiek ulega tej samej alienacji i zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie lud winien „zawładnąć maszynami i wyrzucić je na śmietnik"[8]. Sartre posuwa się nawet tak daleko, że, podobnie jak niegdyś Camus, mówi o „socjalizmie koncentracyjnym"[9]. W rzeczywistości sowieckiej dostrzega obecnie jedynie „kłamstwo przekształcone w instytucję"[10].

2. *Sytuacje*, Tom IV, str. 186.
3. *Sytuacje*, Tom VIII, str. 273.
4. *Ibid.*
5. *Ibid.*, str. 216.
6. *Sytuacje*, Tom VI, str. 247.
7. *Ibid.*, str. 373-374.
8. *Sytuacje*, Tom IX, str. 276.
9. *Ibid.*, str. 252.
10. *Ibid.*, str. 251.

Problemy, których Sartre nie porusza

Czyż wobec tego należy przypuszczać, że Sartre zmienił zdanie na temat przestępstw pluralizmu burżuazyjnego? Trzeba tu przeprowadzić pewne rozróżnienie. Dzisiaj, podobnie jak i przedtem, najważniejszą antytezą dla Sartre'a jest antyteza: rewolucja — kontr-rewolucja. Dlaczego więc potępia Sowiety? Czyżby na skutek ich monolityzmu? Tomy VIII i IX *Sytuacji* dają nam odpowiedź na to pytanie: przede wszystkim z powodu ich sklerozy. Pod wpływem wampiryzmu biurokratycznego imperium sowieckie cierpi obecnie na anemię i nie widać w nim żadnego dynamizmu. A Breżniew? Mówiąc o nim, Sartre ucieka się do leitmotywu trockistowskiego (czy maoistowskiego): tak jak Marchais we Francji, Breżniew stał się „obiektywnym" sojusznikiem sił konserwatywnych i zdradził rewolucję. Poza tym, jest on oczywiście tyranem. Sartre jednak zaledwie dotyka tego aspektu zagadnienia. Zdaniem jego bunt studentów czeskich należy interpretować w ten sam sposób co bunt studentów na Zachodzie: tu i tam chodzi o protest przeciwko „nieludzkiemu obliczu technokracji"[11]. Sartre pomija jednak całkowitym milczeniem sprawę wolności osobistej i niepodległości narodowej.

Nic więc też dziwnego, że Sartre powraca do swej starej teorii o partii jako czynniku jednoczącym proletariat. Tym razem jednak użyte przez niego określenia mają charakter wyszukany. Nie ma już mowy o przyrównywaniu przeciwników do zbrodniarzy; ani też o zakonie, który zapewnia panowanie porządku i wydaje rozkazy. Wzywa on partię do utrzymywania stałych kontaktów z „masami" i do unikania usztywnienia pod wpływem ciężkiego mechanizmu biurokratycznego. Ani razu jednak Sartre nie porusza problemu pluralizmu partii. Gdy mówi o „partii" (na przykład w rozdziale zatytułowanym *Masy, spontaniczność, partia)* ma zawsze na myśli tylko jedyną partię. Rozwodzi się też szeroko na temat znaczenia jakie posiada wolność słowa *wewnątrz* partii; problem jednak wolności *zewnętrznej* w ogóle dla niego nie istnieje.

Przemoc jest trudnym zagadnieniem

Mówiono, że marksizm Sartre'a jest „wytworem wyobraźni". Sprawa ta nie została w istocie rozstrzygnięta. Marks bowiem jest nie tylko autorem *Kapitału* oraz genialnych i drobiazgowych analiz społeczeństwa jego czasów, lecz także człowiekiem który powiedział, że zbyt długo starano się zrozumieć świat i że obecnie najważniejszą rzeczą jest jego przekształcenie. Jakkolwiek sprawa ta przedstawia się, problem tkwi gdzie indziej. Dotyczy on stosunku Sartre'a nie do *marksizmu,* lecz do *stalinizmu.*

11. *Sytuacje,* Tom VIII, str. 203.

Czy dwa ostatnie tomy *Sytuacji* otwierają w tym względzie jakieś nowe perspektywy? Można w to wątpić.

W związku z niniejszym artykułem warto przeczytać bardzo wnikliwą książkę Pierre Verstraeten'a pod tytułem *Przemoc i Etyka,* która omawia „dialektyczną moralność" Sartre'a. Ponieważ jest to przede wszystkim książka jednego z uczniów filozofa, mało jest w niej (mimo pod-tytułu) uwag krytycznych. Stanowisko jakie zajmuje Verstraeten, by przeprowadzić analizę dzieła Sartre'a jest w istocie takie same jak samego Sartre'a. Kanwa tej książki jest najzupełniej klasyczna: Sartre, ten „małomieszczański intelektualista", nawraca się po drugiej wojnie światowej by podporządkować się „wymaganiom Historii", które uosabia wówczas praxis komunistyczną, a potem zajmuje postawę „autentyczną", która jest syntezą „idealizmu moralnego i realizmu technistycznego". Kanwę tę wzbogacają miejscami analizy często sugestywne. Warto tu zwrócić szczególnie uwagę na strony, które poświęca Verstraeten na początku książki wielkim politycznym sztukom teatralnym Sartre'a *(Muchy, Diabeł i Pan Bóg,* a przede wszystkim *Uwięzieni z Altony).*

Przemoc jest trudnym zagadnieniem. Czy Sartre zagadnienie to opanował? Verstraeten usiłuje nas o tym przekonać. Odrzucając tezę Raymond Aron'a, tego „oficjalnego ideologa reformizmu", że rewolucyjny mit Sartre'a jest po prostu odpowiednikiem faszyzmu, kładzie on nacisk na znaczenie jakie nabiera u Sartre'a — szczególnie w drugiej grupie jego sztuk teatralnych — poszukiwanie *uzasadnień: uzasadnienia* autentyczności dialektycznej, prawdy akcji rewolucyjnej, jednym słowem prawa do przemocy historycznej. Może tak jest w istocie. Teatr jednak to co innego niż życie. I w tym sensie pytanie, które stawia Raymond Aron pozostaje w dalszym ciągu aktualne: do czego doprowadza nas rewolucja Sartre'a? Piekło, jak wiadomo, wybrukowane jest dobrym intencjami.

Eric WERNER

Kronika straconych - Monachium

Znam to miasto. Wiatr gorszy od halniaka, deszcze. Upały podszyte zimnem. Udawana paryskość. Udawane Południe. Artystyczno-knajpiana dzielnica, którą opisał Mann. Piwiarnia na Starym Mieście, gdzie urzędował Hitler.

Miasto sztuki, Monachium, wypaca się podczas monstrualnych obchodów ku czci Piwa. Zadaje szyku swoją i obcą młodzieżą, błyszczy...

* Jadwiga Maurer, *Liga ocalałych,* Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1970, str. 239.

Monachium Jadwigi Maurer* jest szare. Najpierw dlatego, że to pierwsze lata po wojnie. Ale nie błyszczy niczym i później, kiedy już stało się Paryżem Niemiec, najbardziej antyniemieckim, najbardziej niemieckim z miast. „Liga ocalałych" opowiada o ludziach straconych.

Maurer opowiada o sobie i innych polskich Żydach, którzy po wojnie znaleźli się w Monachium. Przede wszystkim o ludziach młodych. Starsi — niemniej antypatyczni — pojawiają się dopiero przy końcu. Maurer opowiada o ocalonych cudem, którzy prawem przypadku znaleźli się w ostatnim miejscu, w którym powinni się dziwić swojemu ocaleniu.

Imienia narratorki nie znamy. W pierwszym rozdziale znajduje się na Słowacji, ukrywana przez zakonnice w klasztorze. Próbuje zostać świętą.

Kraj jest niepodległy, operetkowy, szczęśliwy. Swoi żyją niemal normalnie, obcym łatwiej się tu przechować. Dziewczęta uczą się w szkole. Raz czy dwa w nocy przychodzi policja i narratorka modli się do świętej Teresy. Tej ładnej, słodko malowanej, do której wszyscy mieliśmy w tym wieku, w podobnych okolicznościach, szczególne nabożeństwo. W pobliżu klasztoru przejeżdżają transporty Żydów węgierskich do Polski. Czasem ekspres tatrzański, elegancki, nie z tego świata. Przycupnąć przy cudzym życiu... Mała tęskni do spraw nieskażonych jej własnym problemem.

Pierwszy rozdział kończy się poniechaniem marzeń o świętości. Następny opowiada już o Monachium, nazywa się „Entuzjastki". Do tego rozdziału, tego okresu życia wraca pisarka później. Wspomina go jako czas nadziei i marzeń. Myli się. Beznadziejność i szarość towarzyszą jej od początku.

Ma lat osiemnaście, właśnie zaczęła studiować. Ma przyjaciółkę Kasię z Oświęcimia. Wynajmują u Niemców sublokatorskie pokoje, utrzymują je organizacje pomocy. Polscy Żydzi mają tu swój związek studentów i swoją własną stołówkę. Są w różnym wieku; jedni przeszli obozy, inni getta, jeszcze inni byli w partyzantce. Myślą o emigracji. Obcują tylko ze sobą, ale żyją wśród Niemców:

„Niemcy spoglądali na nas wrogo, nieraz padało jakieś nieprzyjazne słowo, skierowane pod naszym adresem. Poczucie winy, chęć zadośćuczynienia, współczucie dla ludzi podobnych do nas, wszystko to zrodziło się dopiero później z dobrobytem... Nasza nienawiść była też jeszcze naga i świeża".

Później nienawiść mija. Większość wyjeżdża, niektórzy zakładają rodziny. Życie narratorki składa się z pilnej nauki na uniwersytecie, dobrze zdawanych egzaminów, czasem wycieczek w piękną bawarską prowincję. I z zaskakujących spostrzeżeń: „Dawno zauważyłam, że ci właśnie, którzy byli w obozach, najlepiej się znoszą z Niemcami". Ale to wszystko odbywa się jakby na niby, obok, dla zabicia dnia, czasu. Na niby są związki

z ludźmi, mechanicznie połączonymi wspólną tragedią i cudem ocalenia. Kiedy znikają z miasta czy stołówki, ulatniają się także z pamięci. Nie umieją słuchać, potrafią opowiadać o sobie.

Na niby są także związki z młodymi, szlachetnymi Niemcami. Przemijają, pozostawiają narratorkę nietkniętą w obojętności. W samotności przez którą nawet nie cierpi. Niegdyś, ale to „kiedyś" to fikcja, było całkiem inaczej:

„Wyciągałyśmy ręce po przyszłość. Przyszłość kończącą się wysiadaniem z pociągu czy okrętu w jakimś raju, dalej nie potrafiłyśmy sobie nic wyobrazić. Przyszłość, w której unosiłyśmy się bez żadnego wysiłku nad sprawą języka, pieniędzy, posady, mieszkania, znajomych. Przyszłość należąca się nam z przydziału jak kawa, papierosy, mąka, chleb i zielonkawo-żółty koc, który przerabiało się przeważnie na płaszcz". O co właściwie chodzi? „Chodzi jedynie o to, że nie ma mnie tam, gdzie zwykle bywam". Jest to stan zawieszenia, próżni niedoskonałej. Nieważkich czynności i nieważkich związków. Utrata instynktu życia.

„Liga ocalałych" to książka antyliteracka w najprostszym tego słowa znaczeniu: źle skomponowana i pisana niedbale. Zarazem książka bardzo wierzytelna; autobiografia spisana z racji Historii, nie z poczucia własnej wyjątkowości.

Nie ma pojednania, ale można zapomnieć. Zapomina się na użytek trywialnej codzienności. Trywialna jest samotność, trywialne krzątanie wokół życia. W końcu, choć nie bez oporów, racja zostaje przyznana grupie nieubłaganych, którzy pod Monachium wegetują w obozie i odmawiają wyjścia. Ale ich racja jest także fikcyjna, utrzymują ich Niemcy. Nie ma pojednania i nie ma ocalenia. Nie ma i nienawiści. Czasem tylko, znudzonej odczytywaniem książki telefonicznej z nazwiskami ludzi niegdyś znanych i zawsze obojętnych, wyrywa się:

„Za oknem rozpadało się na dobre. Kobieta z naprzeciwka zamknęła okno. Czasem myślę, że mogłabym tam pójść naprzeciw, zadzwonić do jej drzwi i upomnieć się o te wszystkie lata. Niech odda".

Literacko najlepszy jest rozdział „Dziad i baba", powrót do gimnazjalnej młodości. Zdumienie że „cudem ocaleni" — jej rodzice, ich przyjaciele, ona sama — jakby przestali umierać. Podejrzenie że zawarli podobny kontrakt ze śmiercią, jak niegdyś Twardowski z diabłem; jeżdżą z miejsca na miejsce, zawsze utartymi szlakami, prowadzą interesy, wyglądają bezwiecznie. Leczą się u najlepszych lekarzy na nieistniejące choroby. Ale jednego w końcu dopada śmierć. „Ta karczma Rzym się nazywa...":

„Od tej pory, od tej włoskiej wyprawy ludzie ciągle umierają w Monachium, Nie można otworzyć żydowskiej monachijskiej gazety, by się nie natknąć na kilka nekrologów. Co dziwniejsze, nie umierają wcale jak należy, w porządku chronologicznym".

Ostatni rozdział nosi tytuł „Polska idealna". Dalszy ciąg cu-

downego ocalenia. Narratorka mieszka w Ameryce, jest docentem. Życie ułożyło się; pomaga innym, ogląda telewizję. Nuda...

Zdaje się, że w pewnym momencie zrozumiałam i uszanowałam nieład kompozycyjny tej książki.

Janina KATZ

"Ameryko, Ameryko..."

Leżą przede mną dwie książki Danuty Mostwin. Dwie książki o polskiej emigracji w Stanach. Ta tematyka, to swego rodzaju pisarska obsesja autorki. Sprawom emigracyjnym poświęcone są wszystkie jej kolejne pozycje, z wyjątkiem jednej, o której tutaj pisać teraz nie będę. Mam teraz ochotę omówić tylko dwie jej książki, które wydają mi się szczególnie ze sobą powiązane nie tyle ze względu na warstwę fabularną, ile raczej ze względu na warstwę „klimatyczno"-obyczajową. Mam tu na myśli: „Ameryko, Ameryko" (1961) i oddzieloną od niej odstępem 10-letnim: „Ja za wodą, ty za wodą..." (1972).

Interesująco przedstawiony jest przez autorkę obraz Polonii amerykańskiej — obraz interesujący, wielowarstwowy, pozbawiony uproszczeń, pełen półcieni, bardzo subtelnym piórem narysowany. Nie są to przy tym książki jednolite, różnią się zarówno pod względem literacko-formalnym, jak i pod względem intensywności barw i kolorytu, w którym utrzymany jest obraz Polonii. O ile pierwsza zrobiła na mnie wrażenie raczej zbeletryzowanej kroniki przeżyć pierwszej fali polskich emigrantów politycznych, przybyłych do USA po drugiej wojnie światowej, o tyle druga, to już pełnokrwista, doskonała proza, interesująco i sugestywnie prezentująca cały bogaty wachlarz różnorodnych postaw emigracyjnych — w stosunku do siebie nawzajem, w stosunku do Amerykanów, a także w stosunku do ludzi stamtąd, z tej dziwnej, komunistycznej, egzotycznej i nikomu naprawdę nieznanej Polski dzisiejszej... O ile w pierwszej z nich — Ameryka, to jeszcze kraj przerażający i groźny, z którym trudno się oswoić, trudno zaaklimatyzować i w którym na każdym kroku czyhają na bohaterów zasadzki i niebezpieczeństwa, bezwzględność i cynizm tubylców (wstrząsająca i świetnie napisana historia nieuczciwej lekarki, która usiłuje wmówić bohaterce nieuleczalną chorobę, aby wyłudzić od niej — wspólnie ze swoją kliką — pieniądze na operację i pobyt w sanatorium, czy inna, równie gorsząca historia z rzekomą firmą amerykańskiego aferzysty, który umiejętnie organizuje wielką mistyfikację, zyskuje zaufanie naiwnego emigranta, aby potem cynicznie wyprzeć się wszystkiego — nie było świadków, nie ma dokumentów, brak

dowodów, ma więc całkowitą bezkarność zapewnioną...) Groźna i przerażająca jest Ameryka z pierwszej książki Danuty Mostwin. Ale zjawiają się pierwsi Amerykanie (Mr i Mrs Random), którzy wyciągają przyjazną dłoń do nowoprzybyłych, którzy nie odgradzają się od nich murem obcości jak inni, ale zapraszają ich do swego domu, współczują im, chcą ich zrozumieć i chcą się z nimi zbliżyć. Zjawia się wzruszająca postać bezinteresownego lekarza, małego, brzydkiego Żyda polskiego, który nie chce wziąć pieniędzy za wizytę u chorego dziecka polskich emigrantów. Są wreszcie i pierwsze na obcym gruncie — życiowe sukcesy bohaterów w walce już nie tylko o byt, ale i o pozycję społeczną, o aklimatyzację psychiczną, o stopniowe wrastanie w nowy kraj... Książka kończy się optymistycznie — Bogna po 3-krotnych nieudanych próbach zdaje wreszcie egzamin na *social-worker'a*, a cała rodzina nieoczekiwanie, i w okolicznościach dość dramatycznych (gwałtowny pożar ich domu na wsi), zyskuje pierwszych amerykańskich przyjaciół — okazuje się najwyraźniej, że rzekoma nieprzystępność Amerykanów, to mit, w rzeczywistości są to zwykli, normalni, uczynni, a nawet serdeczni ludzie, skłonni do daleko idącej pomocy w razie potrzeby, a do życzliwej sąsiedzkiej przyjaźni na co dzień... Mur, który istniał pomiędzy nimi, a polskimi przybyszami, był po prostu skutkiem nieufności i wynikającej stąd rezerwy — tych ostatnich...

Istotnie, często dopiero w dramatycznych okolicznościach poznaje się prawdziwe oblicze otaczających nas ludzi. A więc i groźna początkowo Ameryka staje się bohaterom coraz bliższa i coraz bardziej swojska — taki jest ostateczny wydźwięk tej książki.

Druga z omawianych książek autorki stanowi rozwinięcie i pogłębienie tej tezy: Ameryka nie jest groźna, Ameryka jest przyjazna i nawet dla emigrantów pierwszego pokolenia może stać się prawdziwą ojczyzną — przykładem może tu być jedna z głównych bohaterek, Hanka. Hanka, która przecież przyjechała tu już w wieku dojrzałym a w każdym razie świadomym, z całkowicie ukształtowanymi nawykami kulturowymi, ale która mimo to potrafiła wrosnąć w Amerykę, wrosnąć tak bardzo, że właściwie już się z nią identyfikuje, że uważa ją za swój kraj, kraj, którego nigdy nie chciałaby opuścić. Czuje się tu dobrze, ma tu swoją pracę, która daje jej satysfakcję, swoich przyjaciół, tu urodziły się i wychowują jej dzieci i tu, a nie gdzie indziej chce żyć...

Oczywiście Hanka nie jest jedyną przedstawicielką nowej Polonii. Są tu i tamci, ci zagubieni i sfrustrowani, nieszczęśliwi i tęskniący za przeszłością, ci wszyscy, którym zabrakło odwagi, czy może wytrwałości i zdolności, aby stać się istotnie pełnoprawnymi członkami nowego społeczeństwa, odnaleźć w nim swe własne miejsce i odpowiadającą im pozycję społeczną. Jeżeli nie znajdą w sobie dość wytrwałości i siły, aby, jak Żuławski, czy Bogna z poprzedniej książki, zdobyć nowy zawód, który

ich wciągnie i zaabsorbuje, będą już na zawsze skazani na wegetację na marginesie społeczeństwa amerykańskiego, pozostaną do końca nieszczęśliwi i przekonani o swym zmarnowanym życiu, jak Witold Sanocki, lub nieprzejednani, jak major Czeczota. Ci ostatni zresztą — żyjący wciąż w sferze swych niewygasłych politycznych namiętności, starający się za wszelką cenę utrzymać i przenieść ponad mijającym czasem — nienaruszoną całą swą przeszłość — są z pewnością mniej nieszczęśliwi, bo intensywność ich politycznych przekonań daje im przynajmniej świadomość jakiegoś celu, nadaje jakiś sens ich życiu na obczyźnie...

Ale problem aklimatyzacji Polaków na obczyźnie nie jest to ani jedyny, ani najważniejszy problem tej książki. Problemem kluczowym staje się tu raczej sprawa inna — sprawa wzajemnej konfrontacji postaw pomiędzy emigracją, a ludźmi przyjeżdżającymi z kraju. Tymi wszystkimi, którzy przyjeżdżają tu na stypendia naukowe, ale którzy mają w kraju swoje życie, swoje rodziny, swoją pozycję społeczną i którzy uważają, że tam a nie tu, jest ich właściwe miejsce. Jak przebiegają te spotkania, jak układają się te wzajemne stosunki, oto jest w istocie główny problem ostatniej książki Danuty Mostwin.

Bardzo interesująco, bardzo prawdziwie przedstawia te sprawy autorka — dźwięczy w tej prozie autentyzm, nie widać uproszczeń, widać natomiast dobrą znajomość realiów, klimatu i postaw ludzi żyjących zarówno z tej, jak i z tamtej strony wielkiej wody.

A i sama proza, rozpatrywana już tylko od strony formalnej, wydaje się dojrzalsza, niż w poprzedniej książce, soczystsza, bogatsza. Nie robi już wrażenia zbeletryzowanego reportażu, sylwetki bohaterów uderzają prawdą opisu psychologicznego, są prawdziwe, pełne i żywe. Nie ma tu już też tej trochę rozgadanej metaforyki, jak to jeszcze zdarzało się przedtem, kiedy to ponosił najwyraźniej autorkę jej temperament pisarski i ogromna łatwość pióra — nie zdarzają się tu już te „głosy telefoniczne, które odrzucając profesorską togę, zniżały się i zatrzymywały przy bohaterach" („Ameryko, Ameryko", str. 26), ani „zapachy, które chwytają przyjacielsko za rękę" (tamże, str. 27), ani „litery (w sensie: sylaby, głoski mówione — przyp. Z. K.) wypieszczone długimi, delikatnymi palcami bohaterek (str. 39).

Mamy tu natomiast całe strony kapitalnego, inteligentnego, subtelnego humoru, który nadaje swoisty urok tej książce. Trudno mi się tu oprzeć pokusie zacytowania jednej z takich właśnie stron. Będzie to znakomita, wyimaginowana rozmowa Joasi z pomnikiem Waszyngtona w momencie, kiedy wybiera się ona na swą pierwszą randkę z Johnem Armstrongiem i właśnie przeżywa swe ostatnie w tej materii wahania.

A więc: ... „„Idzie Joasia ulicą wspinającą się stromo aż do skwerku, a tam z potężnego cokołu, kamienny Washington mrugnął do niej kamiennym okiem: — *Welcome!*

— Przecież coś mi się od życia należy — tłumaczy Joasia.

— *Free Country!*

— No to dlaczego nie mogę pójść z tym lekarzem na kolację?

— Wolność dla każdego, niezależnie od rasy, wyznania i płci.

— Tak mało mam rozrywek i... powinnam nauczyć się po angielsku.

— Ja jako ojciec tego kraju, daję ci moje ojcowskie pozwolenie.

— Jako Polka, jednak powinnam zachować godność i dystans, więc może nie należało...

— Tylko nie zaczynaj z polskością, na Pułaskim straciłem grube dolary.

— Ale to przecież nic złego, więc chyba...

— Niech ci Statua Wolności przyświeca i od czasu do czasu znicz swój dyskretnie ręką zakrywa.

— Tylko, że ja nic o nim nie wiem i on też mnie właściwie nie zna.

— Wszyscy tu równi... *One Nation*...

— Jak już, to już! Pójdę do fryzjera, kupię sobie sukienkę i... inne majtki. W tych mi jakoś cholernie gorąco...".

Urocza, ciepło naszkicowana postać Joasi, skromnej, niezbyt ładnej, lecz pełnej wdzięku chemiczki z kraju, która tu, w Ameryce, w czasie swego 6-miesięcznego pobytu, przeżywa wielką, pierwszą w jej życiu prawdziwą miłość... Bardzo ładnie, bardzo po ludzku pokazana jest ta miłość i w ogóle postać Joasi, kto wie, czy obok Johna, Amerykanina, nie najsympatyczniejsza postać książki... Miłość ta zresztą nie kończy się *happy-end*'em, każde z nich wraca do swoich planów, do swoich obowiązków, do swego prawdziwego życia.

Cóż robić, kiedy tak właśnie bywa w tym życiu naprawdę — nierównomiernie rozłożone są blaski i cienie i najczęściej tych ostatnich jest znacznie więcej. Ale przecież i blaski bywają, trzeba tylko umieć je dostrzec i umieć się nimi cieszyć.

I to chyba jest właściwy, głęboko przy tym ludzki wydźwięk tych obu książek Danuty Mostwin osadzający je przy tym wyraźnie w realistycznym nurcie naszej literatury, korzeniami swymi sięgającym tradycji pisarskich Prusa, czy Dąbrowskiej. Myślę, że warto na pewno sięgnąć po obydwie, a także i po inne książki Danuty Mostwin.

Zofia KOWALSKA

Metamorfozy i fantomy Kuncewiczowej

Znałem kiedyś dobrze autorkę „Fantomów". Nazywaliśmy ją wtedy nie Marylką ale Marynką. Znałem jej męża „chłopomana" Jerzego, Działacza przez duże D. Znałem syna Kuncewiczów młodego Witolda, znałem Aleksandra, brata Marynki z czasów gdy był konsulem generalnym R.P. w Bytomiu. Rodziców poznałem przelotnie w ich mieszkaniu warszawskim na placu Trzech Krzyży. Matkę znałem lepiej z opowiadań żony. Akompaniowała jej i Marynce, kiedy przygotowywały się do zawodu śpiewaczego. Do lepszego poznania stosunków rodzinnych Marynki przyczyniła się lektura jej dobrej, gdyż autobiograficznej, powieści „Cudzoziemka". Pisząc ją Kuncewiczowa nie potrzebowała wysilać się na stwarzanie postaci i sytuacji, na produkty własnej wyobraźni. Wszystko miała gotowe. Trzeba było to napisać, posiadając odpowiedni zapas inteligencji, zdolności pisarskich, bystrość obserwacji rzeczy widzianych i przeżywanych. A te akcesoria Maria Kuncewiczowa posiada.

„Fantomy"* to, na szczęście, także autobiografia Kuncewiczowej. Każdy znający minione półwiecze polskie i orientujący się w postaciach najbliższych autorce przeczyta, dzięki temu, z zainteresowaniem jej ostatni wyczyn literacki. Retrospektywne wspomnienia, sięgające często nawet lat dziecinnych, ożywiają tę spowiedź z górą siedemdziesięcioletniej pisarki. Gdyby ich w książce nie było, nie mógłbym strawić „Fantomów", jak nie potrafiłem strawić, poza „Cudzoziemką", innych książek Kuncewiczowej, robionych na siłę, z właściwym jej zaciętym uporem.

O tym godnym podziwu uporze Marynki mogłem się przekonać bardzo dawno gdy się jej o powieściopisarstwie nie śniło, bo chciała być tylko śpiewaczką. Wiadomo zaś, że aby nią zostać, trzeba mieć przede wszystkim głos. Muzykalna Kuncewiczowa posiadała bezdźwięczny, pozbawiony timbru głosik, ale wmawiała w siebie i w bliźnich, że ma głos piękny. Tę legendę głosi w „Fantomach". Tymczasem pamiętam recital jaki sobie urządziła w Sali Pompejańskiej Hotelu Europejskiego. Wypełniła ją po brzegi znajomymi. Znajomi bili brawa, krytycy byli mniej uprzejmi. Mimo kompletnej klapy, Marynka długo jeszcze nie rezygnowała z kariery śpiewaczej. Zaczęła się z nią powoli żegnać, gdy spróbowała szczęścia na innym polu i, dzięki „Cudzoziemce", weszła do literatury. Odtąd tylko o pisaniu myślała, pisała i wciąż pisze.

* Maria Kuncewiczowa, *Fantomy*, PAX, Warszawa 1971.

Wątpię czy gdyby nie wojna osiągnęłaby wiele. Wojna zaniosła ją do Francji, a później do Anglii. Na brytyjskiej wyspie nie było żadnego powieściopisarza czy powieściopisarki polskiej klasy Marii Dąbrowskiej. I tak się szczęśliwie dla Kuncewiczowej złożyło, że na tym bezrybiu stała się rakiem-rybą. Wszyscy ją wypychali na czele ze Strońskim, szefem Ministerstwa Informacji — choć wcale do entuzjastów pisarstwa Kuncewiczowej nie należał — wszyscy pomagali, zachęcali i uważali, że trzeba ją na angielski tłumaczyć. Wyrosła na czołową przedstawicielkę literatury polskiej w międzynarodowym Pen-Clubie. A że umiała właściwie ocenić sytuację raka na bezrybiu, ani na chwilę nie spoczęła na koniunkturalnych laurach. Pracowała pilnie, by podmurować serią nowych wyczynów pisarskich zaszczytny tytuł reprezentantki literatury polskiej na uchodźtwie. Mąż-Działacz walnie jej pomagał. Opowiadał mi po wojnie pewien dyplomata polski jak go Kuncewicz bombardował sążnistymi listami, by przekonał bodaj Japończyków, że powinni tłumaczyć dzieła jego żony.

Upór i pracowitość szły w parze. Nie żałowała czasu, gdy trzeba było zainteresować się hotelarstwem w Fowey, w Kornwalii, albo urządzać własną „ruderę" w Forest Hill pod Londynem. Byłem tam parę razy i wcale na to miano dom Kuncewiczów nie zasługiwał. W Fowey Kuncewiczowie byli współwłaścicielami pensjonatu. Bywały w nim moja żona z córką i ja dojeżdżałem. Po raz ostatni spędziłem w tej uroczej miejscowości dziesięć dni z niezapomnianym Stanisławem Westfalem. Dużo osób przewinęło się przez Fowey: premier Arciszewski z żoną, Adam Pragier, Stefania Zahorska, minister spraw zagranicznych rządu Arciszewskiego Adam Tarnowski z córką, Stanisław Głuski i wielu rodaków, popierających przedsiębiorczą parę.

Wybrałem się kiedyś na spacer nad zatokę. Nagle, z jakiegoś zakrętu wyłonił się najpierw potężny brzuch Kuncewicza, a potem cała postać. Szedł zachmurzony. Zapytałem o powód. „Marynka — zamruczał — nic ostatnio nie pisze". Udawał. Pisała, o czym jeszcze tego dnia mogłem się przekonać. Autorka „Dni powszednich państwa Kowalskich" miała bowiem niebywały „Sitzfleisch". Nie posiadał tej właściwości jej małżonek, autor tomiska pod wcale skromnym tytułem „Przebudowa Globu". Ofiarował mi ten produkt „wszechstronnych przemyśleń" (z taką dedykacją), tuż przed wojną. Nie byłem w stanie tego czytać. On pisał pod siebie, ona pisała inteligentnie, wiecznie jednak autobiograficznej „Cudzoziemki" niesposób było powtarzać. Tworzyła więc rzeczy pretensjonalne i sztuczne.

A jak się z jej „Fantomów" — które nazywa „publiczną spowiedzią" — dowiadujemy, nie tylko teraz podróżuje po świecie i od czasu do czasu dojeżdża z wykładami do Stanów Zjednoczonych, lecz pisze niezmordowanie, nawet „w wieku emerytalnym więcej niż za młodu". Ta pasja pisarska Kuncewiczowej wydaje się pięknej wnuczce starej służącej Józefowej sztuczna. Dla owej wnuczki nic nie rozumiejącej się na rzeczy, ta pasja

wygląda na „kiepską pantomimę w próżni". Czytając te słowa przychodzi na myśl, że Kuncewiczowa mimo woli zdradza skrzętnie ukrywaną w „Fantomach" obawę, by czytelnik rzeczywiście nie poczytał jej spowiedzi za sztuczną pantomimę. Może dlatego tak gorąco go zapewnia, że takie publiczne spowiedzi uprawiała od pierwszego koncertu i od pierwszej książki, bowiem dla każdego kto zna jej tylko wiadome „prawa Sztuki", taki proceder był jasny. Zapewnia także czytelnika, że odrzuca wszelki kamuflaż, narażając się Sztuce i ludziom. Ale — pisze — „wiek uczynił mnie odporną" — „na nietykalność autentyki". I skromnie dodaje, że spowiada się przede wszystkim czemuś co „przetrwa Nonsens", co pozwala wnioskować, iż nie traci nadziei, że może znajdzie się dla niej miejsce w Panteonie nieśmiertelnych.

O tej nadziei świadczą w książce zwroty, że tylko „rada nierada" pełniła w czasie wojny skromniutką rolę „Atlasa podtrzymującego polską tęczę nad Tamizą" oraz mętne i napuszone dygresje filozoficzne na temat „co ją tworzyło i dalej tworzy" i jak doszło do tego, że się jej „wzburzyły kolory" i nawet „biały częściowo sczerwieniał". Wszystkie te dygresje proszą się o jeden wspólny tytuł: „Żeby trudniej było zgadnąć". Może czując, że coś z całą jej filozofią jest nie w porządku Kuncewiczowa robi ze swego domu i najbliższego otoczenia „wariackie podwórko", ludzi nie chodzących po ziemi, lecz bujających ustawicznie w obłokach. Tymczasem nikt w tym domu nie bujał w obłokach, a już najmniej Kuncewiczowa. Była zawsze uosobieniem opanowania, zrównoważenia, rozsądku. To rzekome wariactwo jest jej potrzebne nie tylko po to, by czytelnik łatwiej przełknął jej „Utopie Absolutne" i inne zawiłe terminy, lecz przede wszystkim, by ją rozgrzeszył z tego „wzburzenia kolorów", jakie się jej przydarzyło po wojnie, w pierwszych latach emigracji i trwało do czasu, gdy dopięła swego, osiadając w Polsce w idealnie dobrych warunkach życiowych. Bo wbrew temu co pisze ani się jej dom nie „zdematerializował", ani ona się nie „zdematerializowała". Myli się też gruntownie sądząc, że nikt się nie pozna na kamuflażach w które spowiła swe „Fantomy".

Bez kamuflażu, bez szminki jest w „Fantomach" wtedy, gdy wspomina sceny z matką do jakich dochodziło przy solwedżach i wokaliach, gdy ogarniał ją „nastrój erotyczny", gdy zajmuje się „niedosytami" męża, wyrzucającego z siebie „potok argumentów", by ostatecznie zgodzić się na każdy wybór i na każdy wniosek Marynki. Szczera jest, gdy drży o syna pływającego w czasie wojny na polskim okręcie podwodnym z którego się szczęśliwie ratuje. Lecz te zrywy szczerości przesłania wciąż kamuflaż, kulminujący w chwili gdy orzeka, że „polskiemu Londynowi" załamał się cel, a pozostał jedynie „strach przed nieznanym", bo skończyło się alianctwo, a zaczęło „getto po którym błądzą słowiańskie Dybuki".

Kuncewiczowa zapytana, dlaczego siedzi „pod tą dyktaturą proletariatu" odpowiada: „Zawsze byłam za wolnością". O tak, była dawno temu za wolnością, gdy jako studentka należała do krakowskiego „Zjednoczenia", kierowanego przez tajny ZET. Była za wolnością gdy w niepodległej Polsce przeżyła pierwszy dreszcz powodzenia jako pisarka, gdy dnie płynęły pogodnie i beztrosko. Któż wtedy nie był za wolnością!

Przewidująca Kuncewiczowa zaczęła się „załamywać" (czytaj kalkulować) bardzo wcześnie, wkrótce po wojnie. Kiedyś, w Fowey, zmówiło się o kraju rządzonym przez Bieruta i bezpiekę. Nieoczekiwanie, cedząc swoim zwyczajem słowa, Marynka zawyrokowała, że nie można stawiać sprawy jak ja stawiam. Oto czas najwyższy, by się zdobyć na jakiś „margines tolerancji", że przecież w tym wszystkim co się w Polsce dzieje są także zjawiska pomyślne, by tylko pamiętać o poprawie warunków bytowych chłopa. Zrozumiałem wtedy, że małżonka „Działacza z Utopii" już rozmyśla, jak się z wszelkich utopijnych mrzonek wycofać, skończyć z niepokojami, rozterkami i wrócić do kraju, nie zamykając sobie furtki do Ameryki, gdzie w Wirginii osiedlił się z czasem jej syn Witold, od kilku lat autor jedynego wnuka Kuncewiczowej.

Perfekcjonistka w zimnym pomyślunku wykalkulowała wszystko bez pudła. Nie potrzebowała już — jak inni — zaprzątać sobie głowy „chwilową przegraną naszej słusznej sprawy" czy czuć się spadkobierczynią Kordianów, Konradów, I Brygady i pradziadka, wojaka napoleońskiego. Otrząsnąwszy się z majaków przeszłości podpisuje depeszę Pen-Clubu do Sowieckiej Akademii Literatury z gratulacjami z powodu zwycięstwa i z zaproszeniem do utworzenia w Rosji międzynarodowej organizacji pisarzy. Wsławia się jeszcze jednym wyczynem o którym pisze: „Ale problemy zostają. Na przykład Pen-Club. Należę do jego trzech ośrodków: angielskiego, amerykańskiego i polskiego. Natomiast członkowie ośrodka *Writers in Exile*, którego jestem założycielką, wyparli się mnie, kiedy uznałam, że po roku 1956 przestałam być pisarzem wygnańczym, skoro wydawcy polscy w kraju zaofiarowali się publikować moje teksty bez zmian cenzuralnych". Trzy strony dalej dodaje, że ponieważ odrzuciła prezesurę alternatywnego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Za Granicą i nie podpisała „manifestu o niedrukowaniu w kraju" — „rozeszły się wtenczas drogi, moja i emigracyjnej większości razem z jej prasą i instytucjami".

I znowu kamuflaż! Bo jak to było naprawdę z tym wyparciem się Kuncewiczowej przez emigrację? W największym skrócie było tak.

W 1953 roku odbywał się w Dublinie zjazd Pen-Clubu. Ku powszechnemu zdziwieniu Kuncewiczowa wybrała się na ten zjazd w towarzystwie swego małżonka, miłującego nade wszystko wolność narodu, prezesa emigracyjnego Stronnictwa Ludowego „Wolność".

Zjazd, składając ukłon Związkowi Sowieckiemu, powziął rezolucję, którą słusznie poczytano nie tylko za mdłą, lecz wręcz

„fałszywą" i „odrażającą". Kongres dubliński nie wspomniał o losie pisarzy w łagrach sowieckich czy więzieniach satelickich reżymów, a więc na Wschodzie, ale za to wysłał ostry protest na Zachód.. do argentyńskiego dyktatora Perona z powodu przetrzymywania w areszcie pani Ocampo! Rezolucja zawierała nonsens, że Pen-Cluby mają tylko bronić swobody myśli „w kraju, który zamieszkują". Wynikało z tego, że pani Kuncewiczowa uważa za swoje zadanie walkę o wolność słowa w Anglii, gdzie wtedy zamieszkiwała. Przeciwko tej rezolucji wystąpiło dwóch pisarzy emigracyjnych, m.in. Bułgar Popow. Ale nie protestowała Kuncewiczowa, przedstawicielka polskiego Pen-Clubu. Odprawa udzielona Kuncewiczowej skończyła ją w oczach emigracji. Dostało się przy tym „niezłomnemu" małżonkowi. Próbowała się tłumaczyć, wyrażając się pogardliwie o terminie „żelazna kurtyna" jako o „dziennikarskim żargonie". I znowu dostała po palcach.

Zamilkła, choć zawsze w każdej sytuacji ma gotową odpowiedź. Zapytana co się jej w Polsce Ludowej podoba, odpowiada jak Pytia: „Mnie się w ogóle nie podoba natura ludzka, czyli moja". Takimi odpowiedziami i powiedzonkami wykręca się jak piskorz. Innym razem napisze: „Nauczyłam się patrzeć na mój kraj z perspektywy ludzi żyjących w innym czasie". Ale jakich ludzi — nie dopowiada. Nagle ni z tego ni z owego wyzna, że gdy jej dzieciństwo „uciekło na dno" (dlaczego na dno — nikt nie zgadnie) uczyła się hipokryzji. Może, istotnie, nauczyła się hipokryzji wcześniej niż można było ją o to podejrzewać. W „sofistykującej" pozie rozprawia o „kulcie abstrakcyjnego człowieka". Chce w świecie rządzonym przez fantomy w rodzaju maoistów, chegewarystów i komunistów moskiewskiego obrządku, stąpać w szacie bliżej nieokreślonego — abstrakcyjnego humanizmu...

Przed miesiącem spotkałem przyjezdnego z kraju, przedstawiciela trzeźwego zawodu, człeka z natury bardzo trzeźwego. Przeżył w kraju wszystko, nigdy go nie opuszczał i po krótkim pobycie za granicą wrócił do Polski. W ostatniej rozmowie zapytałem co, jego zdaniem, może przyspieszyć koniec rządów komunistycznych w Polsce. Zadumał się, po czym powiedział coś, czego nie oczekiwałem od człowieka stąpającego mocno obu nogami po ziemi: „Sołżenicyn i jemu podobni".

Nie powtarzam komentarza jaki dodał, bo się go bez trudu można domyślić. Wystarcza samo nazwisko największego pisarza rosyjskiego. A może Sołżenicyna miała na myśli autorka „Fantomów" pisząc, że „szlachetność poszczególnych ludzi przeważy kiedyś szalę zła"?

Tadeusz KATELBACH

Nadesłane nowości wydawnicze

Adam Ciołkosz — Polityk - Pisarz - Historyk Socjalizmu. Praca zbiorowa pod redakcją dr. Józefa Żmigrodzkiego. Str. 147 i 1 nlb. (Wyd. Komitet Uczczenia 70-lecia Urodzin Adama Ciołkosza, Londyn, 1972).

Diariusz i teki Jana Szembeka. Tom IV: Diariusz i dokumentacja za lata 1938 i 1939. Opracował Józef Zarański. Str. 804 i 6 nlb. (Wyd. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn, 1972, cena: £ 7.00; $ USA 21,00).

GŁADYSZ (Antoni). *Piekło na ziemi.* Wspomnienia z lat 1939-1945. T. I. Str. 368. Okładkę projektował Józef Wilczyk, rysunki wykonał Mieczysław Kościelniak. (Nakładem Wydawnictwa „Promyk", Doleystown, Pa., 1972; cena: $ US 7,00).

MACKIEWICZ (Józef): *W cieniu krzyża. Kabel opatrzności.* Str. 194 i 2 nlb. (Wyd. KONTRA, Londyn, 1972).

LIBERT (Antoni). *Król konwaliowy.* Wiersze. Str. 11 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1972).

Laussa-V-Lato 71. Str. 62 — powielacz. (Wyd. Polska YMCA, Londyn, 1971).

JELEN (Christian). *La purge.* Chasse au Juif en Pologne Populaire. Str. 222 i 2 nlb. (Wyd. Fayard, Paryż, 1972, F. 25,00).

MOND (Georges). Compte rendu du livre *Polish Law Troughout the Ages,* travail collectif sous la direction de Wenceslas J. Wagner, Standford, Cal., Hoover Institution Press, 1970. (Nadbitka z *Revue Historique de droit français et étranger,* vol. 49 - 1971, Editions Sirey, Paryż. Str. 638-641).

MOND (Georges). Compte rendu du livre de Jacques Lévesque: *Le conflit sino-soviétique et l'Europe de l'Est; ses incidences sur les conflits soviéto-polonais et soviéto-roumain.* Les Presses de l'Université de Montréal, 1970. (Nadbitka z *Canadian Slavonic Papers).*

WYRWA (Tadeusz). *La recherche scientifique.* (Nadbitka z książki *La consultation dans l'administration contemporaine,* Chapitre 18, str. 467-489; ouvrage publié sous la direction de Georges Langrod; Ed. Cujas, Paryż, 1972).

WYRWA (Tadeusz). *Geneza, ewolucja i kryzys inteligencji polskiej jako przodującej warstwy społecznej.* (Nadbitka z Collection of Papers submitted to the Polish Congress of Contemporary Science and Culture in Exile, Londyn, 1970, str. 497-505).

PIŁSUDSKI (Józef). *Year 1920* and its climax *Battle of Warsaw* during the Polish-Soviet War 1919-1920; with the addition of Soviet Marshal Tukhachevski's *March Beyond The Vistula.* Str. 283 i 3 nlb. (Wyd. Piłsudski Institute of America) Piłsudski Institute of London, London - New York, 1972).

LENCZOWSKI (George). *Soviet Advances in the Middle East.* Str. 176 i 2 nlb. U.S. Interests in the Middle East Series. (Wyd. American Entreprise Institute for Public Policy Research, Washington, D.C., 1972).

MIECZKOWSKI (Bogdan). *Poland.* (Nadbitka z *The Predication of Communist Economic Performance,* red. P. J. D. Wiles, Cambridge University Press, 1971, str. 235-255).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-4-72
PRL zużywa 34 kg. papieru rocznie na głowę ludności (średnie zużycie papieru na głowę w Europie wynosi 79 kg.). Polska produkuje rocznie 950 tysięcy ton papieru. W roku 1972 ma być sprowadzone 25 tysięcy ton papieru gazetowego ze Związku Sowieckiego i import ten ma wzrosnąć w latach następnych. ■ W Warszawie podpisano protokół o współpracy polsko-sowieckiej w zakresie ruchu wydawniczego i księgarstwa. 23 polskie wydawnictwa współpracują z 26-ciu wydawnictwami sowieckimi, konsultując się m.in. przy opracowywaniu Encyklopedyj. ■ Ukonstytuował się nowy zarząd Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich. Prezesem wybrano Lesława Bartelskiego. ■ W Warszawie podpisano kontrakt z Czechosłowacją na dostawę do Polski kompletnego zakładu produkcyjnego ceramzytu. Jest to materiał budowlany z grupy kruszyw lekkich, stosowany w budownictwie mieszkaniowym. ■ W Warszawie ustalono jeszcze jeden order, tym razem dla dzieci. Będzie on przyznawany każdego roku za aktywną postawę i osiągnięcia w działalności społecznej. ■ W latach 1950/70 powstało w PRL 196 nowych miast. Najwięcej, bo aż 54 miasta, w województwie katowickim, 34 w województwie wrocławskim i 21 w województwie warszawskim. 64 nowych miast ma 5-10 tysięcy ludności, 28 miast — 10-20 tysięcy, 11 miast — 20-50 tysięcy mieszkańców. Najliczniejsze są miasta liczące mniej niż 5 tys. mieszkańców: jest ich 94. Informacja ta podana została przez radio Warszawa. ■ Dyrektor Naczelny Banku Państwowego Czechosłowacji stwierdził „że wskutek niekorzystnej sytuacji politycznej w latach 1968/69 Czechosłowacja zadłużyła się w międzynarodowym banku współpracy gospodarczej w Moskwie na ponad 5 miliardów koron. ■ Z opóźnieniem dotarła do nas wiadomość o śmierci w Kownie 19. 11. 1971 Heleny Urniaż, nauczycielki b. gimnazjum polskiego im. Adama Mickiewicza w Kownie, która po wojnie zorganizowała polski amatorski zespół pieśni i tańca, który pod jej kierownictwem osiągnął wysoki poziom artystyczny i otrzymał szereg nagród we współzawodnictwie regionalnym zespołów muzycznych Republiki Litewskiej. ■ Słowacka Akademia Socjalistyczna przyznała I nagrodę w kategorii prac popularyzujących nauki społeczne Vasilowi Bilakowi za książkę „Prawda pozostanie prawdą", w której daje on własną wersję wydarzeń 1968 roku.

18-4-72
Biuro Polityczne KC PZPR zaakceptowało program obchodów 50-tej rocznicy utworzenia ZSSR, która przypada na 30. 12. br. Ponadto rozpatrzyło i podjęło uchwałę w sprawie dalszego umocnienia roli i pozycji *Trybuny Ludu* organu KC PZPR.

19-4-72
W Warszawie zmarł, w wieku 79 lat, prof. dr Juliusz Nowak-Dłużewski, przed wojną wieloletni nauczyciel gimnazjum im. Jana Zamoyskiego w Warszawie i profesor historii literatury polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. ■ Sąd Najwyższy w Warszawie na dwóch posiedzeniach otwartych (drugie 20. 4. br.) rozpoznał rewizję w sprawie organizacji „Ruch". Na sali byli obecni: rodziny oskarżonych, grupy młodzieży oraz A. Słonimski, M. Jastrun, Z. Herbert i W. Woroszylski, jako przedstawiciele grupy literatów, która w swoim czasie wystosowała do Ministra Sprawiedliwości list,

protestujący przeciwko nadmiernie surowym wyrokom w tej sprawie. Nie było przedstawicieli ani prasy krajowej ani zagranicznej, z wyjątkiem przedstawiciela katolickiego miesięcznika *Więź*. Oskarżonych broniło 6 adwokatów z nestorem polskiej adwokatury, mec. W. Bittnerem, znanym obrońcą w procesach politycznych okresu przedwojennego. Przemówienia adwokatów nie tylko udowodniły bezzasadność oskarżenia i wyroku, ale zawierały również akcenty polityczne. Bittner, odpowiadając na argument prokuratora, że Polska Ludowa dała oskarżonym wykształcenie i światopogląd, zaznaczył, że w takim wypadku można by oskarżyć i Lenina, który otrzymał wykształcenie i światopogląd od ustroju carskiego. Światopogląd formuje nie władza — oświadczył adwokat — lecz zdobywa się go samodzielnie. Drugi z adwokatów, powołując się na przemówienia wygłoszone na VIII-ym plenum KC PZPR, w których stwierdzono, że Gomułka doprowadził kraj na skraj katastrofy, oświadczył, że oskarżeni widząc grozę sytuacji nie chcieli milczeć i zabrali głos w tej sprawie. Obrona udowodniła, że oskarżeni nie dążyli do obalenia istniejącego ustroju i że projekt podpalenia Muzeum Lenina był wysunięty przez prowokatora U.B. Na drugim posiedzeniu sąd, ku zdumieniu wszystkich, zatwierdził w całości wyroki pierwszej instancji. W Warszawie procesem nikt się nie interesował, jak również nikt nie znał szczegółów działalności organizacji „Ruch", z wyjątkiem faktu oskarżenia ich o usiłowanie podpalenia Muzeum Lenina, co wywoływało pewną panikę. Przypominamy, że członkowie „Ruchu" skazani zostali na kary więzienia od 4-ch do 7-miu lat. Dokumenty dotyczące procesów „Ruchu" są zawarte w tomie „Dokumentów" pt. „Sąd orzekł...", który ukazał się ostatnio w „Bibliotece Kultury".

20-4-72
Zmarła w Warszawie, w wieku 95 lat, Zofia Guzowska, pisarka i publicystka. ■ Redakcja *Poezji* w Warszawie przyznała doroczną nagrodę za najlepszy debiut poetycki w 1971 r. Ewie Białous-Drescherowej za tomik „Jabłko" i Ryszardowi Milczewskiemu-Bruno za tomik „Poboki". ■ W Mińsku, w stolicy Białoruskiej Republiki Sowieckiej otworzono konsulat generalny PRL.

21-4-72
Andrzej Szczypiorski otrzymał doroczną nagrodę warszawskiego Penclubu za książkę „Msza za miasto Arras". ■ W Warszawie rozpoczął się IX kongres studentów afrykańskich w Polsce, poświęcony problemom polityki międzynarodowej.

23-4-72
Zmarł w Pekinie, w wieku lat 69, prof. Henryk Greniewski, matematyk, logik i cybernetyk.

24-4-72
W katedrze Św. Jana w Warszawie została wmurowana tablica z następującym tekstem: „Pamięci i modlitwie polecamy Polaków z Litwy, którzy w zmiennych kolejach losu i po kataklizmach pierwszej i drugiej wojny światowej zachowali wierność mowie i tradycjom ojczystym, życiem i śmiercią świadczą o swej więzi z Polską. Rodacy". Tekst powyższy został ułożony przez znanych działaczy polonijnych na przedwojennej Litwie p. Budzyńskiego i Krystynę Szukszciankę. W uroczystości poświęcenia wzięło udział przeszło 100-tu „kownian" z byłymi przywódcami polonijnymi na czele. Kardynał Wyszyński nie wziął udziału w tej uroczystości. Po uroczystościach odbyło się spotkanie uczestników, na którym uchwalono zaproszenie co najmniej trzech osób z Kowna, skupionych w polskim zespole amatorskim pieśni i tańca.

25-4-72
Zmarł w Warszawie, w wieku lat 64, Stanisław Ziemba, dziennikarz i publicysta. ■ Nominacje w PRL: gen. dyw. Zygmunt Huszcza został podsekretarzem stanu w Ministerstwie Oświaty i Wychowania, E. Wojtaszek podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, inż. Władysław Jabłoński i Mirosława Wąsowicz podsekretarzami stanu w Ministerstwie Przemysłu Lekkiego.

27-4-72
Grupa 42-ch dziennikarzy PRL otrzymała dyplomy uznania za aktywny udział w kampanii wyborczej do Sejmu VI-ej kadencji. Nazwisk nie podano do wiadomości.

28-4-72
Centralna Rada Związków Zawodowych przyznała swoje doroczne nagrody literackie. Nagrody otrzymali: Tadeusz Hołuj za powieść „Róża i płonący las", Jerzy Wawrzak za powieść „Linia", Zbigniew Kubikowski za tom powiadań „Ostatnia lekcja" i Andrzej Twerdochlib za powieść „Godzina za godziną".

29-4-72
Dziennik *Svoboda* podał, iż ok. 1/4 ogółu poborowych do wojska czechosłowackiego jest niezdolnych do służby wojskowej z powodu zaburzeń systemu nerwowego. Liczba poborowych, którzy nie ukończyli 9 klas szkoły podstawowej, wzrosła w bieżącym roku z 8 do 12 %. Liczba członków partii, która po latach 1968-1970 gwałtownie spadła, wzrosła jedynie nieznacznie.

30-4-72
W Moskwie został podpisany protokół o wymianie towarów rynkowych z Polską na 1972 r. PRL otrzyma ze Związku Sowieckiego m.in. herbatę, konserwy rybne, szampan, dywany, zegarki, stopery, sprzęt fotograficzny, lodówki, artykuły papiernicze i mydła toaletowe. W zamian PRL dostarczy Związkowi Sowieckiemu konfekcję, maszyny do szycia, kosmetyki, sprzęt sportowy i meble. ■ W PRL zakłady Cegielskiego w Poznaniu zaczęły produkować lokomotywy spalinowe. Do końca 1975 r. ma być wyprodukowanych 265 sztuk. Mogą one rozwijać maksymalną szybkość do 120 km/godz.

1-5-72
W Polsce zniesiono reglamentację węgla w mieście i na wsi. Nadal reglamentowany będzie koks. ■ W najbliższym czasie ma zostać umożliwiona w Polsce sprzedaż poszczególnych mieszkań w starych domach wielomieszkaniowych na zasadach odrębnej własności lokali, osobom fizycznym, najemcom tych lokali z równoczesnym wyłączeniem ich spod publicznej gospodarki lokalami. ■ Ostatnio na terenie Francji jest szeroko rozsyłany numer 1 *Czerwonego Sztandaru*, organu grupy Mijala w Tiranie. W piśmie jest zaznaczone: Warszawa, luty 1972, nie ulega jednak wątpliwości, że pismo jest drukowane w Albanii. W numerze znajduje się wiadomość, że radio Pekin nadaje codziennie audycje w języku polskim od 21-szej do 22-ej na falach 32 i 38,2. Radio Tirana nadaje 6 razy dziennie półgodzinne audycje w języku polskim. ■ Ambasada sowiecka w Warszawie zaprotestowała przeciwko wznowieniu książek Pawła Jasienicy, widząc w nich pobudzanie polskiego nacjonalizmu, skierowanego przeciwko Rosji. Zapowiedziane więc wznowienia zostały wstrzymane. Ambasada zaprotestowała również przeciw pamiętnikom gen. Z. Berlinga, drukowanym w Warszawskiej „Kulturze". Druk pamiętników przerwano. ■ Prasa krajowa donosi, że p. Witold Olszewski, redaktor miesięcznika *Horyzonty*, który ukazywał się w Paryżu

i został zamknięty w ub. roku, powrócił na stałe do Warszawy. ■ Według obliczeń Głównego Urzędu Statystycznego stan ludności w Polsce na dzień 31 marca br. wyniósł 32.926.000. ■ Po ustąpieniu Tejchmy z sekretariatu KC PZPR sprawy kultury objął Szlachcic. Szlachcicowi podlega również nauka. Jak wiadomo kultura i nauka najlepiej rozkwitają pod opieką UB. W najbliższej przyszłości sprawy kulturalne mają być powierzone Szydlakowi. ■ Przeprowadzono rewizje u Wandy Żółkiewskiej, J. Hena, R. Jurysia. Ponadto w Warszawie i w Gdańsku są rewizje i przesłuchania w poszukiwaniu organizacji, która swe ulotki podpisuje „Wyzwolenie narodu".

2-5-72
Edward Gierek w otoczeniu dygnitariatu partyjnego i rządowego przyjął 33-osobową „reprezentację związków twórczych, organizacji kulturalnych i działaczy kultury". „Twórców kultury", jak ich określiła oficjalna agencja prasowa, reprezentowali: reż. J. Antczak, sekretarz CRZZ — W. Adamski, przew. ZG ZZ Pracowników Książki, Prasy i Radia — J. Boruński, red. nacz. *Trybuny Ludu* — J. Barecki, przew. ZG ZZ Pracowników Poligrafii — J. Ciechoński, przew. ZG ZZ Prac. Kultury i Sztuki — M. Dmochowski, kier. Zakładowego DK w Mielcu — F. Duszlak, literat — S. Goszczurny, przew. ZG Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu — G. Holoubek, przew. ZG Stow. Księgarzy Polskich — T. Hussak, literat — T. Hołuj, prezes ZG ZLP — J. Iwaszkiewicz, przew. ZG ZPAP — J. Kaczmarski, przew. ZG Stow. Filmowców Polskich — J. Kawalerowicz, reż. K. Kutz, reż. J. Krasowski, plastyk B. Liberski, aktor T. Łomnicki, działacz Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego — A. Łuczak, literat — W. Machejek, przewodniczący ZG SDP — S. Mojkowski, publicystka — H. Miroszowa, literat — J. Putrament, reż. C. Petelski, dyrektor Muzeum Okręgowego w Toruniu — B. Rymaszewski, przew. ZG Zw. Kompozytorów Polskich — S. Śledziński, kierowniczka Powiatowej Biblioteki w Kożlu — S. Smajek, dziennikarz — B. Sosień, przewodniczący ZG Stow. Polskich Artystów Muzyków — K. Wilkomirski, przew. ZG Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek — A. Wasilewski, literat — L. Wantula, publicysta — J. Wilhelmi oraz literat — Z. Załuski. Zebrani „niezmiernie pozytywnie ocenili dotychczasowe decyzje kierownictwa partii i rządu" i wskazali na „niezwykle pozytywny klimat dla wszelkiego rodzaju inicjatyw i poszukiwań twórczych".

3-5-72
Słowo Powszechne donosi, że w związku z niewystarczającą produkcją mebli w Polsce w sprzedaży jest „coraz więcej mebli stylowych sprowadzanych z Rumunii i Węgier. W br. zakupi się ponadto znaczną ilość stylowych mebli z Egiptu".

4-5-72
Nowe nominacje: inż. Michał Zubelewicz, Józef Kulesza i Czesław Kotela zostali mianowani podsekretarzami stanu w Ministerstwie Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska.

5-5-72
Zmarł w Warszawie prof. dr Feliks Młynarski, wybitny ekonomista, w czasie okupacji, za wiedzą i zgodą rządu Rzeczypospolitej, był dyrektorem Banku Emisyjnego w Warszawie. Przeżył lat 88. ■ Zmarł w Warszawie Apoloniusz Zarychta, podróżnik i geograf. ■ Na skutek przystąpienia W. Brytanii do Wspólnego Rynku, PRL straci ok. 20 milionów funtów stg., które uzyskiwała z eksportu żywnościowego (bekony, masło, jaja, dziczyzna). ■ *Nowy order*: „Braterstwo Broni". Ostatnio Ministerstwo Obrony Narodowej PRL nadało tę odznakę szeregowi dziennikarzy sowieckich. Istnieje

również order ZMS: odznaczenie im. Janka Krasickiego. Ostatnio odznaką tą Zarząd Główny ZMS dekorował szereg oficerów zajmującymi się Ochotniczymi Hufcami Pracy. ■ Wbrew poprzednim informacjom można z powrotem subskrybować czterotomową Encyklopedię Powszechną PWN. Ma ona kosztować 1 200 zł. Pierwszy tom ma się ukazać w końcu 1973 roku, następne w odstępach rocznych.

6-5-72
W Moskwie KGB przeprowadziło w nocy z 5 na 6 maja 14 rewizji u opozycjonistów, podejrzanych o współpracę z redakcją podziemnego pisma „Kronika Wydarzeń", m.in. u Piotra Jakira, syna gen. Jona Jakira, rozstrzelanego przez Stalina i u Swietlany Armand, prawnuczki Ines Armand, jednej z najbliższych współpracowniczek Lenina. ■ Gen. Moczar został zdjęty z prezesury ZBOWiDu. Na jego miejsce przyszedł Stanisław Wroński, obecny minister Kultury i Sztuki. W pewnym skrócie można to określić jako zmianę UB na KGB. Funkcję J. Cyrankiewicza w tej organizacji objął Piotr Jaroszewicz. ZBOWiD liczy ok. 250 tys. członków. ■ Zmarł nagle w Częstochowie, w wieku 76 lat, ks. bp dr Kazimierz Kowalski, ordynariusz diecezji chełmińskiej. ■ Rekordowe tempo: przed dziesięciu laty został rozpisany konkurs na gmach dla Biblioteki Narodowej i wybrano projekt architekta Fijałkowskiego. Dopiero teraz ustalono, że działka przeznaczona na budowę tego gmachu w Warszawie ma zostać opróżniona do końca I-go kwartału przyszłego roku. ■ Ludek Pachman, znany czeski mistrz szachowy oraz zdecydowany zwolennik odnowy w okresie Wiosny Praskiej, skazany został na dwa lata więzienia.

8-5-72
Zmarł w Warszawie, w wieku lat 70, Stefan Flukowski, literat i tłumacz. ■ Prezesem Głównego Urzędu Statystycznego w Warszawie został mianowany Stanisław Kuziński, kierownik wydziału ekonomicznego KC.

10-5-72
Z Zgorzelcu przekroczył granicę PRL 2-milionowy polski turysta od chwili otwarcia granicy NRD dla polskiej turystyki. Turystów niemieckich do Polski było w tym okresie znacznie mniej.

12-5-72
Prasa krajowa donosi: Został wniesiony do Sądu Wojewódzkiego dla m. st. Warszawy akt oskarżenia przeciwko sprawcom zabójstwa Jana Gerharda, dokonanego w dniu 20 sierpnia 1971 roku. O zabójstwo zostali oskarżeni: Zygmunt Garbacki, lat 27, bez zawodu i Marian Roman Wojtasik, lat 26, z zawodu mechanik samochodowy. Podejrzani są mieszkańcami Warszawy. W śledztwie stwierdzono, że oskarżeni dokonali zabójstwa z premedytacją, działając z motywów rabunkowych. W akcie oskarżenia zarzuca się Z. Garbackiemu i M. R. Wojtasikowi dokonanie ponad 20 innych przestępstw pospolitych z chęci zysku, na szkodę instytucji uspołecznionych i osób prywanych. Podejrzeni przyznali się do winy. Przewiduje się, że proces rozpocznie się w końcu maja.

14-5-72
Zmarł w Moskwie Aleksander Korniejczuk, pisarz, sekretarz zarządu Związku Pisarzy Sowieckich, członek KC KPZS, ostatni mąż Wandy Wasilewskiej. ■ Londyński *Financial Times* podaje, iż w pierwszym kwartale roku bieżącego wymiana towarów była po obu stronach, na poziomie 18 milionów funtów, przy czym import z Polski wzrósł niebywale w postaci węgla podczas styczniowego strajku górników brytyjskich.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-4-72
W ramach cyklu wykładów, poświęconych polskiej literaturze emigracyjnej, na Queens College uniwersytetu nowojorskiego wygłosili odczyty: prof. Mieczysław Giergielewicz z University of Pennsylvania, pt. „Historia poezji emigracyjnej 1940-1971", Aleksander Janta pt. „Rzut oka na prozę emigracyjną", prof. Florian Śmieja z University of Western Ontario pt. „Pisarz na emigracji — poeci *Kontynentów*", ponadto prof. Śmieja omówił twórczość pisarską Pawła Łyska. ■ Biuro Międzynarodówki Socjalistycznej na sesji w Amsterdamie zmieniło swe stanowisko, zajęte w listopadzie 1971 r., odnośnie praw statutowych przedstawicielstw partii socjalistycznych Europy Środkowo-Wschodniej. Biuro zdecydowało, że rewizja statutu Międzynarodówki winna być odroczona na czas po nadchodzącym kongresie (czerwiec br.) co oznacza, że pozycja P.P.S. i innych partii socjalistycznych Środkowo-Wschodniej Europy w Międzynarodówce pozostanie niezmieniona aż do następnego kongresu tj. przez dalsze 3 lata. Z ramienia Unii Socjalistycznej Środkowo-Wschodniej Europy w sesji tej brał udział przedstawiciel P.P.S. St. Wąsik.

16-4-72
W Toronto odbył się odczyt dr. K. Piekarskiego, profesora uniwersytetu w Waterloo pt. „Sztuczne serce, sztuczne biodro i co dalej? — Jak inżynierowie wtrącają się do medycyny". ■ Związki polskie w Południowej Australii przystąpiły do organizacji pierwszego polskiego muzeum. Na ten cel zakupiono budynek b. kościoła polskiego. Kościół ten, pod wezwaniem Św. Stanisława Kostki, był poświęcony w roku 1871. ■ W Paryżu nakładem Librairie Générale de Droit et de Jurisprudence ukazała się książka prof. Georges Kalinowskiego „Etudes de logique déontique". ■ W Lozannie, w wydawnictwie l'Age d'Homme, ukazała się książka Jerzego Grotowskiego „Vers un théâtre pauvre" w przekładzie Claude Levensona, z przedmową Peter Brooka.

17-4-72
W Montrealu, staraniem oddziału kanadyjskiego Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, odbył się odczyt dr. Jerzego Korey-Krzeczowskiego pt. „Gospodarowanie naszym czasem".

19-4-72
W Australii zmarł, w wieku 78 lat, Leon Holzer, legionista Pierwszej Brygady Marszałka Piłsudskiego.

20-4-72
W Hanowerze zostały otwarte 9-ciodniowe targi przemysłowe, w których bierze udział PRL. W br. zawarto porozumienie o wzajemnej współpracy handlowej NRF z PRL na ogólną sumę około 200 milionów marek. Według Bonn obecnie realizuje się 140 porozumień kooperacyjnych między PRL a NRF.

21-4-72
W Londynie, w sali Ogniska, odbył się wieczór autorski Józefa Łobodowskiego.

22-4-72
Rada Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku przyznała nagrodę im. Tadeusza Sendzimira w wysokości 1 000 dolarów Damianowi Wandyczowi, który przez szereg lat był sekretarzem generalnym, a później dyrektorem Instytutu i położył duże zasługi przy organizacji dwóch Kongresów polskich naukowców w Nowym Jorku. ■ W Toronto odbyła się konferencja Ligi Wyzwolenia Ukrainy, to jest organizacji skupiającej członków i sympatyków dawnej OUW, kierowanej kiedyś przez Banderę.

24-4-72
W Londynie, w Society of Catholic Art została otwarta wystawa prac rzeźbiarskich Jerzego Stockiego.

25-4-72
Amerykańska firma wydawnicza Crowell, Collier and Macmillan przystąpiła do wydania angielskiej wersji 30-totomowej wielkiej Encyklopedii Sowieckiej. Pięć pierwszych tomów ukaże się w roku 1974, pozostałe do 1979 roku.

27-4-72
W Niemczech w wydawnictwie Suhrkamp, we Frankfurcie n/Menem, ukazała się książka Adolfa Nowaczyńskiego „Der schwarze Kauz" (cena DM 7,80).

28-4-72
W Toronto odbył się wieczór poetycki Wacława Iwaniuka.

30-4-72
Zmarł w Londynie, w wieku 66 lat, Wiktor Budzyński, twórca przedwojennej „Wesołej lwowskiej fali", po wojnie współpracownik Radia Free Europe.

1-5-72
W Paryżu, w wydawnictwie Christian Bourgeois, ukazała się książka Jacques Volle pt. „Gombrowicz bourreau, martyr". W tym samym wydawnictwie w najbliższym czasie ukaże się przekład „Trans-Atlantyku" Witolda Gombrowicza. ■ W ramach rządowych dotacji dla grup etnicznych okręg Kitchener Kongresu Polonii Kanadyjskiej otrzymał 3.500 dolarów na pokrycie kosztów oprawy około 2.500 książek; Grupa 20 Związku Polaków w Kanadzie (Windsor) — 2.000 dolarów na uruchomienie młodzieżowego zespołu pieśni i tańca; po 4.000 dolarów otrzymali: Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej na pokrycie kosztów konferencji, zwołanej w Toronto na 5-6-7 maja br. i Stowarzyszenie Techników Polskich na konferencję zwołaną w Barry's Bay na 18-19-20 maja br. Polsko-Kanadyjski Instytut Badawczy otrzymał w tym roku 6.000 dolarów.

2-5-72
Zarząd Funduszu Wieczystego Millenium w Kanadzie, na którego czele stoi dr Stanley Haidasz, ogłosił sprawozdanie ze swej działalności. Fundusz powstał w 1960 roku. Jest on przeznaczony na propagowanie i wspieranie studiów o kulturze polskiej, pomoc w studiach osobom polskiego pochodzenia i nowym imigrantom, publikowanie wydawnictw naukowych i literackich etc. Założeniem było zebranie funduszu w wysokości 1 miliona dolarów. Zebrano niestety tylko 131.425 dolarów. Dzięki umiejętnej gospodarce kapitał Funduszu na dzień 31. 10. 1971 r. wyniósł sumę 278.140 dolarów. ■ Analogiczny Fundusz Wieczysty Polonii Australijskiej im. gen. J. Kleeberga, powołany do życia w 1963 r., zebrał do tej pory jedynie 4.442 dolary.

3-5-72
Sekcja polska Radia Free Europe obchodzi dwudziestolecie swej pracy. Rozgłośnia nadaje swoje programy przez 19 godzin dziennie. ■ W Paryżu odbyło się doroczne zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Poza sprawozdaniem z działalności Towarzystwa i Biblioteki Polskiej, p. Denise Wrotnowska przedstawiła nieznaną pracę Czesława Chowańca: „La question polonaise de 1796 à 1921".

4-5-72
Z. A. Turzański założył w Toronto prywatną Akademię Sztuki Teatralnej — Academy of Theatre Arts i co pewien czas wystawia ze swymi młodymi uczniami sztuki teatralne w języku angielskim. Ostatnio wystawił „Dom Bernardy Alba" Federico Garcia Lorca przy pomocy scenografa, Eugeniusza Chruścickiego, które cieszyło się dużym powodzeniem. ■ W Duisburgu została otwarta w Lehmbruch-Museum wystawa rzeźb Ksawerego Dunikowskiego.

5-5-72
W Brukseli, w galerii L'Angle Aigu została otwarta wystawa obrazów Barbary Szubińskiej. ■ Sąd przysięgłych w Londynie skazał pisarza zachodnioniemieckiego Rolfa Hochhuta na zapłacenie 50 tys. funtów szterlingów odszkodowania b. kapitanowi RAF Edwardowi Prchalowi, pilotowi samolotu, na pokładzie którego zginął w 1943 roku w Gibraltarze generał Sikorski. W sztuce teatralnej „Żołnierze" oraz w artykule opublikowanym w springerowskim „Welt am Sontag" Hochhut twierdził, że Prchal był uczestnikiem spisku zmontowanego przeciwko Sikorskiemu przez Churchilla i lorda Cherwella. ■ W Hamburgu rozpoczął się proces dra Ludwika Hahna, który w latach 1939-44 był kolejno szefem Gestapo w Rzeszowie, Krakowie i Warszawie. W procesie będzie zeznawać 128 świadków, w tym 28 z Polski.

6-5-72
W Paryżu Conseil Français de Solidarité avec les Peuples de l'Europe de l'Est pod patronatem Amnesty International zorganizowało dwudniowe kollokwium poświęcone Europie Wschodniej. W czasie trwania kollokwium funkcjonowała również wystawa i sprzedaż wydawnictw poświęconych Europie Wschodniej.

9-5-72
W Londynie zmarł, w wieku 81 lat, Bogusław Miedziński.

11-5-72
W Szwecji zginął w wypadku samochodowym znany polski kompozytor Marek Lusztig, m.in. stały współpracownik warszawskiego STS-u.

16-5-72
W Galerie Vercamer w Paryżu została otwarta wystawa Zdenka Kirchnera, znanego czeskiego malarza. Wystawa ma trwać do 4. 6. br. ■ W ciągu pięciu lat 1968-72 dokonano 252 porwań samolotów na świecie. W pierwszym kwartale 1972 roku było już 9 wypadków porwania samolotów. Wśród samolotów było 117 amerykańskich. 139 samolotów zostało skierowanych przez piratów powietrznych na Kubę. W czasie walk przy porywaniu samolotów zginęło 7 osób z obsługi, a 16 było rannych. Wśród pasażerów 4-ch zostało zabitych, a 30-tu rannych. Wśród piratów — 15-tu zabitych i 13-tu rannych.

Listy do Redakcji

New York, 21 kwietnia 1972.

Szanowny Panie Redaktorze!

Polemiki, którą można ciągnąć w nieskończoność, nie należy chyba prowadzić wcale. Niestety p. Marek Głogoczowski w swym artykule „Skrzynia", nr 4/295 *Kultury*, zmusza zaatakowanych oponentów do repliki. Powodem jest jego trzpiotowatość, którą wytknąłem mu w liście do Redakcji w nrze 10/289 *Kultury*, a którą w całej pełni zamanifestował w „Skrzyni". Trzpiotowatość p. Głogoczowskiego polega między innymi na tym, że polemizując ze swymi krytykami — a przynajmniej ze mną — przypisuje, a nawet cytuje poglądy nigdy przeze mnie nie wypowiedziane. Prawdopodobnie nie czyni tego przez żadną złośliwość. Po prostu nie chce mu się zaglądać do tekstu autora, z którym dyskutuje. Liczy zresztą, nie bez racji, że czytelnikowi nie chce się sprawdzać, co tam kiedyś ktoś napisał i zarzuty p. Głogoczowskiego przyjmie jako dobrą monetę.

1) W liście moim, wydrukowanym w *Kulturze*, napisałem: „W ogóle sądzę, że rozmaitość gatunku ludzkiego jest większa w USA niż w Polsce, bo obniżanie konsumpcji bardziej upadabnia ludzi do siebie niż jej nadmiar. Jeśli ludziom jest czegoś chronicznie brak, co jest potrzebne do życia, to w kółko łamią sobie głowy na podobny temat i ciągle o tym samym mówią".

Jak widać z powyższej cytaty nie wspominałem o zależności między poziomem inteligencji a standartem życiowym. Natomiast nadmieniłem, że ustawiczne braki materialne upadabniają ludzi do siebie przez powszechność ich kłopotów. W swojej replice p. Głogoczowski odpowiada: „Twierdzenie p. Byrskiego że standart życiowy wpływa na rozwój inteligencji? Wygląda to bardzo atrakcyjnie, ale jest to zupełny nonsens. Diogenes mieszkał w beczce i myślał o filozofii, zaś *businessman* mieszka w siedmiu łazienkach (sam liczyłem) i ogląda kolorową telewizję".

Porównanie tych dwu cytat jest ilustracją niefrasobliwości p. Głogoczowskiego w dyskusji z jego krytykami. Ale nie na tym koniec motylkotej beztroski autora „Skrzyni". Wbrew temu co stwierdził poprzednio, że standart życiowy nie wpływa na rozwój inteligencji. Kilka wierszy dalej pisze: „Wzrost inteligencji zależy od zupełnie innych czynników — np. że raz jest nam dobrze, a raz źle i ciągle się (w rzeczywistości nie na ekranie) coś dzieje. To właśnie Polska spełnia te warunki".

Osobiście sądzę, że jeśli w Polsce się „coś dzieje", to wcale nie „ciągle", ale dosyć rzadko i nagle. Zresztą bardzo często tylko nam się wydaje, że coś się dzieje lub działo, bo potem okazuje się, że jest tak samo, albo prawie tak samo jak przedtem. Natomiast o tym, że coś „się dzieje", przekonuje ustawicznie czytelników *Życie Warszawy*, a widzów — ekran *polskiej* telewizji. Naprawdę to wiele rzeczy dzieje się w Ameryce i człowiek za głowę się chwyta, że p. Marek Głogoczowski tego nie zauważył. Mnóstwo ludzi uważa nawet, że w Ameryce odbywa się rewolucja, która jest jakąś inną rewolucją, od tych, które na świecie się odbywały, ale która jest antytezą przymusowego letargu, w jakie wprowadzone zostały narody Europy

Wschodniej. To jedna sprawa. Druga — to zadziwiające zakręty w retoryce polemicznej p. Głogoczowskiego. Użyte zwroty, że raz w Polsce jest „źle" drugi raz — „dobrze", w kontekście przeciwstawienia biednej Polski owemu superbogatemu *businessman*'owi z siedmioma łazienkami, któremu zawsze jest „dobrze" nie pozostawia wątpliwości, że autorowi chodzi tu o zmiany standartu życiowego i że to one wpływają między innymi na rozwój inteligencji. Innymi słowy, p. Głogoczowski zapomniał co napisał kilka wierszy wcześniej, kiedy stwierdził, że zależność między standartem życia a inteligencją jest „zwykłym nonsensem". W istocie zależność ta, bynajmniej nie prosta, istnieje, choć z niej nie wynika żeby człowiek żyjący dostatnio, musiał być inteligentniejszy od żyjącego w biedzie. Przypisując mi bezzasadnie tę myśl, której nigdzie nie sformułowałem, p. Głogoczowski zupełnie niepotrzebnie odwołuje się do Diogenesa w beczce. W ogóle lektura „Skrzyni" wywołuje nieodparte wrażenie, że p. Głogoczowski jest improwizatorem i że nie czyta tego, co sam napisał, zostawiając ten miły obowiązek redaktorowi *Kultury*.

Nie wiem jednak czy redakcja *Kultury* doceniła należycie wagę jednego twierdzenia autora „Skrzyni", który na str. 44 i 45 pisze wręcz: „Nawet spróbowałbym zaryzykować, że być może produkt kulturalny małej, biednej Polski nie jest mniejszy od ogromnej Ameryki. To tylko te milionowe nakłady i rury telewizyjne sprawiają wrażenie bogactwa. A w środku bieda. Pusto".

Tym krótkim zdaniem p. Głogoczowski stwierdza rzecz bardzo ważną: Że kapitalistyczna supercywilizacja jest bardziej szkodliwa dla rozwoju kultury niż sowiecki system komunistyczny. Inaczej nie podobna zrozumieć tego zdania. Tezy, że „produkt kulturalny" Polski jest nie mniejszy od ogromnej Ameryki" — nie odważyłaby się wysunąć warszawska *Kultura*. Nie odważyłaby się, bo czytelnicy polscy wiedzą, że Ameryka to nie tylko kraj komputerów, autostrad, elektrycznych szczotek do zębów, mnóstwa innych głupich *gadget*'ów i bzdurnej reklamy, ale przede wszystkim kraj wielkiego politycznego i rewolucyjnego fermentu, który znajduje swój wyraz w literaturze, nauce, teatrze, filmie i publicystyce. Jeśli natomiast czytelnik polski przeczyta to stwierdzenie w paryskiej *Kulturze*, która cieszy się wśród inteligencji autorytetem, to wniosek będzie prosty: „Kaftan bezpieczeństwa nałożony przez Partię i rząd PRL polskiej kulturze hamuje jej rozwój w mniejszym stopniu niż amerykański dobrobyt". Ale może p. Głogoczowski ma rację? Niestety dyskutować z nim w tym wypadku nie podobna, ponieważ takiej kategorii jak „produkt kulturalny brutto" ani jednostek przy pomocy, których można by ten „produkt" wymierzyć, nie ma. Trudno okazać jak jaskrawą i gorzką nieprawdę wypowiedział tym jednym zdaniem autor „Skrzyni". Zresztą nie próbował on niczym uzasadnić swego twierdzenia — najbardziej ryzykownego i niebezpiecznego w całym swoim artykule. Możemy tylko domyślać się jednego: obrzydzenie do kapitalistycznej cywilizacji i kapitalistycznego dobrobytu zaciemniło mu już po kilku latach obraz Polski rządzonej przez Biuro Polityczne Partii. Postawa p. Głogoczowskiego, niewątpliwie urodzonego rebelianta, jest odwróceniem cielęcego zachwytu, w jaki na krótko popadają niektórzy nowo przybyli emigranci z Europy Wschodniej, którym amerykański dobrobyt uderza do głowy jak czysta z czerwoną kartką głodnemu. Po zakąsce zwykle przechodzi.

2) Nawiązując do mojego artykułu „O Czarnej Lewicy w USA" w nrze 6/285 *Kultury*, p. Głogoczowski pisze: „na przykład artykuły Z. Byrskiego (m.in. o 'Czarnych Panterach') pisane są w takim właśnie 'obiektywnym' stylu. Ale z jego artykułu nie wynika czy autor kiedykolwiek widział 'żywą' 'Czarną Panterę'. Skoro (jak wnoszę z artykułu) p. Byrski ich nigdy osobiście nie widział, to dlaczego o nich pisze?"

Rzeczywiście z mojego artykułu „Czarna Lewica w USA" nie wynikało że widziałem „żywą" „Czarną Panterę". Nie wynikało również, że jej nie widziałem. W ogóle w tej materii nie wynikało nic. To p. Głogoczowski powinien zrozumieć bez pomocy komputera. Dlaczego wobec tego „wnosi" z mojego artykułu, że ich nigdy nie widziałem i pyta, dlaczego o nich piszę. Pytanie jest zaskakujące. Żeby pisać o działalności „Czarnych Panter", nie trzeba ich widzieć. Ja np. nie widziałem na oczy p. Marka Głogoczowskiego, a piszę o nim. Inni nie widzieli Adama Mickiewicza, a pisali o nim całe dzieła, a nawet zmuszali innych, żeby je czytali. O co właściwie chodzi p. Głogoczowskiemu? Podejrzewam, że o to, aby ukazać czytelnikom, że choć ja „Czarnych Panter" nie widziałem (w istocie widziałem, ale to rzecz uboczna) to on — widział. Cytuję p. Głogoczowskiego: „A ja Pantery widziałem i słyszałem. Nawet żywą Angelę Davis". Ponieważ z kontekstu zacytowanego zdania czytelnik może odnieść wrażenie, że Angela Davis — to właśnie „żywa Czarna Pantera", należy wyjaśnić, że Angela Davis jest wprawdzie Czarna i żywa, ale nie Pantera, tylko członek Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych — tej o orientacji sowieckiej.

3) Ponieważ pod adresem p. Głogoczowskiego wypowiedziałem szereg zarzutów, zamieścił w swoim artykule następującą admonicję: „... mogę p. Byrskiego pocieszyć, że jego sąd o mnie nie jest odosobniony. Bardzo podobnie wypowiedziało się o moich przyjaciołach i o mnie (wymieniony z nazwiska) warszawskie *Prawo i Życie* (nr. 4, 5/1970), organ „Wydziału Gniewu Ludu" — gratuluję towarzystwa".

Argument, że ktoś coś napisał, co napisała przedtem *Prawda, Izwiestia* lub *Trybuna Ludu* ew. *Rude Pravo* jest argumentem zabójczym, ponieważ kładzie przeciwnika na dwie łopatki. P. Głogoczowski nie pisze, co o nim nadmieniło *Prawo i Życie*, choć nie było to na pewno w związku z jego artykułem, który ukazał się znacznie później. Ale to mnie oczywiście nie ratuje. Nieszczęśnik, który pisze o kimkolwiek czy o czymkolwiek, musi przewertować wszystkie pisma komunistyczne, żeby poza komunikatami meteorologicznymi pisać — odwrotnie. W przeciwnym bowiem razie znajdzie się pod pręgierzem „że on pisze tak samo" jak owe cieszące się złą sławą gazety. Metoda ta nie jest wyłączną specjalnością p. Głogoczowskiego. Stosowana jest dość szeroko zarówno w polskiej prasie komunistycznej jak i emigracyjnej. Zarzut że p. X pisze podobnie w jakiejś sprawie jak *Trybuna Ludu* lub że p. Y popiera odbudowę Zamku Królewskiego „razem z Gierkiem", jest w istocie tanią demagogią. Przeważnie świadczy o słabości atakującego. Nie mogąc rozprawić się ze swym przeciwnikiem merytorycznie, usiłuje go „skompromitować", ukazując w jakiej haniebnej kompanii się znalazł.

W nrze 1-2/290 *Kultury* ukazał się artykuł pt. „Konflikt Pakistańsko-Indyjski", którego autor potępił ludobójczą praktykę rządu b. prezydenta Pakistanu Aghi Yahya Khana wobec ludności bengalskiej. Ponieważ ZSSR, kierując się swoimi własnymi interesami, poparła w tym wypadku Indirę Ghandi przeciw Pakistanowi, w całej prasie komunistyczno-sowieckiej ukazało się z pewnością potępienie masowych morderstw dokonanych na ludności Bengladesz. I co z tego? Ani autor artykułu ani redakcja *Kultury* nie miała powodu „wstydzić się", że akurat w tej sprawie pisały tak samo *Trybuna Ludu* i znana skądinąd ze swych notorycznych kłamstw sowiecka *Prawda*. Wstydzić się powinni byli inni, ale się nie wstydzili. Na przykład jedyna „Rewolucyjna Rada Miejska" w Stanach Zjednoczonych (to nie jest zarzut pod adresem p. Głogoczowskiego), w mieście Berkeley. Większość jej członków i wyborców w tym słynnym z radykalizmu osiedlu uniwersyteckim, którzy wierzą w socjalizm, ale nie wierzą w chustkę do nosa i mydło, patrzy na sprawy tego świata przez rewolucyjno-maoistowskie okulary, przez które zupełnie nie było widać kilkuset tysięcy wymordowanych we Wschodnim Pakistanie Bengalczyków. Okulary te bowiem mają tę własność, że działają selektywnie. Pewne rzeczy przez nie widać, innych — nie. Widać przez nie okrutnie męczoną przez kalifornijskich rasistów szlachetną Angelę Davis, orędowniczkę ludów uciśnionych, ale tylko niektórych. Widać przez te okulary rzeczywiście zbombardowane przez amerykańskie lotnictwo miasta północnego Wietnamu, ale zupełnie nie widać okrucieństw dokonywanych na ludności Południowego Wietnamu przez tzw. Narodowy Front Wyzwolenia tegoż Wietnamu. Nigdy też nie było widać, że poczciwy wujek Ho Chi Minh dokumentnie wymordował większość starej inteligencji Północnego Wietnamu, osiągając na tej niezawodnej drodze absolutną narodową jedność. Oczywiście żeby przez te neo-rewolucyjno-maoistowskie okulary można było dojrzeć takie drobiazgi jak reżymy policyjne we wszystkich krajach komunistycznych bez względu na orientacje, wydarzenia na Wybrzeżu Bałtyckim lub trwający już ponad trzy lata barbarzyński terror w Czechosłowacji — mowy nie ma.

I pomyśleć tylko że, jak twierdził Marco Polo, pierwsze okulary pojawiły się w Chinach.

Z poważaniem,

◆ *Zbigniew BYRSKI*

Polonia, tygodnik wychodzący w Chicago, zamieściła w nrze z datą 5 marca fantastyczną informację, jakoby „Józef Mackiewicz i jego żona Barbara Mackiewiczowa (literacki pseudonim — Toporska) włączyli się w agenturalną inicjatywę Sitki i niemieckich rewizjonistów pod szyldem Rada Współpracy Amerykańsko-Europejskiej". W „haniebnym" celu — krucjaty antysowieckiej.

Wiadomość ta, poza drobnostką, że jest całkowicie zełgana, nie zawierałaby nic dla mnie obraźliwego, a to z następujących powodów: 1) krucjatą antybolszewicką się nie brzydzę, żałuję tylko, że na nią się nie zanosi; 2) nie uważam, żeby właściwą rolą polskiej emigracji politycznej było szukanie pojednania z Niemcami via Moskwa, jak to robią gorliwcy w popieraniu traktatów Bonn-Moskwa i Bonn-Warszawa (łącznie i w tej kolejności); uważam natomiast że emigracja powinna na terenie NRF, jak zresztą wszędzie indziej, nie dopuszczać do utrwalania się komunistycznego monopolu na reprezentację kulturalnych i politycznych aspiracji narodu polskiego (ten monopol w NRF już prawie zaistniał); 3) nie uważam, żeby Niemca mogło dyskryminować urodzenie na Śląsku, tak jak uważałabym za przejaw barbarzyństwa, gdyby np. Litwini odmawiali praw do rozmów polsko-litewskich Polakom urodzonym w Wilnie; nie uważam, by komukolwiek wolno było odmówić prawa do nostalgii i tęsknoty za swym krajem rodzinnym; mój stosunek do „ziomkostw" jest tylko dlatego negatywny, że zdradzały się nader często z dążnościami do szukania rewanżu w porozumieniu i za poparciem bolszewickiego Kremla. Jeśliby więc p. Sitko miał reprezentować Ślązaków, nawołujących do polsko-niemieckiego pojednania dla wspólnej walki z komunizmem, życzyłabym mu w tej akcji z całego serca powodzenia. Co nie znaczy, bym miała dziś wyrobione zdanie o utworzonej ponoć przez niego organizacji. Po prostu jej nie znam.

Nie chodzi mi więc tylko o sprostowanie od początku do końca nieprawdziwej wiadomości. Sądzę, że nadarza się sposobna okazja do ustalenia źródła inspirowanych nagonek. Wiadomość ta bowiem została podana przez *Polonię* w typowo komunistycznym oszczerczym bełkocie, zatytułowanym „Czy Są To Próby Tworzenia Orientacji Proniemieckiej?" (Artykuł wstępny). Wróble Dawno Ćwierkają na Dachu, Że *Polonia* Kooperuje Z Reżymem. Ale na wróblach nie wypada polegać, a zwłaszcza oczekiwać od nich dowodów. Jako redaktorzy pisma wymienieni są: A. Azarjew, J. F. Białasiewicz,

Z. Chałko, E. Dziewońska-Krzemieńska. Tylko nazwisko p. Chałki coś mi mówi. Zwracam się więc do niego publicznie o wskazanie informatora, z imienia, nazwiska i z adresem. Z czyjego to palca została wyssana wiadomość, jak do przedruku w komunistycznej prasie? Odmowę, wykręt — będę uważała za potwierdzenie podejrzeń, że *Polonia* współpracuje z reżymową instytucją o podobnej nazwie, a przeznaczoną dla infiltracji środowisk emigracyjnych i polonijnych, tzn. z „Towarzystwem Polonia".

Łączę wyrazy szacunku,

Barbara TOPORSKA

◆

ODPOWIEDZI REDAKCJI

A. Bostończyk: — Redakcja nie zamieszcza listów anonimowych — niezależnie od ich treści. Niewątpliwie mogą istnieć dostateczne powody, by nie podawać swego nazwiska w druku, ale Redakcji musi być ono podane do wiadomości.

El. P., Izrael: — Nie zamieścimy. Wydaje nam się bezcelową dyskusja ze sprawą, która była poruszona w sposób żartobliwy.

P. Maria Bagration-Ivanoff, NRF: — Nie zamieścimy. Drukowaliśmy już dostateczną ilość wypowiedzi Czytelników potępiających nowelę Brychta „Żywi".

◆

Z OSTATNIEJ CHWILI

14 maja dwudziestoletni robotnik Roman Talanta powtórzył w Kownie gest Jana Palacha sprzed trzech lat: podpalił się w centrum miasta, protestując przeciw prześladowaniom narodowym i religijnym, świadcząc płomieniem żywej pochodni o niewygasłych dążeniach Litwy do odzyskania wolności. W kilka dni później pogrzeb Talanty zdetonował demonstracje ludności, krwawo wciąż — w chwili gdy to piszemy — tłumione przez policję i wojsko. Nie znamy jeszcze pierwszych nawet cyfr zabitych i rannych, z trudem przeciekające informacje mówią o setkach aresztowań. Echa tego wybuchu Litwinów walczących o wolność towarzyszą Nixonowi w jego podróży do Moskwy. Zaczyna się „realistyczny" i cyniczny przetarg na szczycie, a z Litwy nadchodzi nowy dowód nie tylko słabości (wbrew pozorom) Związku Sowieckiego, lecz także rosnącej woli oporu narodów bloku wschodniego: polski grudzień, Czechosłowacja, kraje bałtyckie, Ukraina, Kaukaz, republiki środkowo-azjatyckie... To już nie sporadyczne i izolowane wydarzenia, to siła czekająca na skoordynowanie, na dalszą metę śmiertelnie groźna dla jedynego dziś imperium kolonialnego na świecie. Siła realniejsza, w perspektywie przyszłości, od *Realpolitik* kancelarii dyplomatycznych na Zachodzie.

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 2e Trimestre 1972.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	$ A 1,50	$ A. 8,00	$ A. 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57 ,1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	$ US 1,50	$ US. 8,00	$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryzu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; **B. Krasuski, 8** High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. **Donald Malinowski,** 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; **Z. Micherdzinski,** 24 Facer Str., St. Catherines, Ontario, **Jozef Polkowski,** 110 Cobourg Street, apt. 301. Ottawa 2, Telefon. 233-7212; **« Polish Voice Publishing » Co.,** 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; **« ZWIAZKOWIEC »,** 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	$ Can. 1,50	$ Can. 8,00	$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; **L. Dudarow-Ossetynski,** 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **Ada Dziewanowska,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02712; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; **T. Konopacki,** 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; **Christian M. Kretowicz, 4477** Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, **Edward Posynlak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; **The Polish Book Importing Co.,** 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08831. **POLONIA,** Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, III. 60618. **R.J. Sas-Babczynski,** 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; **Jan Wojcik.** 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; **Jan Zych,** 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	$ US 1,50	$ US. 8,00	$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	£ 0,60	£ 3,50	£ 6,00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 82; półroczna F. 45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 *(z Francji)*
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 *(z zagranicy)*.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 218 — WITOLD GOMBROWICZ

OPOWIADANIA

(Tom IX „Dzieł zebranych")

Tom ten zawiera następujące opowiadania: TANCERZ MECENASA KRAYKOWSKIEGO; PAMIĘTNIK STEFANA CZARNIECKIEGO; ZBRODNIA Z PREMEDYTACJĄ; BIESIADA U HRABINY KOTŁUBAJ; DZIEWICTWO; PRZYGODY; ZDARZENIA NA BRYGU „BANBURY"; NA KUCHENNYCH SCHODACH; SZCZUR; BANKIET

Str. 208. Cena F. 24 (dol. 6,00; £.2.00)

◆

TOM 219 — ANDRZEJ CHCIUK

WIZYTA W IZRAELU

Wrażenia z niedawnej podróży Autora, który porzez Drohobycz swojego dzieciństwa odkrywa współczesny Izrael.

Str. 160. Cena F. 17,50 (dol. 4,25; £.1.60)

◆

TOM 220 — SERIA „DOKUMENTY"
(ZESZYT 39-ty)

SĄD ORZEKŁ...

Tom zawiera autentyczne dokumenty dotyczące najgłośniejszych procesów politycznych w PRL: PROCES HANNY REWSKIEJ; DRUGI PROCES K. MODZELEWSKIEGO i J. KURONIA; PROCES „TATERNIKÓW"; PROCES ORGANIZACJI „RUCH" Z 1971 R.; POSTĘPOWANIE REWIZYJNE W SPRAWIE J. KARPIŃSKIEGO i M. SZPAKOWSKIEJ; PROCES PISKI O TRAKTAT RYSKI, jak również szereg opracowań i komentarzy.

Str. 320. Cena F. 30 (dol. 6,50; £.2.50)

◆

W OPRACOWANIU DRUGIE WYDANIE
ALEKSANRA SOŁŻENICYNA

KRĄG PIERWSZY

Cena 7,50 F

RICHARD S.A. - Paris - 606-88-26